

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 2 (317) • ROK MMXXII • LUTY 2022



ZIMOWA
POETYKA

ISSN 1425-3917



9 771425 391707



Kultura Słowian łużyckich, choć liczy niemal półtora tysiąca lat historii, nadal pozostaje mało znana. Tymczasem Serbowie łużyccy, najmniejszy naród słowiański, nadal żyje w południowo-wschodnich Niemczech i ma własny język, hymn i flagę, choć nigdy nie utworzył własnego państwa. Nacja ta, określana jest jako Serbołużyczanie, łużycanie lub Serbowie łużyccy. Ich swoistą stolicą jest Budziszyn, największe skupisko tej mniejszości, doświadczającej przez wieki rozmaitych – przychylnych lub nie – zawirowań historii. Co ciekawe, z ludności tej wywodził się Wilhelm Pieck, pierwszy prezydent NRD. łużycanie w większości są wyznania katolickiego; na zdjęciu katedra w Budziszynie.

Szczegóły str. 4



Po klęsce Powstania Warszawskiego konspiracyjną stolicą podziemnego państwa polskiego stała się Częstochowa. To właśnie tutaj z gruzów Warszawy przenieśli się sztaby konspiracyjnych organizacji – nieraz zwalczających się nawzajem. Pod koniec 1944 roku szczególnie krwawy przebieg miały porachunki w NSZ. Tragizmu tej sytuacji dodaje fakt, iż swój wkład w ten stan rzeczy miało gestapo. Na zdjęciu tablica widniejąca na budynku częstochowskiej siedziby hitlerowskiej tajnej policji.

Szczegóły str. 7



Istniejące od 90 lat znane i popularne schronisko górskie na Hali Lipowskiej (1324 m n.p.m.) w Beskidzie Żywieckim było przed wojną niemieckim obiektem turystycznym, należącym do towarzystwa Beskidenerverein. Zaciekle rywalizowało ono z oddalonym zaledwie o kwadrans marszu polskim schroniskiem na pobliskiej Rysiance (1322 m n.p.m.). O zaskakujących dziejach beskidzkich schronisk piszemy w obszernym materiale historycznym „Górcy szpiedzy i sabotażyści”. Na ilustracji Hała Lipowska – schronisko w zimie.

Szczegóły str. 10



W skrępowanym pandemicznymi obostrzeniami świecie zimowy wyjazd w góry jawi się wielu osobom jako szansa na kilka chwil oddechu i prawdziwego odpoczynku. Zwłaszcza entuzjaści „białego szaleństwa” starają się wykorzystać ostatnie chwile mijającej już zimy. Patrząc z nieco innej perspektywy, chcemy ukazać piękno i majestat gór w ich zimowej odsłonie. Na zdjęciu trasy biegowe w rejonie Istebna Kubalonka.

Szczegóły str. 69

Nr 2 (317). Rok MMXXII. LUTY 2022

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztuka

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS
MAGDALENA DZIADEK
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
AGATA GROMADA
JAROSŁAW KAPSA
WIEŚŁAWA KONOPELSKA
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
PAWEŁ MAJERSKI
JAN MALICKI
JAN MIODEK
KATARZYNA NIESPOREK
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
MARIAN SWORZEŃ
HENRYK SZCZEPAŃSKI
GRZEGORZ SZTOLER
JOANNA WAROŃSKA
EDWARD WIECZOREK
AGNIESZKA ZIELIŃSKAADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
zarzad@slaskwn.com.pl

DTP: Lechosław Węgorz, Marcin Gołaszewski

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.**Warunki prenumeraty:**
poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”
na terenie całego kraju. Bezpośrednio
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
Santander Bank Polska S.A.
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1500 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 4 Janusz Plewniak BUDZISZYN DWOJGA NARODÓW
7 LISTY CZĘSTOCHOWSKIE Jarosław Kapsa WYKŁĘCI
10 Zbigniew Lubowski GÓRSCY SZPIEDZY I SABOTAŻYŚCI
16 Ks. Henryk Pyka MISTYCZNY UROK ŚLĄSKA
18 Peter Wiescholek ODWIEDZINY CUDZOZIEMCA W ROKU 1966.
HISTORIA PRAWDZIWA
20 Ryszard Twardoń PRZEPIS NA POWIEŚĆ REALISTYCZNĄ
23 Jacek Okoń O ZWIĄZKOWCU „PRZESADNIE RELIGIJNYM”
26 Tadeusz Loster PEKNIĘTA STRUNA
32 Edward Wieczorek DWAJ PANOWIE K, CZYLI ŚLADAMI KALIDEGO I KISSA
42 Wojciech Lipowski GRA BEZ KOŃCA
44 Kamil Łysik MOGIŁA ROTMISTRZA VON KOSCHÜTZKIEGO
48 Marian Grzegorz Gerlich NICIEJA – HISTORYK O DUSZY ARTYSTY
I CZUŁY NARRATOR
50 Piotr Sobotta CO TO JEST OBRAZ
56 Janusz Plewniak ESEJ ŚLĄZAKA O JĘZYKU
58 BŁYSKI i ZAPATRZENIA Marian Sworzeń ŚLĄSK U DOŁĘGI-MOSTOWICZA
60 PO-GWARKI PROFESORA Jerzy Paszek JAK LITERATURA GENERUJE
I WENERUJE LITERATURĘ?
73 Andrzej Jarczewski 300 LAT DEMOKRACJI W EUROPIE (1722-2022)
76 Antoni Wilgusiewicz PROBLEM DZIEDZICTWA KRESOWEGO

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

69 GALERIA: PIĘKNO GÓR. BESKID ŚLĄSKI I ŻYWIECKI W ZIMIE

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE Paweł Lekszycki PO PIERWSZE: KOT
14 Paweł Lekszycki WIERSZE
28 Maciej Melecki WIERSZE
38 Mirosława Pajewska WIERSZE
46 Anna Neroda WIERSZE

FELIETONY

- 30 BIAŁE KRUKI Jan Malicki U PROGĘ STULECIA BIBLIOTEKI ŚLĄSKIEJ
W KATOWICACH
37 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA. Jan Miodek KIEŁZAĆ SIĘ
NA SZLYNZUCHACH
40 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ Krzysztof Korwin-Piotrowski WIEDENŃ
W GLIWICACH, CIESZYŃNIE, BIAŁEJ PODLASKIEJ I RZESZOWIE
41 JĘZYK W STRONACH Piotr Grella-Możejko EWANGELIA WEDŁUG
ŚWIETNEGO MARKA
68 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM Marian Gerlich WIELKA CEZARIA W ŚLĄSKIM
JAWORZU

KSIĄŻKI

- 62 Andrzej Juchniewicz ZAPISKI Z FRONTU MEDYCZNEGO
63 Grzegorz Sztolera JAK PISAĆ O WOJNIE?
64 Marian Kisiel POWIEŚĆ NA EMIGRACJI
66 Marek Piechota NIĆ, SPLOT, TKANINA
67 Piotr Skowronek PO OBU STRONACH
80 KSIĄŻKI NADEŚLANE

77 NOTATNIK KULTURALNY

Na okładce:

Zimą na Żywiecczyźnie. Fot. SkiPark Rajcza.

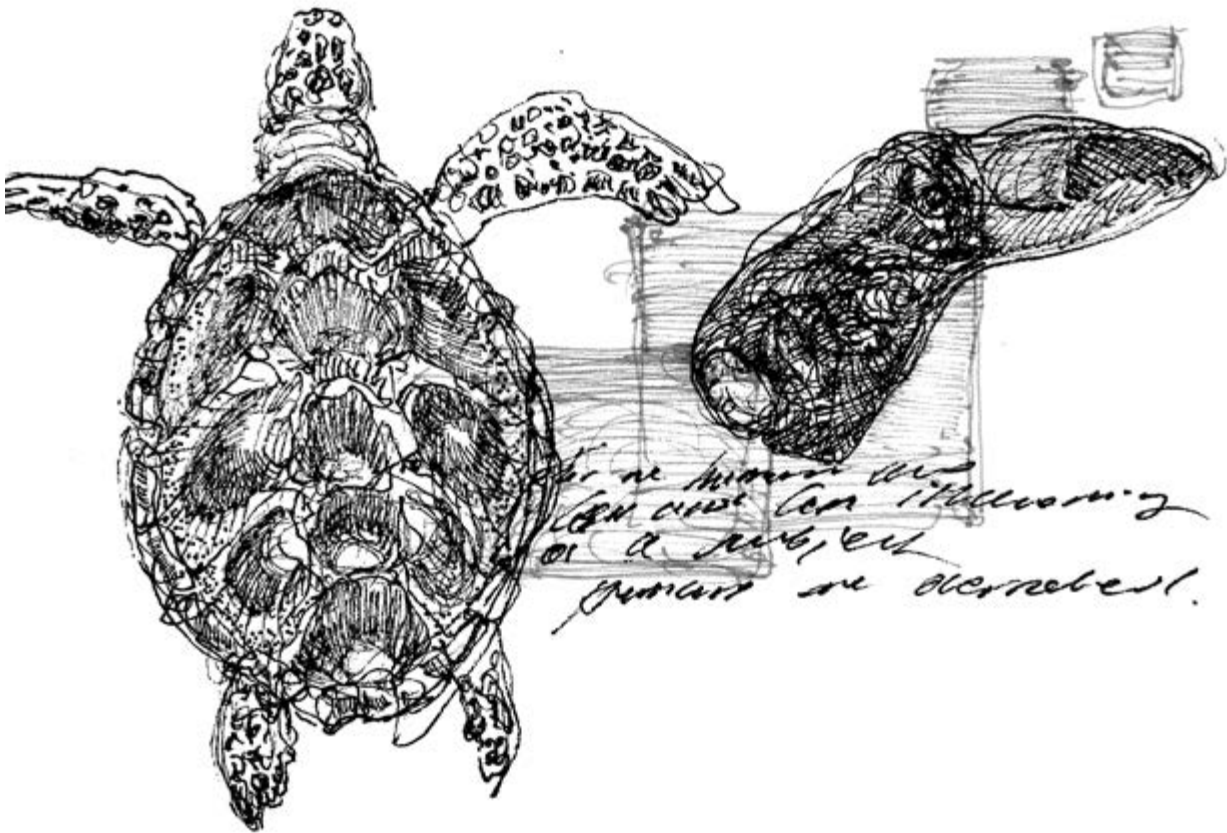
Tylne strony okładki:

Wisła - Górski panorama z widokiem na Skolnity. Fot. UM Wisła.

Pismo wspierane
finansowo przez:Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



Ilustracja na podstawie fot. M. Butor - okolice Rajczy.



PO PIERWSZE: KOT

Jestem kotem, któremu wyczesujesz sierść,
regularnie wymieniasz piasek w kuwecie,
kupujesz różową wstążkę, wiążesz mu ją u szyi.
Jestem kotem, którego najpierw sterylizujesz,

a później, w nagrodę, kupujesz mu mysz,
którą, na pokuszenie, zamykasz w słoju
urządzonym na podobieństwo dziecięcego
pokoju, z kołowrotkiem, po którym może

swobodnie biegać i z szyjką, w której się mieści
moja, zbrojna w lekko upiłowane pazury,
łapa. Jestem kotem, którego wieczorem
bierzesz na kolana i drapiesz za uchem,

pozwalasz mu mruczeć z rozkoszy. Jestem
psem, którego codziennie zabierasz na spacer,
pokazujesz znajomym, jak biega za wyrzuconym
przez ciebie patykiem i przynosi ten patyk

tobie pod nogi. Jestem psem, którego
wiążesz do smyczy i pozwalasz mu dumnie
biec przy swojej nodze w drodze do domu,
gdzie czekają na niego: wypreparowana

z mięsa kość i miękkie posłanie. Jestem
złotą rybką, która nie spełnia życzeń,
zamkniętą w szkle, które poskramia
żywioty wód, a ty mnie pytasz: *po co ci*

*ocean, morza, jeziora? Stawy także
nie są bezpieczne, ale ty w swoim
akwarium masz wszystko: zamek oraz piaszczyste
plaże, egzotyczne, wodne rośliny i rozwielitki.*

Jestem słowikiem, od którego wymagasz,
by umiał ci czas słowiczym śpiewem;
papuzką nierozłączką, dla której jesteś tą drugą;
papugą, której każesz sobie powtarzać dwa słowa.

Jestem białą, japońską myszką, którą
kupujesz w sklepie i przynosisz do domu,
kładziesz sobie na dłoni, bym mógł się oswoić
z tym domem. Pierwsze, co widzę, to kot,

który zjada rybkę.

Paweł Lekszycki, ur. 1976. Nauczyciel, poeta. Był redaktorem naczelnym Magazynu Literackiego „Kursywa”, współpracował z internetowym dwutygodnikiem kulturalnym „artPapier”. Opublikował tomy wierszy: *Ten i Tamten* (wraz z Pawłem Sarną, 2000), *wiersze przygodowe i dokumentalne* (2001), *Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie* (2005), *Wiersze przebrane* (2010), *Wszystko, czego dziś dotkniesz* (2021) oraz książkę krytyczno-literacką *Grupa Na Dziko. Socjologia i poetyka zjawiska* (2001). Publikował w pismach, m.in. w: „FA-arcie”, „Lampie”, „Opcjach”, „Toposie”, „Kresach”, „Akencie”, „Nowej Polsce”, „Gazecie Wyborczej”, „Szafie”, i antologiach literackich: *Antologii nowej poezji polskiej*, *Tekstyliach* i *Martwych punktach*. Jego wiersze były tłumaczone na języki: niemiecki, słoweński, słowacki, czeski i rosyjski. ■

Budziszyn dwojga narodów

JANUSZ PLEWNIAK

Mieszkałam w pensjonacie „Pod ręcznikiem”. Tak się zwał ten wąski, z oddali przypominający kolorowy ręcznik kąpielowy, najstarszy dom w Budziszynie. Sześć pięter, na każdym piętrze tylko jeden, zajmujący całe piętro pokój gościnny, wszystkie lokale z widokiem na ratusz i wieżę katedry, do wszystkich kondygnacji po stromych, wąskich schodach. Windy nie było. Był za to sympatyczny barman, zarazem recepcjonista, który zamienił nam czwartą piętro na pierwsze. Niżej się nie dało; na parterze był bar.

Ten ciasny architektoniczny „ręcznik”, to najstarszy dom w Budziszynie; postawiony w 1480 (!), gruntownie odnowiony po sześciu wiekach, w roku 2003. W naszym apartamencie mieliśmy na wyposażeniu wszystkie współczesne wygody, z klimatyzacją, wi-fi, elektrycznym czajnikiem i ekspresem do kawy, płaskim tv, jasnym oświetleniem (co rzadkie w hotelach) i nawet łazienka była obszerna.

Dlaczego odwiedziliśmy właśnie Budziszyn, po niemiecku Bautzen?

Dawno temu, w czwartej klasie szkoły podstawowej usłyszałem od nauczyciela o Słowianach za Odrą, takim małym plemieniu nie niemieckim, takiej enklawie Słowiańszczyzny w germańskim otoczeniu. Temat co lat kilka powracał, a to w jakimś artykule, a to w audycji, a to po prostu, przejeżdżając autem z Niemiec do Polski, nagle za Dreznem w kierunku na Görlitz (Zgorzelec) pojawiały się tablice, drogowskie, nazwy miast w dwu językach; po niemiecku i po łużycku. Łużycki jest bardzo polskiemu, a może czeskiemu także, podobny. W każdym razie dla nas zrozumiały.

Zawitaliśmy zatem do Bautzen po niemiecku, do *Budyšina po łużycku*, do *Budziszyna po polsku*. To stolica kraju łużyckiego. Słowianie byli tu od najdawniejszych czasów w opisywanych kronikach.

Serbowie Łużyccy, najmniejszy naród słowiański, żyje w południowo-wschodnich Niemczech od 1400 lat. Ma własny



Budziszyn - widok z mostu na Sprewę. Fot. Janusz Plevniak

język, hymn i flagę, ale nigdy nie utworzył własnego państwa. Pozostało Łużyczan około 60 tysięcy. W większości są katolikami.

Serbołużycanie, Łużycanie i Serbowie łużyccy – aż tyle nazw, bo chociaż są nieliczni, to w dwóch podgrupach – Górnołużycanie i Dolnołużycanie. Różnią się także językiem, pierwsi mówią podobnie do języka polskiego, język drugich jest zbliżony do języka czeskiego. W rzeczy samej łatwo zrozumieć wszystkich zamieszkujących Łużycę, ziemię leżącą na terytorium Niemiec. Historycznie Łużycę obejmują także niewielkie fragmenty ziem Polski i Czech.

Tysiąc lat temu praktycznie całe wschodnie Niemcy były zasiedlone przez Słowian. Wielu Niemców ma słowiańskie korzenie. W czasach Lutra słowiańskie plemiona zamieszkiwały okolice Berlina i Drezna. Język Obodrytów w enklawie koło Hanoweru przetrwał do połowy XVIII wieku. Nawet w końcu XIX wieku

starsze mieszkanki wsi nosiły tam – jak można się dowiedzieć w Muzeum Łużyckim w Chociebużu (Cottbus) – typowo słowiański ubiór. Teraz po Obodrytach i po innych Słowianach prócz nazw miejscowości śladu nie ma. Ostały się jedynie te dwie małe łużyckie grupy. Jedna chroniona przez spreewaldzkie bagna, druga – przez swój katolicyzm i w miarę liberalną politykę władz Saksonii.

Łużycanie są dwujęzyczni i często mierzyło to germańskich władców tej krainy.

W XVIII wieku doszło do tego, że duchownym nakazano, aby nie dopuszczali do Pierwszej Komunii dzieci, które kiepsko mówią po niemiecku. W 1896 r. nadprezydent Brandenburgii zażądał od swoich urzędników doszczętnego zniemczenia pozostałości łużyckich przede wszystkim w szkole, Kościele i życiu publicznym.

To przekornie doprowadziło do utworzenia organizacji narodowych, którym



Budziszyn – wieża katedry i wejście do sklepu musztardowego. Fot. Janusz Plewniak

najpierw przewodzili duchowni, potem nauczyciele i inteligencja miejska. W 1912 r. powstała Domowina, Związek Serbów Łużyckich, którego działacze za cel najważniejszy postawili pielęgnowanie języka i tradycji. W latach nazistowskich Domowina znalazła się wśród organizacji zakazanych. Mimo to na wsiach tliło się życie narodowościowe i może przede wszystkim to spowodowało, że zaraz po zakończeniu wojny Łużycanie się ożywili z nadzieją na utworzenie własnego państwa. Z wyjątkiem Serbów Łużyckich wszystkim narodom słowiańskim udało się stworzyć własne państwa. Łużycanie pozostali diasporą w Niemczech.

Władzom NRD-owskim zależało na tym, aby ta mniejszość była na świeczniku, wspierały więc działaczy, organizacje, wydawanie książek i czasopism. Może dlatego, że pierwszy prezydent NRD Wilhelm Pieck był Łużycaninem z Gubina?

Ożywienie obumierającej kultury jest bardzo trudne, ale nie niemożliwe. Sto lat temu ożywiono przecież w Palestynie zupełnie martwy język hebrajski. Dla Żydów był to jedynie język świętych ksiąg i modlitwy, nikt nim na co dzień nie mówił. Łużycanie są w lepszej sytuacji. W Budziszynie, największym skupisku Serbołużyczan, funkcjonuje Niemiecko-Łużycki Teatr Narodowy, Instytut Serbski, stoi Dom Serbski, są redakcje periodyków i wydawnictwo książkowe oraz muzeum. Filie tych instytucji znajdują się w Chociebusu (Cottbus).

Diaspora słowiańska nadal zachowuje swój język, tradycje i barwne zwyczaje.

Budziszyn, czyli 2 języki, 8 muzeów, 17 wież, 20 rodzajów musztard, 80 pubów, kawiarni, restauracyjek w centrum miasta, ponad 200 rekonstrukcji dinozaurów w parku i ponad 1000 lat historii. Niewątpliwie Budziszyn to jedno z naj-



Ratusz w Budziszynie. Fot. Janusz Plewniak

piękniejszych miast w Niemczech. Romantyczne spacerunki wąskimi uliczkami, schodami, między domami z ozdobnymi fasadami i niemal całkowicie zachowanym średniowiecznym murem miejskim oferują kontemplacyjne widoki.

Budziszyn pojawia się jako słowiańskie warowne miasto już w 1004 roku, gdy zostało zdobyte przez cesarza Henryka II. W 1018 roku zawarto tu pokój między polskim księciem Bolesławem Chrobrym i cesarzem Henrykiem II. Na jego mocy została zakończona wojna toczona od 1015 roku. Przy Polsce pozostały niezależne od cesarza Łużyce i Morawy. Bolesław uzyskał też posiłki zbrojne na wyprawę kijowską, mającą na celu osadzenie na tronie kijowskim zięcia Bolesława – Świętopelka.

Zabytki starego miasta Budziszyna usytuowane są blisko siebie, w odległości krótkiego spaceru. Budziszyn jest słusznie nazywany miastem wież. Ponad 20 wież i baszt zbudowanych w mieście, aż dziesięć z nich można oglądać jedno-

nocześnie w naturalnej panoramie z mostu nad Sprewą.

Z okien naszego pensjonatu oglądaliśmy ratusz z trzema zegarami; jednym na dzień, drugim na noc i trzecim na słoneczną pogodę – wyjaśniła przewodniczka, gdy nazajutrz skorzystaliśmy z objazdowej wycieczki. Faktycznie, ten trzeci to zegar słoneczny. Tuż za ratuszem widoczna jest kolejna wieża katedry świętego Piotra.

Katedra św. Piotra w Budziszynie (Katedra św. Pëtra) jest jednym z największych symultanicznych kościołów w Niemczech i najwyższym budynkiem w Budziszynie. To jeden z najważniejszych domów kościelnych w Saksonii i najstarsza lokalizacja kościoła w Łużycach. Także najstarszy kościół symultaniczny w Niemczech.

Już około 1000 roku hrabia Eido von Rochlitz wybudował pierwszy kościół parafialny na miejscu dzisiejszej katedry, a w 1430 roku katedra zyskała swój obecny wygląd. Po reformacji w 1524



Wnętrze sklepu musztardowego w Budziszynie.
Fot. Janusz Plewniak

roku katedra stała się *de facto* jednoczesnym kościołem rzymskokatolickim i luteranckim. Była zatem pierwszym symultanicznym kościołem w Niemczech i jednym z trzech takich świątyń w Niemczech wschodnich. Po długich sporach między luteranami i katolikami Bautzener Rat i Domstift zawarli w 1543 roku pierwszy traktat regulujący korzystanie z kościoła przez oba wyznania chrześcijańskie.

W Niemczech dzisiejszych nadal istnieją aż 64 kościoły jednocześnie ewangelickie i katolickie. Znajdują się w dziewięciu krajach federalnych lub inaczej w 18 biskupstwach.

Klimat Budziszyna jest łagodny, jednak często wietrzny. Popularne wśród Budziszan przysłowie mówi „Gdy wiatr nie wie, dokąd iść, wieje nad Budišin” („Weiß der Wind mal nicht wohin, weht er über Budissin”). Z drugiej strony, Budziszyn był szczególnie w średniowieczu znany z dobrego powietrza, ponieważ wiatr znacznie zmniejszał klasyczne zapachy uliczne.

Swoją meteorologiczną funkcję spełnia też 83-metrowa wieża katedry. Wspięliśmy się nań po 238 stopniach na ogólnie dostępny taras na wysokości około 53 metrów. Dużo potężnie, odmiennie niż na spokojnym placu katedralnym.

Budziszynianie powtarzają starą zasadę, że zła pogoda się zbliża, gdy katedra „orgelt” (słychać jej organy). Wynika to z faktu, że ze względu na ażurową konstrukcję wieży kościelnej, przez burzliwy wiatr generowany jest stały świst, hałas, który brzmi jak wycie i jest szeroko słyszalny w mieście. Ponieważ gwałtowne wiatry często poprzedzają burze, zwłaszcza podmuchy wiatru są zwiastunami burz, legendarne „organy” wieży katedry są postrzegane jako znak zmian pogodowych.

Ciekawą, acz smutną, wręcz tragiczną historię mają budynki za murem na wzgórzu ponad miastem.

To zabudowania powstałego w latach 1904-1906 więzienia, na owe czasy bardzo nowoczesnego. W 157 celach były miejsca dla 203 więźniów, a pomieszczenia były ogrzewane nadmuchem ciepłego powietrza oraz miały oświetlenie elektryczne. Dzieje tego ośrodka odosobnienia są zarazem historią tej części Europy w soczewce. Przez pierwsze lata nigdy nie odsiadywało w nim kary więcej pensjonariuszy niż 1/3 możliwości *postępowych* kazamatów, toteż od 1916 roku część zabudowań przejęło wojsko. Odtąd już aż po dziś więzienie będzie podzielone na dwie części. Chwilami łączone, częściej rozdzielane. Od 1933 roku aż po 1945 coraz więcej lokatorów, to byli prawdziwi i sprowokowani przeciwnicy nazistowskich „porządków” oraz więźniowie „przesiadkowi” do obozów koncentracyjnych. Jeszcze ostrzejsze warunki stworzyli okupanci sowieccy, którzy zarządzali więzieniem od końca wojny do 1949 roku. W tym okresie przebywało tam ponad tysiąc przeciwników nowego ustroju. Po powstaniu Niemieckiej Republiki (z nazwy) Demokratycznej, było to tajne więzienie STASI i miejsce kaźni od dwustu do 260 „wrogów ludu”. Ostatni

więźniowie polityczni opuścili więzienie w grudniu 1989 roku. W styczniu 1992 zakład został ostatecznie zlikwidowany, nielicznych przestępców kryminalnych przeniesiono do mniejszego ośrodka podzielonego kompleksu. Węzienie zostało zamknięte ze względu na jego szczególnie znaczenie jako miejsce więzienia politycznego, a w 1993 roku utworzono tu Miejsce Pamięci Budziszyna, którego zadaniem jest upamiętnienie ofiar.

Gdy kliknąć na niemieckich stronach w sieci na obiekty warte zwiedzenia w Bautzen, to wśród wymienionych trzydziestu, ten ośrodek pamięci jest na pierwszym miejscu. Na kolejnych stronach ze zdjęciami i opisami pokazana jest radośniejsza przeszłość grodu i inne obiekty warte zwiedzenia, wśród nich ratusz, katedra, muzeum Słowian Łużyckich, park dinozaurów, tradycyjny sklep musztardowy oraz wiele historycznych wież o przeróżnym przeznaczeniu.

Pogodne dni w Budziszynie, mieście dwóch nacji i języków, dwójga wyznań oraz dwudziestu gatunków musztardy za nami.

Symultaniczny Budišin urzeka historią i zaciekawia współczesnością. ■



Budziszyn - napisy dwujęzyczne. Fot. Janusz Plewniak



Budziszyn - napisy dwujęzyczne. Fot. Janusz Plewniak

Wyklęci...

JAROSŁAW KAPSA

W czasach dla mnie trudnych, w 1983 r., przygarnęła mnie, dając możliwość zarabiania na przeżycie, pani Ania Kościelna. Pracowałem wspólnie z bratanikiem pani Ani – Stefanem, w warsztacie; z pomocą Stefanowych ustrojstw, z odpadów blachy, tworzyliśmy rurki do parasoli. Robota żmudna, więc dla osłody pani Ania często zarządzała przerwę, częstując kawą i tortowymi ciasteczkami.

Było jak w rodzinie. Ale obowiązywała zasada „nie pytaj, nie mów”. Oni wiedzieli, że jestem w „Solidarności”, ja wiedziałem, że oni byli w konspiracji w czasie II wojny światowej. Żadnych pytań, żadnych szczegółów, im mniej się wie, tym bezpieczniej. Dopiero w latach 90. mogłem wiedzę uzupełnić. Pani Ania, z rzemieślniczego rodu Malko, w czasie okupacji kierowała narodową Służbą Kobiet; mężem jej był Piotr Kościelny – szef sztabu okręgu AK-NSZ. Stefan, jako 16-latek, był żołnierzem Narodowych Sił Zbrojnych, przedzierał się zimą 1945 r. przez front wraz z Brygadą Świętokrzyską. Pani Ania nie była jedyną znaną mi osobą z grona tych „wyklętych”. Miałem też zaszczyt poznać legendarnego „Żbika” Władysława Kołacińskiego. Osobisty kontakt uczy więcej niż książki historyków. Wiedza bez empatii, to tylko „cymbał brzmiający”, mit jest pustym sloganem, jeśli nie widzi się ludzi.

Były chwile piękne, promieniujące chwałą. Takim epizodem był brawurowy napad na bank w centrum Częstochowy, 20 kwietnia 1943 r., w dniu urodzin Adolfa Hitlera. Skład atakujących był mieszany: dowodził ksiądz Feliks Kowalik „Zagłoba” z Czermnej pod Końskimi, towarzyszyli mu byli żołnierze „Hubala”. Pomoc organizacyjną, w tym transport i niemieckie umundurowanie, załatwiła organizacja NSZ z Radomska, obstawę w czasie akcji tworzyli częstochowscy żołnierze NSZ. Akcja zdumiewała swoją bezcelnością. 200 metrów od banku, na placu A. Hitlera (dziś pl. Biegańskiego), odbywała się defilada; bank w Alejach prawie sąsiadował z siedzibą gestapo. Trzeba było mieć żelazne nerwy, by w takim otoczeniu, w przebraniu w „lipne” mundury niemieckie, wpaść



Ulica Bociania, gdzie zabito płk. Nakoniecznikoffa. Fot. Jarosław Kapsa

do banku, sterroryzować ochronę, wylać drzwi do sejfu (wszystko to trwało ponad godzinę), po czym uciec ciężarówką napędzaną holz-gazem (węglem), przejeżdżając pod oknami gestapo. Zdobyto 2,6 mln zł, ale ważniejszy był efekt psychologiczny. Po Częstochowie kursowała pogłoska, że akcja była dziełem angielskich komandosów; Niemcy utracili poczucie bezpieczeństwa, a Polacy z dumą podnieśli głowy.

Obstawą na zewnątrz dowodził „Adam” Władysław Pacholczyk, on także decydował o rozdzieleniu zdobytych środków. Towarzyszyli mu przed bankiem żołnierze NSZ: „Żbik” Kołaciński i „Esman” por. Stanisław Szajna. Kilka miesięcy później gestapo aresztowało Kołacińskiego. Przetrzymał tortury w katowni na ul. Kilińskiego 10, wysłany transportem do Oświęcimia, uciekł z pociągu. W lasach pod Włoszczową odszukał swoich. Dowiedział się, że jego przyjaciel „Esman”, szef Akcji Specjalnej częstochowskiego NSZ, zamordowany został przez partyzantów komunistycznych.

Gdy brak empatii trudno pewne rzeczy rozumieć. O przynależności organizacyjnej często decydowało to, z kim

się nawiązało pierwszy kontakt. „Żbikowi” ideowo najbliżsi byli ludowcy, był synem chłopskim z łódzkiego województwa. W Częstochowie w konspiracji antyniemieckiej dominowali endecy, bo przed wojną mieli tu silne struktury. Większość z nich zdecydowała o scaleniu z AK, z zachowaniem autonomii jako AK-NOW. Pacholczyk, przedwojenny radykał, miał doświadczenie pobytu w Berezie, stąd jego rezerwa wobec „piłsudczyków”, skutkująca włączeniem jego grupy do NSZ. Nie był to wybór koniunkturalny; napadu na bank dokonano, bo struktury NSZ odcięte były od londyńskiej pomocy. Ideą Pacholczyka była Polska Narodowa, ideą Kołacińskiego Polska Ludowa, jednocięła ich i pozostałych żołnierzy wiara w Polskę Niepodległą, o którą bić się trzeba z wrogiem niemieckim i z wrogiem sowieckim.

W marcu 1944 r. doszło do drugiego etapu scalenia. Na podstawie umowy podpisanej przez komendanta AK gen. „Bora” Komorowskiego i komendanta NSZ gen. „Żegotę” Tadeusza Kurcjusza powstało AK-NSZ. W Częstochowie do tej formacji przeszła większość narodo-



Grób rodzinny Żabów, w którym pochowany został komendant NSZ. Fot. Jarosław Kapsa

wej organizacji, w tym Pacholczyk, szef sztabu VIII okręgu NSZ kpt. Tomasz Jarczewski „Tomasz”, kpt. Piotr Kościelny „Maciej”, szef wywiadu kpt. Stanisław Żak „Stach”, szefowa organizacji kobiet Anna Malko-Kościelna „Ada”. 31 marca 1944 r. zmarł „Żegota”, część dowództwa NSZ nie zaakceptowała jego następcy płk. Albina Raka „Lesińskiego”, odmówiła podporządkowania się rozkazowi scalenia. Byli to, przede wszystkim, przedwojenni ONR-owcy, tworzący przed NSZ konspiracyjny Związek Jaszczurczy. Oprócz różnic ideowych zdecydował o rozłamie protest przeciw planowi powstańczemu – akcji „Burza”, a także stosunek do komunistycznej partyzantki. Krew już się rozlała, komuniści zabijali narodowców, w odwet NSZ zabijało komunistów; tego nie dało się zatrzymać w imię racji „wyższych”. Na czele odmawiającej scalenia grupy NSZ stał płk Nakoniecznikoff-Klukowski „Kmicic”. Zgodnie z jego rozkazami oddziały partyzanckie NSZ miały zgrupować się w województwie kieleckim, tworząc „Brygadę Świętokrzyską”. Wykonując ten rozkaz do Brygady przyłączył się oddział „Żbika” Kołacińskiego.

Fakty nie mówią o atmosferze, a zwłaszcza o depresyjnym nastroju klęski po upadku Powstania Warszawskiego i klęsce „Burzy”. Upadł autorytet rządu londyńskiego, znaczna część AK, do grudnia 1944 r., nie uznawała przywództwa nowego komendanta – gen. Okulickiego „Niedźwiadka”. Dowództwo Brygady Świętokrzyskiej odmówiło posłuszeństwa „Kmicicowi” zarzucając, że komendant bezczynnie siedział w czasie Powstania w Warszawie, ukrywając się razem z komunistycznym szefem PÁL Julianem

Skokowskim. Częstochowska organizacja AK-NSZ zachowała w czasie Postania lojalność wobec „Bora”; w Warszawie zginął Tomasz Jarczewski, narodziła się służba kobiet organizowała pomoc dla uchodźców ze spalonej stolicy. Najtrudniejsza dla wszystkich była odpowiedź na pytanie: co dalej... Wojna była przegrana, oczekiwano nowej sowieckiej okupacji; czy w tych warunkach należało kontynuować opór, czy ratować życie żołnierzy...

Dowództwo Brygady Świętokrzyskiej wybrało ratowanie żołnierzy. Zrodził się plan, by uzgodnić „neutralność” ze strony jednego wroga – Niemców, wycofać oddział na Zachód, by uniknąć zagłady ze strony drugiego wroga – Sowietów. Nie osądźmy tego; szczęśliwy los pozwolił nam uniknąć trudnego dylematu moralnego – poświęcić dla honoru życie tysięcy młodych ludzi, czy za wszelką cenę ratować ich dla przyszłości. Ta „wszelka cena”, niestety, obejmowała rzeczy straszne, w tym konieczność zabijania swoich.

Pośrednikiem dla dowództwa Brygady w rozmowach z Niemcami stał się Hubert Jura „Tom”. Urodzony na ziemi bydgoskiej w polsko-niemieckiej rodzinie, kierował od 1942 r. samodzielnym oddziałem „Sosna-Las”, walczącym głównie z komunistyczną partyzantką. W 1943 r., przez kilka miesięcy, oddział wszedł w strukturę NSZ, a Jura stał się kierownikiem Akcji Specjalnej w okręgu radomskim. Rozpoznanie przeprowadzone przez Pacholczyka udowodniło liczne kontakty Jury z szefem radomskiego gestapo Paulem Fukssem. Na tej podstawie usunięto jego oddział z sze-

regów NSZ, a na Jurę wydano wyrok śmierci. Wiosną 1944 r. Jura pojawił się w Częstochowie. Dzięki pomocy gestapo otrzymał willę przy ul. Jasnogórskiej, tam zalegalizował swoją działalność pod „przykrywką” firmy transportowej. W rzeczywistości miał wspomagać lokalne gestapo w walce z komunistyczną konspiracją. Kontakty Jury pozwoliły gen. Zygmuntowi Broniewskiemu „Boguckiemu” d-cy Brygady wynegocjować z Niemcami zasady odwrotu przez linię frontu. Nie wiadomo, czy znał on cenę dodatkową, ustaloną z Jurą przez szefa wywiadu NSZ Otmara Wawrzkiwicza, ONR-owca, współzałożyciela Związku Jaszczurczego.

Pojawienie się „Toma”, skazanego na śmierć przez NSZ i przez sąd AK, zdecydowało o podjęciu przez Pacholczyka ponownego rozpoznania jego organizacji. Nadzór nad tym miał szef wywiadu „Stach” Stanisław Żak. Zbadanie siedziby „Toma” na Jasnogórskiej powierzono synowi przedwojennego właściciela domu Ryszardowi Hartlińskiemu. Podczas wykonywania tego zadania został we wrześniu 1944 r. zatrzymany przez ludzi „Toma”, do stycznia przetrzymywano go w prowizorycznym areszcie w piwnicy budynku. Jego relacja, złożona Piotrowi Kościelnemu, była świadectwem bratobójczych zbrodni. Początkowo razem z Hartlińskim siedziała łączniczka AL Kazimiera Wąsik, wdowa, matka kilkunastoletniej córki, prowadząca kiosk Ruchu. W początkach listopada w tym piwnicznym areszcie znalazł się Pacholczyk. Szef częstochowskich struktur AK-NSZ, członek Zarządu Głównego konspiracyjnego Stronnictwa Narodowego, został na rogu ul. Kilińskiego i Jasnogórskiej zatrzymany przez funkcjonariuszy gestapo. Nie trafił jednak do klatki przy Kilińskiego 10, lecz do „prywatnego” więzienia „Toma”. 23 grudnia „Adam” Władysław Pacholczyk wraz z Kazimierą Wąsik został przez ludzi „Toma” wywieziony w nieznane miejsce. Zwłok zamordowanych nie odnaleziono.

Wcześniej 18 października 1944 r. zabity został komendant NSZ płk. Stanisław Nakoniecznikoff – Klukowski. Pisał o tym Jan Pietrzykowski oficer AK-NOW, powojenny prokurator Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich. Nakoniecznikoff *Po Powstaniu Warszawskim znalazł się w Częstochowie. Zatrzymał się w mieszkaniu matki „Haika”, przy ulicy Bocianie, w dzielnicy Zawodzie. Włodzimierza Żabę „Haika” przyjąłem do NOW trzy lata wcześniej. Odebrałem od niego przysięgę w małym, biednym mieszkaniu przy ulicy Bocianie. Jego matka wdowa prowadziła sklepik spożywczy. Włodek, który ukończył przed wojną szkołę podchorążych, energicznie, silnie zbudowany nadał się do linii wojskowej NOW. „Haik” odwiedził mnie, kiedy w grudniu 1943 roku wyszedłem*

z więzienia gestapo. /.../ W niespełna rok później, już nie żył. Wieczorem, tragicznego dnia 18 października, Antoni, brat „Haika”, wracał do domu. Obok krzyża przy ulicy Mirowskiej, skąd było już blisko do domu, stał samochód. Nie zwrócił na niego większej uwagi, nie mógł przypuszczać, że to wóz morderców. Wszedł do mieszkania, kiedy zabójcy przed chwilą je opuścili. Zobaczył martwe ciało brata i „Kmicica”. Świadkami zbrodni były matka i siostra Antoniego. Od nich dowiedział się szczegółów napadu. Napastnicy działali błyskawicznie. Padł rozkaz: ręce do góry i zaraz prawie dwa strzały. Celne strzały w głowy. Parę dni później odbył się pogrzeb. Pochowano ich w jednym grobie na cmentarzu na Kulach.

25 listopada nieznanymi sprawcami, najprawdopodobniej ludźmi „Toma” zabili na ulicy Botanicznej Stanisława Żaka. Szef wywiadu został zastrzelony przed domem swojej matki. Był on najbliższym z przyjaciół Anny i Piotra Kościelnych. Młody człowiek, przedwojenny harcerz, odważnie wypełniający nawet najtrudniejsze rozkazy. Gdy mi o nim opowiadała pani Ania, miała łzy w oczach, był jej młodzieńczą miłością. Nie zabili go Niemcy, ale „swoi”, to najbardziej boli...

Do tej listy dodajmy zastrzelonego w Krakowie na ul. Szewskiej szefa II Oddziału NSZ Witolda Gostomskiego. Taka była cena wyjścia Brygady Świętokrzyskiej, cena ocalenia tysiąca żołnierzy NSZ. Trzeba było zabić tych, którzy nie godzili się na kolaborację z Niemcami.

„Żbik” Kołaciński nie wyszedł z Brygadą. Gdy przygotowywano się do przejścia linii frontu pod Koziegłowami, oddział „Żbika” skierowano na „leże zimowe” na północ, pod Cieletniki. *Ciągnęliśmy lasami i wertepami, omijając osiedla, aby nie spotkać się z bolszewi-*



Budynek dawnej siedziby częstochowskiego gestapo przy ul. Kilińskiego 10. Fot. Tomasz Bienek



Willa na ul. Jasnogórskiej, siedziba organizacji „Toma”. Fot. Jarosław Kapsa

kami lub komunistami, którzy oniemiałymi bliskością towarzyszy wylazili teraz odważnie na światło dzienne. Po lasach, po wsiach pełno niemieckich rozbitków. Niektórzy, zrezygnowani i złamani, oddawali broń bez oporu. Inni, szczególnie SS, bronili się jeszcze – pisał Kołaciński w wydanych w latach 90. wspomnieniach. Przemykając się między oddziałami sowieckimi, wyczerpani wielodniowym marszem nocami, wśród śnieżnej zawiei żołnierze „Żbika” dotarli do wsi Kijów. O wyznaczonym czasie stanął dwuszerog obdartusów, nędzarzy. (...) Począłem przemawiać do żołnierzy. Drżał mi głos, stopniowo załamywał się, aż słowa ugrzęzły w krtani...

Tak nastąpiło rozformowanie oddziału. Przebrani w chłopskie ubrania z drzemiącymi pod marynarkami pistoletami, bez świstków dokumentów leśni żołnierze rozeszli się do domów. Nie dane im było zaznać pokoju. W początkowym okresie ogólnego zamieszania poruszałem się dość swobodnie. Nie trwało to długo. (...) Przez Kraj szła nowa fala terroru. Niemieckiego Bergmanna zastąpiła sowiecka Pepesza. Oslawione NKWD przy pomocy szpicli i nagonki B wylapuje „faszystów”. Pogestapowskie więzienia i obozy koncentracyjne zapelniają się szybko. Ludzie tajemniczo znikają z domów i ulic. Popłynęła znów krew w zamaskowanych piwnicach i sowieckich łagrach. Codziennie transporty na wschód wywożą najlepszych synów Polski. / Kołaciński.

Znów musieli szukać schronienia w leśnym oddziale.

Po wejściu Armii Radzieckiej do Częstochowy Piotr Kościelny ukrywał się. Pani Ania, będąca w szóstym miesiącu ciąży, została wyrzucona z mieszkania w rodzinnej kamienicy przy ul. Kościuszki; dom zajęły wojskowe instytucje sowieckie. Przed porodem aresztowała ją UB, wymuszając informację o mężu.

Aresztowany Piotr skazany został na wieloletnie więzienie.

Najgorsze, że o tym nie wolno było mówić. Nie wolno było przez prawie pół wieku ujawniać swej działalności w NSZ, być dumnym z walki z okupantem, wspominać zabitych bliskich, bohaterów.

Nie wolno było mówić o tym dramacie jesiennym, z 1944 r., gdy z ręki „swoich” ginęli „nasi”.

Bratanek pani Ani, Stefan, z dumą wspominał, jak w ostatnich dniach wojny wyzwolili więźniarki obozu koncentracyjnego w Holeszowie; „narodowcy” ocalili kilkaset kobiet żydowskiego pochodzenia. Ale musiał milczeć, pytany, jak trafił z Częstochowy na zachód państwa czeskiego.

Teraz nazywają ich „żołnierzami wyklętymi”, Premier składał kwiaty na mogiłach żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej. Ale nowy mit nie daje wolności słowa, nie pozwala lepiej zrozumieć dramatu ludzi przez historię rzuconych w sytuację, w której nie było dobrego wyjścia. Mit nie pozwala pytać: za co zginął Staszek Żak i Włodek Żaba...

Autora zdjęć zamieszczonych w numerze 12/315/2021 – Pana **Marcina Szpadrowskiego**, którego wystawa prac zatytułowana „*Ojciec Jerzy Tomziński. Niepodległy*” prezentowana była w Sali Rycerskiej na Jasnej Górze – za pominięcie Jego nazwiska pod opublikowanymi w artykule Jarosława Kapsy pt. „*Sługa sług Maryi*” fotografiami na stronach 18,19,20 miesięcznika,, bardzo serdecznie przepraszamy. Redakcja miesięcznika społeczno-kulturalnego „**Śląsk**”

Bogdan Soroka, zwany popularnie „doktorem”, był pod koniec II wojny światowej komendantem zgrupowania partyzanckiego, prowadzącego swoją działalność w rejonie schroniska na stokach Baraniej Góry. Trafił do partyzantki po zdekonspirowaniu go przez Niemców, którzy odkryli, że ów pomocnik chirurga ze szpitala hutniczego z Trzyńca uprawiał bezczelny sabotaż. Robił dziwne zastrzyki robotnikom, zagrożonym poborem do Wehrmachtu, co czyniło ich niezdolnymi do służby wojskowej.

To chyba najbarwniejszy epizod wojenny w burzliwych dziejach schroniska pod Baranią Górą, drugiego pod względem wysokości szczytu górskiego (1220 m n.p.m.) w Beskidzie Śląskim. Historia turystycznego zagospodarowania terenów tworzących tzw. obszar źródłiskowy Wisły, królowej polskich rzek, sięga jednak czasów znacznie odleglejszych.

Domek myśliwski Habsburgów

Na leśnej polanie Przysłop (ok. 900 m n.p.m.), oddalonej o prawie godzinę pieszej wędrówki od szczytu Baraniej Góry, wzniesiono w latach 1897-98 drewniany domek myśliwski Habsburgów. Stylowy obiekt wzorowany na architekturze tyrolskiej powstał na polecenie austriackiego arcyksięcia Fryderyka (1856-1936), ostatniego arystokraty z cieszyńskiej linii sławnego rodu. Domek nosił potoczną (a zarazem nieco romantyczną) nazwę „schroniska u źródeł Wisły”. Była to po prostu baza wypadowa do polowań na głuszcę. Domek został jednak doszczętnie splądrowany i zdewastowany pod koniec I wojny światowej. Ponad 100 lat temu znalazł się w granicach odrodzonego państwa polskiego.

W roku 1923 górnośląski oddział Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Katowicach rozpoczął starania o przejęcie beskidzkiego obiektu w celu przekształcenia go w publiczne schronisko. Wysiłki w tym względzie zakończyły się pełnym powodzeniem. Obiekt zmienił zupełnie swoje przeznaczenie. Nie było to jednak łatwe, bo ówczesne warunki nie sprzyjały

Górcy szpiedzy i sabotażyści

ZBIGNIEW LUBOWSKI

prowadzeniu robót remontowych. Brakowało dogodnych dróg dojazdowych, nie istniała jeszcze stacja kolejowa w Wiśle.

W dolinie Czarnej Wiselki

15 lipca 1925 roku gotowe schronisko pod Baranią Górą zostało oddane do użytku. Najkrótsza do niego droga (niepełna 3 godz. marszu) wiodła z miejscowości Wisła-Czarne doliną Czarnej Wiselki. Ku zaskoczeniu gospodarzy wypełniło się w szybkim czasie turystami, którzy chętnie odwiedzali je zarówno w lecie, jak i w zimie.

Obiekt dysponował wtedy pulą 104 miejsc noclegowych (44 na stacjonarnych łózkach i 60 na pospolitych siennikach). Dzierżawcą obiektu był Karol Kroker (cena noclegu dla osoby zrzeszonej w PTT wynosiła zaledwie 2 zł!). Pasjonaci narciarstwa wybudowali przy schronisku niewielką skocznię. Organizowano tam kursy narciarskie dla młodzieży.

Wybuch II wojny światowej sparaliżował funkcjonowanie schroniska. Turystyka górską w Beskidach uległa zahamowaniu. Okupanci snuli szaleńcze plany. Już na początku października 1939 roku Hitler rozważał koncepcję utworzenia Beskidengau – okręgu beskidzkiego, włączonego do III Rzeszy. Koncepcja opierała się na założeniu, że mało wartościową pod względem rasowym część ludności Beskidów należy wysiedlić, by zwolnić w ten sposób miejsce dla niemieckich przesiedleńców z południowego Tyrolu.

Polityczne plany z tamtego okresu przewidywały ponadto, że pozostałą ludność górską o aryjskich cechach rasowych trzeba pozyskać politycznie, a w przyszłości ją zgermanizować. Diabelskie pomysły Hitlera i jego bliskich współpracowników, w tym zwłaszcza Arthura Seyss-Inquarta z Austrii, nie zostały – na szczęście – urzeczywistnione. Skończyły się tylko na utworzeniu trzech beskidzkich powiatów, obejmujących zaanektowane przez III Rzeszę tereny górskie. Weszły one w skład tzw. rejencji katowickiej.

Schronisko pod Baranią Górą przetrwało zawieruchę wojenną bez poważniejszych zniszczeń. Ponownie udostępniono je turystom w roku 1946, ale już pod organizacyjnym parasolem Lasów Państwowych. 7 lat później znalazło się w gestii PTTK (przedwojenne PTT było protoplastą dzisiejszej organizacji). Powiększono je o nowe skrzydło i zmodernizowano cały obiekt.

Beton u źródeł Wisły

W maju 1973 zapadła decyzja o budowie nowoczesnego schroniska na beskidzkiej polanie Przysłop. Uznano, że dawny domek myśliwski Habsburgów nie nadaje się już – nawet po remontowych udoskonaleniach – do obsługi narastającego z roku na rok ruchu turystycznego w rejonie Baraniej Góry. Realizacja górskiej inwestycji trwała 6 lat.

Ze smutkiem trzeba jednak stwierdzić, że oddane do eksploatacji w 1979 roku nowe schronisko w tym uroczym zakątku Beskidu Śląskiego, nieopodal źródeł Wisły, nie przypomina w niczym starego, stylowego obiektu. Postawiono trzypiętrowy „kloc betonowy” o nieatrakcyjnym wyglądzie stereotypowego hotelu górskiego. Obiekt ma bez wątpienia więcej stacjonarnych miejsc noclegowych, niż jego poprzednik, ale nie ma już „duży” i fantastycznego klimatu, jaki panował w XIX-wiecznej chatce Habsburgów...

Chatka przefrunęła w inne miejsce

Na szczęście nie trafiła jednak na śmietnik historii. W połowie lat osiemdziesiątych została rozebrana i przetransportowana drogą lotniczą do centrum Wisły. Zre-



Górski domek myśliwski Habsburgów na widokówce z roku 1900



15-metrowa wieża widokowa na szczycie Baraniej Góry

konstruowano ją na pustym placu przy ul. Lipowej. Od ponad 30 lat jest siedzibą wiślańskiego oddziału PTTK.

A przy obecnym schronisku PTTK na Przysłopie, dysponującym 80 miejscami noclegowymi, stoi drewniany budynek gospodarczy, który w przeszłości stanowił zaplecze starego obiektu turystycznego (była to tzw. *GOPR-ówka*). Mieści się w nim górską placówkę muzealną – Baraniogórski Ośrodek Historii Turystyki Górskiej „U źródeł Wisły”. Na szczycie Baraniej Góry znajduje się zaś 15-metrowa stalowa wieża widokowa. Ustawiono ją tam w roku 1991, by umożliwić wędrowcom podziwianie beskidzkich pejzaży.

Niemiecka inwestycja górska

Niewielu z nas zdaje sobie sprawę z faktu, że niektóre z górskich schronisk mają rodowód... szpiegowski. Dotyczy to m.in. znanego i popularnego w Beskidzie Żywieckim obiektu turystycznego na Rysiance (1322 m n.p.m.). Aby wyjaśnić tę niezwykłą sprawę, cofnijmy się w czasie o ponad 90 lat.

W 1931 roku niemieckie towarzystwo turystyczne przystąpiło do budowy schroniska na **Hali Lipowskiej** (1324 m

n.p.m.) Była to już dziesiąta z kolei górską inwestycja Beskidenverein na obszarach, które obecnie należą do Polski oraz do Republiki Czeskiej. Przedtem wzniesiono m.in. niemieckie schronisko na Szyndzielni (1897) w Beskidzie Śląskim i Magurce Wilkowieckiej (1903) w Beskidzie Małym.

Budowa kolejnego obiektu z tej serii wzbudziła stanowczy sprzeciw **Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego**, które powołując się na swoje prerogatywy przyznane mu przez ówczesne Ministerstwo Robót Publicznych próbowało ją zablokować. Niemcy zdołali jednak zgromadzić odpowiednie zezwolenia administracyjne.

6 sierpnia 1932 roku gotowe schronisko z kuchnią, jadalnią, zapleczem gospodarczym oraz pięcioma pokojami noclegowymi, wyposażonymi w 22 łóżka dla beskidzkich wędrowców, zostało oddane do użytku. Cztery lata później doprowadzono do niego linię telefoniczną, co dodatkowo uatrakcyjniło obiekt. Najkrótsza trasa do schroniska wiodła ze wsi Złatna (niepełna dwie godziny turystycznego marszu).

Ofensywny rzeźnik

W zbliżonym czasie pojawiła się konkurencyjna inicjatywa inwestycyjna. W roku 1935 Gustaw Pustelnik, bielski rzeźnik i współwłaściciel pobliskiej hali na **Rysiance**, wydzielił z niej najatrakcyjniejszą widokowo górną część (1322 m n.p.m.) i przystąpił do wznoszenia na tym terenie następnego schroniska. Stało się to przyczyną poważnych zatargów ofensywnego rzeźnika nie tylko z pozostałymi współwłaścicielami hali, ale także z polskimi władzami administracyjnymi. Pustelnik nie uzyskał bowiem wymaganego zezwolenia na rozpoczęcie jakiegokolwiek budowy. Po licznych perypetiach otrzymał w końcu zgodę na postawienie małego budynku gospodarczego.

Z fundamentów zaczął dość szybko wyrastać pokaźnych rozmiarów dom

mieszkalny. Władze nakazały wówczas rozebrać budynek, a właściciela obłożyły wysoką karą. Równocześnie Pustelnik wdał się w poważne konflikty z mieszkańcami Złatnej i Sopotni Wielkiej – wsi położonych po obu stronach Rysianki. Budowa obiektu wywołała niekończące się pasmo kłótni i rozpraw sądowych, tym bardziej, że Beskidenverein zwałczwał Pustelnika, upatrując w nim groźnego konkurenta.

Bielski rzeźnik nie przejmował się jednak kłopotami i robił swoje. Wkrót-



Niemieckie schronisko Beskidenverein na Hali Lipowskiej w czasach II wojny

ce zainteresowani mogli zobaczyć, że stawiany przez niego obiekt wyróżnia się ogromną – jak na górskie warunki – kubaturą. Na beskidzkiej polanie pojawił się nieoczekiwanie obiekt trój kondygnacyjny z 11 pokojami noclegowymi.

Narciarze przyszli z pomocą

Nie wiadomo, jak potoczyłyby się dalsze losy osobiwej budowy, gdyby nie pomoc, z jaką pospieszyło Pustelnikowi Tatrzańskie Towarzystwo Narciarzy z Krakowa. Dysponowało ono już własnym schroniskiem na Kalatówkach. Doprowadziło do zalegalizowania beskidzkiej samowoli budowlanej, przyznając inwestorowi niezbędne fundusze na sfinalizowanie przedsięwzięcia i wyposażenie obiektu. 16 maja 1937 schronisko na Rysiance otwarło wreszcie swoje podwoje dla turystów. Miało własną kuchnię, umywalnię oraz 50 miejsc noclegowych. W ówczesnych realiach był to atrakcyjny obiekt dla zlaknionych górskiej włości piechurów z plecakami. Od samego początku cieszył się dużym zainteresowaniem turystów i niezłe prosperował. Wędrownica z Sopotni Wielkiej do schroniska zajmowała co najwyżej dwie godziny.

Z Abwehry do schroniska

Z czasem wyszło jednak na jaw, że gospodarz obiektu jest w istocie... szpiegiem pracującym dla niemieckiej Abwehry. Kierowana przez Aleksandra Kunic-



Przedwojenne schronisko polskie na Rysiance



Współczesne schronisko na Rysiance

kiego bielska Ekspozytura Samodzielnego Referatu Informacyjnego Dowództwa Okręgu Korpusu w Krakowie rozpracowała skutecznie beskidzkiego agenta, uchodzącego do tej pory za gorącego propagatora i miłośnika pieszej turystyki górskiej.

Warto przy sposobności odnotować, że w późniejszym okresie Kunicki (1898-1986) był wysoko postawionym oficerem Kierownictwa Dywersji Komendy Głównej AK. Kierował przygotowaniami do zamachów na niemieckich dowódców SS i Policji w Generalnym Gubernatorstwie. Został uhonorowany Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari, a współcześnie jego imię nosi jedno z rond drogowych w Kozach, dużej wsi w powiecie bielskim, gdzie jest pochowany.

Aresztowanie Pustelnika nie powiodło się, gdyż zdołał on w porę uciec na Słowację. Powrócił na Rysiankę w pierwszych dniach września 1939 roku. Przejął swoje dawne schronisko i zaczął mścić się na miejscowej ludności, z którą był mocno skonfliktowany w okresie przedwojennym. Zmuszał wiele osób do pracy na jego rzecz.

W nagrodę za swe liczne zasługi dla III Rzeszy, otrzymał znaczną część mienia wysiedlonych z okolicy Żydów, w tym m.in. sporą masarnię w Żywcu. Schronisko na Rysiance pełniło zaś wojenną rolę stałego punktu obserwacyjnego dla żołnierzy Wehrmachtu. Po raz ostatni widziano Pustelnika w Żywcu w styczniu 1945 roku, gdy podczas urlopu doglądał tam swych rzeźniczych interesów. Po wojnie już nie wrócił do Polski. Porzucił cały zagrabiony majątek i zamieszkał na stałe w Niemczech.

Przyjazny duet

Oba schroniska przetrwały wojenną potęgę. Zostały wprawdzie splądrowane (ogolono je ze wszelkich sprzętów,

a także wyrwano z nich drzwi i okna), ale stan techniczny w momencie przekazania ich Polskiemu Towarzystwu Tatrzańskiemu (protoplaście PTTK) w sierpniu 1945 roku był dość dobry. Wkrótce prowizorycznie urządzone schronisko na Rysiance (połączone we wspólną jednostkę turystyczną z sąsiednim obiektem na Hali Lipowskiej) zaczęło przyjmować pierwszych turystów. Od tamtego czasu wiele się zmieniło. Każde z obu schronisk – **oddalonych od siebie zaledwie o kwadrans turystycznej wędrówki** – jest dziś samodzielnym obiektem PTTK i gospodaruje na własny rachunek. Oba obiekty gruntownie odnowiono i zmodernizowano. Przed 11 laty – w sierpniu 2011 roku – obiekt na Hali Lipowskiej zwyciężył nawet w rankingu polskich schronisk górskich, przeprowadzonym przez popularny magazyn turystyczny „n.p.m.”.

Na Rysiance jest teraz po dawnemu 50 miejsc noclegowych dla wędrowców, a na Hali Lipowskiej – niewiele mniej (48). Prawie nikt już nie pamięta dziś o zaciętej rywalizacji dwóch – usytuowanych w bliskim sąsiedztwie – beskidzkich schronisk, z których jedno było niemieckie, a drugie – polskie, choć utworzone przez niemieckiego szpiega.

Szpiegowski aparat radiowy

Podobną opinię wizerunkową miało niegdyś prywatne schronisko niemieckie na Skrzycznem (1257 m n.p.m.), najwyższym szczycie Beskidu Śląskiego. Nie była to bynajmniej ocena bezpodstawna, bo Rudolf Urbanke, właściciel skrzyczeńskiego obiektu zwyczajnie zbiegł, gdy w sierpniu 1939 roku zainstalował się tam polski oddział wojskowy. W Szczyrku jego działalność szpiegowska na rzecz Niemców była publiczną tajemnicą. Uporczywie powtarzano, że Urbanke posiada w schronisku radio-

wy aparat nadawczy, co w tamtych czasach stanowiło dotkliwy zarzut.

Zlokalizowane na wysokości 1250 m n.p.m. obecne schronisko PTTK tuż pod wierzchołkiem góry nie jest bynajmniej pierwszą w dziejach chatką podobnego typu na stokach Skrzycznego. Pionierski obiekt w tym zakątku Beskidów powstał ponad 90 lat temu. Około 1930 roku Urbanke zakupił od mieszkańców wsi Lipowa, jednej z najstarszych osad na Żywiecczyźnie, parcelę na szczytowej polanie skrzyczeńskiej.

Postawił na niej drewniane schronisko z 30 miejscami noclegowymi. Było ono chętnie odwiedzane w okresie zimowym przez bielskich Niemców, którzy z upodobaniem jeździli tam na nartach. Piętrowy budynek nie pasował jednak pod względem architektonicznym do otoczenia. Po kilku latach spłonął w niewyjaśnionych okolicznościach.



Skrzyczne – schronisko niemieckie w roku 1934

Po pożarze właściciel terenu przystąpił do budowy nowego obiektu. W 1933 roku inwestycja została zrealizowana, lecz inwestor znowu zademonstrował kompletny brak gustu budowlanego. Na górskiej polanie wznosił osobliwą budowlę o pudełkowym kształcie.

Górska brzydota

- *Drewniany budynek raził brzydotą i nieprzystosowaniem do górskiego krajobrazu. Władze Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego wytoczyły Rudolfowi Urbanke proces sądowy o naruszenie zasad ochrony przyrody. Ciągnął się on przez kilka lat – pisał przed laty Edward Moskała.*

Podczas wojny kwaterował na Skrzycznem mały oddział Wehrmachtu, który zamykał dostęp do grzbietu prowadzącego w stronę Baraniej Góry. Na początku roku 1945 przebywała w schronisku już tylko Margareta Urbanke, żona właściciela, powołanego rok wcześniej do armii niemieckiej. Nie czekała ona jednak na nadejście Armii Czerwonej, lecz w lutym porzuciła schronisko i uciekła na zachód.

Skrzyczne znalazło się w tamtym czasie na linii frontu. Po zakończeniu wojny schronisko przedstawiało załozony widok. Szabrownicy rozkradli dosłownie wszystko, co tylko można było zrabować.

Z obiektu pozostał wyłącznie szkielet. W roku 1946 zrujnowane doszczętnie schronisko przekazano – jako mienie opuszczone – bielskiemu oddziało-



Skrzyczne – dawne schronisko w roku 1964

wi PTT. Organizacja nie dysponowała jednak okazałymi funduszami, potrzebnymi do sfinansowania kosztownego remontu i zakupu nowego wyposażenia obiektu. Na domiar złego – nie zdołano osadzić w nim dozorcę, co sprawiło, że przez cały rok budynek był narażony na całkowite zniszczenie.

Pomocna dłoń z Katowic

Dopiero po dwóch latach od zakończenia wojny rozpoczął się remont opustoszałego schroniska. Było to możliwe dzięki przejęciu go przez górnośląski oddział PTT w Katowicach, który sypnął wreszcie groszem, by doprowadzić obiekt do stanu używalności. Prace trwały 3 lata.

Rządzący krajem komuniści forsowali osobliwą narrację propagandową. Głosili tezę, że schronisko na Skrzycznym odrodzi się za sprawą tzw. Planu Sześcioletniego – *ciężkiej pracy górników, hutników i robotników, którzy wyteżonym wysiłkiem rąk i umysłów odbudują beskidzki obiekt z wojennych zniszczeń.*

W czerwcu 1950 roku zorganizowano na polanie skrzyczeńskiej spektakularną imprezę w typowej – dla tamtej epoki – konwencji okazywania „spontanicznej radości z osiągnięć socjalizmu”.

Z udziałem beskidzkich górali i górników w strojach galowych oddano do użytku odnowione i zmodernizowane schronisko. Grała orkiestra górnicza, powiewały flagi i transparenty, rozbrzmiewały głośno oklaski, wygłaszano patetyczne przemówienia. Nie brakowało – a jakże! – partyjnych okrzyków: „Bie-

rut, Bierut!”. Tylko nieliczni z uczestników gali skrzyczeńskiej zastanawiali się, w jaki sposób górnicy z ciężkimi instrumentami muzycznymi zdołali dotrzeć na szczytową polanę (nie było jeszcze przecież wtedy wyciągu krzeselkowego ze Szczyrku!).

W schronisku utworzono stylową jadalnię, salę noclegową oraz bufet turystyczny. Obiekt trafił pod opiekunice skrzydła PTTK. Ciągle jednak było to dalekie od cywilizacyjnej doskonałości. Ruch turystyczny na stokach Skrzycznego wzrósł dość znacząco po uruchomieniu w 1958 roku dwuodcinkowego wyciągu linowego ze Szczyrku (ze stacją przesiadkową na Jaworzynie – 920 m n.p.m.). Turyści wjeżdżali na górę, siedząc na jednoosobowych krzeselkach.

Dwa lata później doprowadzono do schroniska energię elektryczną. Z kronikarskiego obowiązku odnotujemy jeszcze, że wyciąg na Skrzyczne był potem udoskonalany. W latach 1990-1993 zastąpiono pojedyncze krzeselka dwuosobowymi, a w późniejszym okresie (2013-17) wymieniono je na nowoczesne kanapy czteroosobowe.

Mankamenty i niedogodności

Techniczny standard obiektu oferującego od 40 do 50 miejsc noclegowych był jednak nadal wielce niezadowalający. Schroniskową ubikację trudno było wręcz nazywać toaletą. W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku brakowało w niej muszli klozetowych, a chętni mogli tylko korzystać z wydrążonych w kamiennej podłodze otworów, umożliwiających umieszczenie w nich nóg. Zaspokajanie potrzeb fizjologicznych w takich warunkach było nie lada wyczynem!

W roku 1973 Szczyrk, oddalony o ok. 2 godz. marszu od wierzchołka Skrzycznego, uzyskał oczekiwane od dawna prawa miejskie, a tymczasem górski obiekt nad miasteczkiem ciągle urągał elementarnym wymogom cywilizacyjnym drugiego połowy XX wieku. Taka ponura sytuacja utrzymywała się aż do końca PRL. Dopiero po przełomie ustrojowym po-



87-metrowa wieża przekaźnikowa RTV na szczycie Skrzycznego

stanowiono (1998) przeprowadzić nieodzowną modernizację schroniska.

Cywilizacyjny awans schroniska

W efekcie budynek został pokryty spadzistym dachem, co umożliwiło wygospodarowanie użytkowego poddasza. Poszerzono parter, a od strony wejścia dobudowano zadaszenie. Powstał dogodny taras. Zmniejszono liczbę miejsc noclegowych w obiekcie, by dzięki temu wyposażyć poszczególne pokoje w węzły sanitarne. Ogólnodostępna toaleta w parterowej części schroniska przybrała nareszcie przyzwoity wygląd. Bywalcy obiektu odczuli z satysfakcją, że przestała śmierdzieć!

Schronisko dysponuje obecnie 29 miejscami noclegowymi. Skrzyczne należące do Korony Gór Polski ma ponadto charakterystyczny znak identyfikacyjny w postaci 87-metrowego masztu nadawczego na szczycie. Radiowo-telewizyjna wieża przekaźnikowa stanęła w tym miejscu u schyłku zeszłego wieku. Od tamtego czasu jest geograficznym symbolem najwyższego wzniesienia Beskidu Śląskiego. ■



Przedwojenne schronisko na Przaszypie pod Baranią Górą. Dziś: nizinna siedziba Oddziału PTTK w Wiśle.

Korzystałem z książek: Schroniska górskie PTTK w województwie bielskim Edwarda Moskały (1983); Schroniska górskie w Karpatach Polskich w latach 1939-1945 Tomasza Mianowskiego (1987) oraz beskidzkiego przewodnika turystycznego Pascala z serii „Dookoła Polski” (2002). Prezentowany materiał stanowi poszerzone i ilustrowane niedostępnymi dotąd zdjęciami historycznymi zestawienie cząstkowych tekstów, publikowanych na łamach „Kroniki Beskidzkiej”.

Zdjęcia – FOTOPOLSKA



rys. Agata Gromada

WYKROCZENIA

Odkąd znowu tu jesteś, myślę tylko
o całej furze szczęścia, którą postawiłaś
pod moim domem, gdy tu przyjechałaś.
Zmieniłaś kolor oczu, fryzurę i dane

w paszporcie. Znacznie sprawniej
niż wcześniej przekraczasz granice
przyzwoitości, a miejsce twego meldunku
zdaje się leżeć bliżej niż znane mi dotąd

współrzędne domów, które zdążyłem
uznać za doszczętnie zburzone. Poza tym
nic się tutaj w tych sprawach nie zmienia:
ta sama siła zwiodła cię do tego miasta,

do tych ślepych i wąskich uliczek,
o których wzmiankują policyjni skrybowie;
ta sama co zawsze, odwzajemniana zbyt
rzadko potrzeba, dla której w swoim

słowniku wyrazów skradzionych
Safonie lub Poświatowskiej
znajdujesz zgrabną przenośnię, która,
jak mniemasz, wszystko wyjaśnia

i usprawiedliwia popełnione w pośpiechu,
wykroczenia na sercu, za które mandat,
prędzej niż później przyjdzie nam
spłacić wraz z należnymi mu odsetkami.

TYLKO MNIE POLUB

Nie pozwól się dłużej prosić,
tylko mnie polub.
Polub mnie w poniedziałek,
polub we wtorek i w czwartek.

Z myślą o tobie wyjeżdżam
w góry, przemierzam metropole,
zwiedzam muzea i stadiony świata.
Dla ciebie robię sobie zdjęcia

z woskowymi ludźmi, uśmiecham
się na nich od ucha do ucha.
Czasami uśmiecham się przecież,
z myślą o tobie, wbrew sobie.

Oddaj mi jedno ze swoich
tysięcznych serc. Tylko mnie
polub. Najlepiej w piątek,
z rana, żebym wieczorem

się pięknie uśmiechał, a w sobotę
i w niedzielę, kiedy jestem
jeszcze zmęczony po piątku,
polub mnie podwójnie.

Dodaj mnie do znajomych,
poleć mnie przyjaciółom.
Zaprenumeruj moje życie.
Zapewniam, nie musisz go

śledzić uważniej niż innych.
Wystarczy, że czasem je znowu
polubisz, a ja będę ci
składał doroczne życzenia

i współczuł, kiedy będziesz szukać
współczucia. No, nie bądź już taki
samolubny! Polub mnie – to nic
nie kosztuje, nie wymaga wysiłku.

Przecież i tak nie masz innego
życia niż to, które pozwala
się przeskrolować. Zobacz,
jak wielu zdążyło mnie już

polubić. Dlaczego miałbyś być
niełubnym wyjątkiem? Albo
w drodze wyjątku i w środę
nie pozwól się dłużej prosić:

w środę Mnie tylko polub.
ikogo więcej.

ILUMINACJE

Nie tego się spodziewałem,
wchodząc na najwyższe piętro wieżowca,
skąd chciałem spojrzeć
na rozświetlone neonami miasto.

Siedzieli na schodach, w bliskim
uścisku dzieląc się swoim ciepłem.
W dłoniach trzymali książkę,
w której poznałem *Wszystko...*

Jego oczy rozpałało światło
odbite od kartki. Czytał jej szeptem.
Ona słuchała w skupieniu.
Nawet mnie nie spostrzegł.

Spojrzałem przez okno,
za którym, jak nigdy dotąd,
iluminowały ulice i skwery.
Przepeniała mnie radość!

Na stykach powiek iskrzyło
jak w transformatorowej skrzynce.
Pełen jasnych myśli, po które tutaj
przyszedłem, począłem się zwolna oddalać.

Ile światła, które rozjarzy
czyjs mrok, zostawimy po sobie?
Ile ciepła i czyje serca
uda nam się odtajać

na najwyższych piętrach wieżowców,
z których, co jakiś czas,
przyglądamy się rozświetlonym
neonami ulicom miast?

Myślałem i o tym,
komu się uda
na dłużej ukoić
moje.

CZY POEZJA NAS ZBAWI?

Uczestniczę w spotkaniu autorskim
w szkole. *Czy poezja nas zbawi?* –
pytają bardziej beczelnie.

Wiele razy słyszałem,
że tego nie czyni. Równie wielu
i z równie wielkim zapałem
mówiło, że jest zupełnie inaczej.

Wiem, że jest tak, jak mówią
pierwsi i wierzę, że będzie,
jak chcieliby drudzy. Wiem
także i to, że co najmniej

jedna osoba na sali
nie rozumie ironii,
której używam, kiedy
zabieram głos w kwestii

zbawienia i tych, którzy próbują
nam je odsprzedać. Wkrótce
podzieli się swym zwątpieniem
z kimś na tyle wpływowym,

że może zmieniać treść wierszy
i ludzi w trybikach pracy.
Na swoją obronę będę mieć ledwie
tego nauczyciela z Judei,

który z początkiem ery
miał tuzin uczniów.
Najbardziej niewdzięczny
pocałował go w usta wieczorem

w gaju oliwnym i w obecności
zwołanych wcześniej żołnierzy
krzyknął: *To on! To on zaczął!*
Jezu, czy musiałeś mu czytać

swe wiersze? Kogo i po co
w nich obrazileś? Na moje
spotkanie autorskie przyszło
trzynastu uczniów. Jeden

wyszedł po pierwszym
czytaniu. Na tym etapie
w kwestii zbawienia
mamy więc remis.

NAUCZYCIELU Z JUDEI

Nauczycielu z Judei,
czy ostatnia wieczerza
była twoim ostatnim
spotkaniem autorskim?

Na kogo patrzyłeś z litością,
kiedy czytałeś poemat o zdradzie
oraz trzydziestu srebrnikach
tak, że zakrztusił się rybą?

Ile za twoich czasów
płacili w pismach za wiersze
i czemu żadnego ze swoich
nie opublikowałeś w „Biblii”?

Domyślam się tylko,
że byłeś świetnym poetą.
Wskazują na to
znaki na ziemi i w niebie,

dwunastu mężczyzn,
którzy chodzili za tobą,
by wszystkie je zapamiętać.
Ja swoje czytam kobietom.

Jedna kiedyś mnie zdradzi
i nie pomoże mi wtedy
nawet rodzony ojciec,
który, podobnie jak twój,

przebywa w niebie.

Mistyczny urok Śląska

KS. HENRYK PYKA



Rotunda św. Mikołaja na Wzgórze Zamkowym w Cieszynie. (fot. Marcin Konsek / Wikimedia Commons)

Jeszcze niedawno wszyscy patrzący na Śląsk z zewnątrz łączyli go wyłącznie z ciężką pracą w przemyśle i jej narzędziami. Myśląc więc o Śląsku wyobrażano sobie komin fabryczny, kopalniane wieże szybów, piece hutnicze i wszystko to, co emituje wielkie ilości dymu i brudu. Tak wyobrażał sobie Śląsk Tadeusz Dobrowolski (1899-1984) zanim przyjechał do Katowic. Na dwa lata przed śmiercią Dobrowolskiego odwiedziłem go w jego krakowskim mieszkaniu i za jego zgodą nagrałem z nim rozmowę. Nie pracowałem jeszcze wtedy w muzealnictwie. Byłem wikarym w miejskiej parafii. Postrzegalem jednak wyjątkowość tej postaci dla górnośląskiej kultury. Ponieważ jeszcze żył, zapragnąłem poznać go osobiście. Przygębiony niedawną utratą żony Agnieszki, z którą dzielił całe życie badacza kultury, kiedy dowiedział się, że jestem księdzem i to z Katowic, po zapowiedzeniu się, przyjął mnie. Rozmowa trwała niemal dwie godziny. Założyciel i były dyrektor Muzeum Śląskiego w okresie międzywojennym Tadeusz Dobrowolski, sięgając do wspomnień powiedział: „złe wyobrażałem sobie Śląsk. Wydawało mi się, że poza Beskidem i lasami pszczyńskimi, to są tu same fabryki i kopalnie. Z czasem przekonałem się, że Śląsk jest znacznie bogatszy”.

Myślał o śląskiej kulturze. Kultura religijna jest jej szczególną częścią, powiedział. O niej myślimy, kiedy szukamy na Śląsku śladów piękna mistycznego. Jest to piękno powstałe z odnoszenia się człowieka do Boga w jego pielgrzymce nadziei, miłości i wiary. O wrażliwości Ludu Śląskiego na wartości duchowe pisał tyski proboszcz zatroskany o ten Lud, ksiądz infulat Jan Kapica. Było to w okresie poprzedzającym napływ na Śląsk ludności z innych regionów Polski, znajdujących tu pracę. Zauważył on: „choćbyś zwiedził całą Europę z jej najpiękniejszymi zakątkami nie znajdziesz w niej nic tak pięknego jak śląska niedziela z rozśpiewanym, nabożnym ludem śląskim, wypełniającym jej kościoły”. Kapicę uderzył fenomen śląskich nabożeństw, tradycje wiary przekazywane w rodzinie i manifestowane w postawach.

„Żał mi ludu” czytamy na nagrobku Kapicy. Choć żał, z powodu słabnącej śląskiej tradycji ufam, że wpisana jest ona nadal w śląski pejzaż choć już mniej w nim kominów i hałd.

Współcześnie mówi się o kilku centrach duchowych na Górnym Śląsku. Zalicza się do nich ośrodki kultu Maryjnego w Piekarach Śl., Pszowie, Rudach Raciborskich, na Górze Św. Anny. Do takich miejsc zalicza się kościół w Bogucicach – dzielnicy Katowic, Katedrę Opolską, Turzę, Kamień Śląski. Są jednak i takie miejsca, którym tajemniczości dodaje odległość wieków i świadomość, że chyba od tych miejsc rozpoczęła się ewangelizacja Śląska. Jest w okolicach Łędzin Górka Klemensowa, którą Karol Miarka związał z tradycją religijnego kultu pogańskiego. Nasza „Śleza”. Na miejscu dawnej gontyny miał tu powstać kościół, w którym nurzano miejscowy lud w wodzie Chrztu Świętego. Osobliwe wzniesienie zwieńczone kościołem

świętego Klemensa, widoczne dla jadących z Katowic z lewej strony przed Bieruniem, podpowiada: tu jest nasza kolebka. Profesor Wiktor Zin, choć z Krakowa gdzie kopców nie brakuje, to miejsce sobie szczególnie upodobał i je badał.

Historyczne przekazy, zachowane pamiętki prowadzą nas także do Bytomia na Wzgórze Świętej Małgorzaty, do Cieszyna na Górę Zamkową, pod romańską kapliczkę w okolicach Siewierza. Tam wszędzie kiedyś byli benedyktyni, którzy w czasach chrztu mieszkowego przybyli na naszą Ziemię. Najbardziej okazała budowlą z tamtego czasu jest cieszyńska rotunda zamkowa, z którą w okresie międzywojennym Zofia Kossak związała piękną legendą świętego Mikołaja z Pierśca, czczono go jako cudotwórcę nie tylko na Śląsku. Niewątpliwie Ewangelizacja Górnego Śląska musiała wiązać się z działalnością zakonów, społeczności dobrze zorganizowanych. Ich życie inspirowane wiarą wy-



Bytom – kościół pw. Świętej Małgorzaty na Wzgórze Świętej Małgorzaty. (fot. Adrian Tync, źródło – wikipedia)

raziło się także zaprowadzeniem na tych ziemiach doczesnego porządku. Straszliwy pożar, który przed kilku laty dotknął lasy między Rudami Raciborskimi a Raciborzem, oszczędził piękną groblę wysadzaną dębami. Wyrasta ona przed oczami nieoczekiwanie, w głębokim lesie. Dawno nie ma w tej okolicy stawów. Wyschły kiedy odeszli z tych miejsc cystersi, organizatorzy na ziemi rudzkiej wspaniałej kultury rolnej. Pozostała owa grobla i romańsko-gotycki kościół w Rudach Raciborskich z zartartami przez czas epitafiami dawnych opatów. Gdyby szukać kolebki chrześcijańskiej cywilizacji na Górnym Śląsku, to z pewnością trzeba by wskazać na Rudy Raciborskie. Po odnowieniu pięknego gotyckiego obrazu i barokowej pokrytej freskami kaplicy, Rudy znów stają się miejscem, do którego wraca śląska pobożność licznymi pielgrzymkami. Śląsk dzisiaj „czarny”, niegdyś „srebrny” dzięki ukrytym tu w okolicach Bytomia i Tarnowskich Gór złożom srebra i galmanu odkryli Norbertanie. W Krakowie i Wrocławiu posiadają swoje klasztory tu zakładali gwareckie faktorie. Wspomagali ich w tym przemysł osiadli w niedalekich od Bytomia Reptach cystersi. Ocalały od średniowiecza rezerwat „Seget” pod Tarnowskimi Górami to Górnośląski „Rogalin”. Nie wszystkie dęby tego rezerwatu poszły na opał do średniowiecznych dymarek. Tak wiele było tu drzew, lasów: na ziemi, która dla Wrocławia i Krakowa była odległą prowincją. Z tych zdawałoby się niewyczerpanych zasobów brano budulec na kościoły. Ksiądz Józef Londzin, miłośnik kultury górnośląskiej, na samym tylko Śląsku Cieszyńskim doliczył się ich z początkiem XX wieku ponad sześćdziesiąt. Dzisiaj jest ich zaledwie kilka. Do tych kościółków sprowadzano z odległego Krakowa i znacznie dalej położonego Wrocławia szafowe ołtarze, figury świętych Pańskich i Piękne Madonny. Jeden z najstarszych górnośląskich kościołów w Starym Bielsku, co prawda mury, poświęcony jest św. Stanisławowi,

biskupowi krakowskiemu. Posiada gotyckie polichromie i piękny ołtarz zakupiony na krakowskiej „platea pictorum”, czyli ówczesnym rynku sztuki. Podobnie było z drewnianym kościołem z Międzyrzecza pod Bielskiem zanim spłonął. Uważa się, że gotyckie wyposażenie zakupiono dla tego kościoła bezpośrednio z Wawelu, kiedy wawelską kaplicę świętego Krzyża zaopatrywano w okazalsze obiekty.

Odległe to czasy, w których ze Śląska pławiono się Wisłą ryby, drewno, sprzedawano srebro do królewskiej mennicy, a sprowadzano sztukę od „złota cenniejszą”. Dla uśmiechu Pięknej Madonny stanowiącej własność Muzeum Archidiecezjalnego w Katowicach warto było w dawnym knurowskim kościele zawiesić złotą obrączkę jako wotum, bo tam tę figurę niegdyś przechowywano. Dawny urok Śląska można jeszcze odnaleźć na drodze wysadzonej lipami, prowadzącej do drewnianego kościółka św. Wawrzyńca w Bielowicku pod Bielskiem. Kryje się on przed słońcem pod sobotami w zamarskim kościółku. Przejiera słoneczną strugą za ołtarzem przez XIV wieczny witraż w miedzińskim kościele odkryty przez profesora Lecha Kalinowskiego.

Profesor Dobrowolski, który to piękno mistyczne pragnął dla Śląska ocalić przejrzał stare, plebańskie strychy, parafialne lamusy, gdzie o zgrozo odkrywał przedmioty służące celom, dla których wcale zgoła nie zostały wykonane. Spenetrował nawet łożysko dzisiejszego Zalewu Goczałkowickiego, które w okresie międzywojennym było terenem uprawnym, miejscem osiadłej tu przed wiekami bogatej wioski. Bogaci gospodarze z Zarzecza, bo tak się nazywała ta wioska, w swoich zagrodach budowali kapliczki. Niektóre z nich stały tam z dziada pradziada. Stoją takie i dzisiaj przy drodze prowadzącej z Małej Wisły do Strumienia. W takiej kapliczce znaleziono prawdziwy, gotycki skarb: trzy ołtarze i dwie rzeźby. Jeden z tych ołtarzy to wspaniała osobliwość, bo wskazuje na od-

ległe warsztaty europejskie i centra kultury nieznanych na Śląsku świętych. Choć była to prowincja i tu dochodziły echa wielkiej sztuki tyrolskiego warsztatu Michała Pachera. Z ołtarza z zarzeckiej kaplicy Franciszka Heroka patrzą na nas święci, których daremnie szukać w Polsce, w Czechach a nawet w Austrii. Centrum ich kultury znajduje się w szwajcarskim Chur, w Konstancji, w Augsburgu. Święci Lucjusz i Emerita, Konrad i Ulryk o których wcześniej pisałem „przyszli” do Małej Wisły zwaną dawniej Wisłą Niemiecką wraz z niemiecką kolonizacją. Wieś w odróżnieniu od Wisły Wielkiej, dawniej zwaną Polską, budowana była na prawie niemieckim.

Śląsk mistyczny jest krainą, na którą nałożyły się warstwy nadprzyrodzonej wrażliwości pokoleń. Czasami jest tak, jak z krzyżem pokutnym w Łaziskach Rybnickich, z którym proboszcz nie wiedział co zrobić, bo był toporny i nie pasował do wnętrza kościoła. Wmurował go więc w kamienne ogrodzenie okalające i kościół i cmentarz. Ludzie palą przed tym krzyżem znicze myśląc, że to jakiś zapomniany grób. Bezwiednie zapalają ogień pamięci przed tradycją własnej parafii w której się urodzili i w której prawdopodobnie umrą. Ten krzyż, pamiątka jakiejś zbrodni popełnionej przed siedmiuset laty, jest znakiem pracy Kościoła nad człowiekiem, dzięki której mijające pokolenia mają ocałe nie tylko od „ognia piekielnego”, ale i od zapomnienia.

Są parafie na Górnym Śląsku nieposiadające żadnej tradycji. Do takich należy parafia Świętego Ducha w Tychach. W tej parafii spotkali się ludzie z całej Polski. Przyjechali na Śląsk nie znając ani jego przeszłości, ani zwyczajów. Tu znaleźli pracę. Tu zostali i założyli rodziny. Parafia Świętego Ducha, mimo że ma krótką historię, posiada swój mistyczny klimat – efektowny skutek wiedzy architekta i jego przywiązania do chrześcijańskich wartości. Myślę o niedawno zmarłym architekcie Stanisławie Niemczyku. Kościół kształtuje kompilacja różnych tradycji chrześcijańskich. Z niektórych być może wyszli przybyli tu ludzie. Wnętrze podprowadza do wschodniego ikonostasu, kłamka którą otwiera się drzwi kościoła przypomina kształtem tradycję rzymskich bazylik, zaś płyty wyłożone pod rozległymi „sobotami” nawiązują do średniowiecznych płyt nagrobnych i każą się przenieść wyobraźnią do istniejącego w Pizie cmentarza „Campo Santo”. Kościół ten jest ilustracją chrześcijańskiej tradycji, Świadkiem pamięci, którą zdaje się gubić współczesna Europa, o czym pisał z bólem Jan Paweł II w dokumencie „Ecclesia in Europa”.

Od najodleglejszych pomników wiary na Śląsku, poprzez neogotyckie, ceglane świątynie, w których słyżał ksiądz Kapica ów potężny śpiew nabożnego ludu Śląskiego, ciągle dochodzi do nas i dzisiaj w zbudowanych nowych kościołach, powtarzane przez pokolenia niezmiennie to samo mistyczne słowo: „Wierzę”.



Romański kościół pw. św. Jana Chrzciciela w Siewierzu. (fot. Michał Sz. / Wikipedia Commons)

Odwiedziny cudzoziemca w roku 1966

Historia prawdziwa

PETER WIESCHOLEK

Mija dwadzieścia lat od zakończenia II wojny światowej. Polska nie utrzymuje z Niemcami Zachodnimi żadnych kontaktów dyplomatycznych. Pomimo tego trwa nieustanny exodus Górnolązaków. Tysiące rodzin, nie zważając na represje ze strony polskich władz, składa wnioski o wyjazd na stałe do NRF. Kraj ten z perspektywy siermiężnej, zacofanej i nieufnej im Polski Ludowej dla wielu Górnolązaków jest krainą mlekiem i miodem płynącą. Tam otrzymują status „wysiedleńca”, natychmiastowe prawa obywatelskie plus pomoc materialną. W zwierniku polskiej propagandy przedstawiani są jako zdrajcy i poplecznicy Hitlera.

Czasami po kilku latach pojawia się tęsknota za rodziną i górnośląskim „Hajmatem”.

Czasami o złożeniu podania o wizę decydują przypadki losowe.

Wtedy to ponownie dochodzi do spotkania z polskim aparatem represyjnym...

Poniższy tekst, powstały na podstawie oryginalnych dokumentów, przedstawia jeden z takich przypadków.

Powiadomienie Poczty Polskiej z dnia 12 kwietnia 1965

Obywatelka Adelajda Janik,
Zawiadamy, że telefoniczne połączenie międzynarodowe ze Stanisławem Foglem (Kolonja – NRF) odbędzie się w przyszły czwartek o godz. 16 (Mikołów. Poczta Główna. Kabina Nr.1 – Połączenia Międzynarodowe)

Rozmowa w dniu 17 kwietnia 1965

– *Hajdla, słyszysz mie? Bardzo przerywo. Co się stało?*

– *Muter som cijnzko choro. Ywald, musiołbys przijechnac! Słyszysz mie?*

– *Ja, to wiyim! Przeca pisałaś we brifie. Jo już złożył papiory.*

– *Ywald, musisz przijechnac jak nojpryndzj jak jom jeszcze chcesz widzieć, słyszysz? Ona czeko. Durch o ciebie godo.*

Z kwestionariusza wizowego Misji Wojskowej PRL w Berlinie Zachodnim

Nazwisko i imię: Vogel Ewald
Syn Reinholda Vogla i Edeltraud z domu Pollok

Czy używał innych nazwisk? Jakich? W jakich okresach:

Urodzony jako: Vogel Ewald
Lata 1948-1958 jako: Fogiel Stanisław
Lata 1958-nadal jako: Vogel Ewald
Obywatelstwo (podać wszystkie): niemieckie, potem polskie, teraz niemieckie
Narodowość: niemiecka
Miejsce i data urodzenia: Hindenburg (Zabrze) 26 kwietnia 1925

Ostatnie miejsce zamieszkania: Köln Bismarckstrasse 181 – NRF

Z podania Adelajdy Janik do Komendy Powiatowej Milicji Obywatelskiej w Tychach

Proszę o zezwolenie na przyjazd do Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mego brata, obywatela NRF Stanisława Fogla. Przyjazd w/w stał się dla mnie konieczny z następujących powodów:

Matka śmiertelnie chora

Do Kierownika Komisariatu MO w Mikołowie (tajne)

Polecam w terminie do dnia: (*pilne!*) sporządzić wywiad na obyw. Adelajda Janik a/ miejsce pracy i opinie,
b/ zachowanie się w miejscu zamieszkania i przeszłość,
c/ poprzednia karalność lub czy nie był rejestrowany w Komisariacie,
d/ kontakty krewnych (imię, nazwisko, adres, miejsce pracy)
e/ podać źródło otrzymanych informacji (nazwisko i imię, adres)

podpisano: Podpułkownik R. Czarnecki Wydział I BRC MSW w Warszawie

Telegram

Na adres Vogel Ewald Kolonia – NRF. Treść: Przyjeżdżaj natychmiast. Matka w szpitalu. Miałdżyca naczyń mózgowych i nadciśnienie. Stan pacjentki w każdej chwili groźny dla życia.

Adelajda Janik

Zaświadczenie Szpitala Miejskiego w Mikołowie

W tutejszym szpitalu na oddziale wewnętrznym przebywa pacjentka Łucja Fogiel. U pacjentki stwierdza się miażdżycę naczyń mózgowych znacznego stopnia oraz nadciśnienie (arteriosclerosis cerebri – Hypertonia). Stan pacjentki każdego dnia może być groźny dla ży-

cia. Zaświadczenie wydaje się na życzenie syna, ob. Jerzego Fogiela dla przedłożenia w M.O.

Z-ca Ordynatora Szpitala Miejskiego

Z Notatki Informacyjnej Komendy Milicji Obywatelskiej w Mikołowie

Z przeprowadzonego wywiadu na małżeństwo obyw. Janik Karol ustalono co następuje:

Obywatel Janik Karol syn Pawła i Rozalji z domu Konsek zatrudniony jest w Fabryce Palenisk Mechanicznych w Mikołowie w charakterze spawacza. Z nałożonych obowiązków wywiązuje się ku zadowoleniu kierownictwa. Zamieszkuje na tutejszym terenie od urodzenia. Jest członkiem PZPR od roku 1960. Cieszy się dobrą opinią, jest spokojny i sumienny i pracowity oraz nie był sądowo i administracyjnie karany, jak również nie jest rejestrowany w tutejszym komisariacie.

Jego żona Janik Adelajda z domu Fogiel, córka Rajnholda Fogiel i Edeltraudy z domu Polak, w przeszłości jak i obecnie przez okres pobytu na tutejszym terenie w miejscu pracy i zamieszkania nie budziła zastrzeżeń, nie była karana i nie jest rejestrowana w tutejszym komisariacie. Nie pracuje i zajmuje się prowadzeniem gospodarstwa domowego.

Ustalono, że ojciec Adelajdy Janik, Rajnhold Fogel został powołany w roku 1940 do niemieckiego wojska i dostał się do NRF z którego już nie powrócił.

Rodzina ma bardzo dobre warunki mieszkaniowe i materialne i cieszy się dobrą opinią. Rodzina ta jest dobrze ustosunkowana do obecnej rzeczywistości i jest rodziną postępową.

Adelajda Janik posiada następujących krewnych których zdołano ustalić:

Brat Jerzy Fogiel zamieszkały w Zabrzu
Siostra Gertruda Matuszek zamieszkała w Zabrzu

Informacji udzielił:

Jan Kowolik zamieszkały w Mikołowie
Janina Brzózka zamieszkała w Mikołowie
Wniosek

Wnoszę o pozytywne załatwienie podania ob. Janik Adelajdy. Sprawdzenie i wywiad pozytywne.

Z-ca Komendanta komisariatu M.O. w Mikołowie

Z pisma Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Warszawie do Zastępcy Komendanta Powiatowego M.O. do spraw Bezpieczeństwa w Tychach (tajne)

W związku z Waszymi Kartami E-15 w załączeniu przesyłam akta poniżej wymienionych osób celem do służbowego wykorzystania i zwrotu:

1/ Numer akt 212-390 Fogiel Stanisław

Dopisek odręczny: W dniu 8.X.1965 przesłano zdjęcia wraz z pismem o odmownym załatwieniu przyjazdu do Polski ob. Fogiel Stanisław.

Podpisano: Rosiak

Decyzja

Referat Służby Bezpieczeństwa Komendy Powiatowej M.O. w Tychach po rozpatrzeniu wniosku ob. NRF Fogla Stanisława o przyjazd czasowy do rodziny Janik Adelajda wnosi:

Wniosek rozpatrzyć negatywnie.

Uzasadnienie: W związku z ograniczeniem przyjazdów i że w/w był dopiero cztery lata temu na pobycie czasowym na terytorium PRL

Pismo o decyzji odmownej

Obyw. Janik Adelajda

Zawiadamiam, że Wasze podanie w sprawie przyjazdu do PRL obywatela NRF Stanisława Fogla zostało załatwione odmownie.

Od niniejszej decyzji przysługuje obywateli prawo wniesienia w terminie do 14 dni od daty jej otrzymania odwołania do komendy Wojewódzkiej M.O. w Katowicach przez Komendę Powiatową M.O. w Tychach. Do odwołania załączyć znaczek skarbowy za 10 złotych i zdjęcie.

Z-ca komendanta M.O. miasta i powiatu tyskiego

Z listu Adelajdy Janik

Lieber Ewald, zuerst sehr herzlichen Dank für den Paket. Die Tabletten für unserer Mutter...

Drogi Ewaldzie, przede wszystkim serdeczne podziękowania za paczkę. Tabletki dla matki przekazałam lekarce, żeby wybrała te dla niej odpowiednie. Resztę sprzedawałam w Aptece Leków Zagranicznych w Katowicach. Bardzo Ci dziękuję. To wielka pomoc dla nas. Matka jest znów w domu choć wiele się nie poprawiło. Ale wydaje nam się, że ma teraz dłuższe okresy świadomości. Ciągle mówi o Tobie.

Złożyłam natychmiast odwołanie od negatywnej decyzji w sprawie twojego przyjazdu. Teraz czekam na odpowiedź...

Z odwołania Adelajdy Janik

Zwracam się z uprzejmą prośbą o anulowanie negatywnej decyzji o przyjeździe na odwiedziny mojego brata z NRF. Decyzja ta jest dla mnie mocno krzywdząca, a to z tego powodu, że już trzeci raz z rzędu sprawę moją załatwiono odmownie, a do tego w tym przypadku matka

nasza jest śmiertelnie chora! Na decyzję Władz Krajowych czekałam 3 miesiące w napięciu...

...Chciałabym jeszcze raz zaznaczyć, że decyzją Władz Krajowych czuję się mocno pokrzywdzona, bo jestem dobrą obywatelką PRL i żoną członka PZPR. Stan zdrowia naszej matki jest śmiertelnym zagrożeniem dla zdrowia. Proszę usilnie o pozytywną decyzję w sprawie mojej prośby...

Telegram w 10 miesięcy później

Matka zmarła. Pogrzeb w piątek. Przyjeżdżaj natychmiast. Jerzy Fogiel. Zabrze

Z podania Adelajdy Janik do Komendy Powiatowej Milicji Obywatelskiej w Tychach

Przekazano odręcznie za pokwitowaniem

Proszę o zezwolenie na przyjazd do Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mojego brata, obywatela NRF Stanisława Fogla. Przyjazd w/w stał się dla mnie konieczny z następujących powodów:

Pogrzeb matki

.....

Z pisma zastępcy Komendanta Powiatowego M.O. w Tychach do Kierownika Komisariatu M.O. w Mikołowie

Zgodnie z Instrukcją K.G.M.O. nr. 6/58 z dnia 26 maja 1958 r. w sprawie kontroli i ewidencji cudzoziemców przyjeżdżających na czasowy pobyt do PRL z państw kapitalistycznych, zawiadamiam, że przebywający na Waszym terenie cudzoziemiec Fogiel Stanisław posiada wizę ważną do dnia 11 grudnia 1966 roku.

W związku z tym, prosi się o powiadomienie w/w cudzoziemca o konieczności opuszczenia w tym terminie PRL. Zawiadomienie winno nastąpić w miejscu zamieszkania cudzoziemca.

Powołując się na rozdział III w/w instrukcji należy na odwrócie tego pisma podać uwagi dotyczące pobytu i zachowania się cudzoziemca na Waszym terenie.

Jednocześnie tutaj. Referat Służby Bezpieczeństwa prosi o zawiadomienie czy i w jakim terminie w/w cudzoziemiec opuścił Wasz teren.

Relacja Komisariatu M.O. w Mikołowie

W dniu 12 grudnia 1966 przeprowadzono wywiad na cudzoziemca Fogiel Stanisław, obywatel NRF. Przebywał na terenie PRL od dnia 7 grudnia do dnia 11 grudnia 1966 roku. Powód pobytu: przypadek losowy (pogrzeb matki). Podczas pobytu przebywał u swej siostry Adelajdy Janik. Dnia 10 grudnia wyjechał poza teren Mikołowa, a mianowicie do Zabrze, gdzie przebywał w mieszkaniu swojego brata obywatela Fogla Jerzego i jego żony Heleny. Tam spotkał się również ze swą siostrą obywateli Matuszek Gertruda z mężem Joachi-



fot. Archiwum autora

mem. Obecni byli także obyw. Janik Karol z żoną Adelajdą.

Jak zdołano ustalić przez pracowników Komisariatu II Zabrze to ich zachowanie nie budziło podejrzeń. Podczas całego pobytu Fogiel Stanisław zachowywał się spokojnie i nie kontaktował się z osobami podejrzany. Nie ma podejrzeń, aby przejawiał działalność polityczną.

Sporządził: St. Sierżant Małek

Notatka Referatu Rejestracji Cudzoziemców

Podczas pobytu w PRL cudzoziemiec Fogiel Stanisław posługujący się paszportem NRF na nazwisko Vogel Ewald zachowywał się nienagannie. Tut. Referat nie w nosi zastrzeżeń co do ponownego przyjazdu w/w do PRL.

Podpisano: Starszy Oficer Operacyjny (podpis nieczytelny)

Dopisek odręczny:

Wyjazd 11 grudnia 1966 r. godz. 19.35 GPK Kunowice

Z listu Adelajdy Janik

Lieber Ewald!

So schnell sind die Tagen...

Kochany Ewaldzie, tak szybko przeleciały dni twojej wizyty u nas. Ja wiem, że to głupio mówić, ale matka miała piękny pogrzeb. Tak myślę i tak się sama pocieszam. Hilda mi powiedziała, że nie widziała jeszcze tylu ludzi na pogrzebie kobiety i to przy takim mrozie!

Biedna matka tak czekała na Ciebie, tak czekała... Ciągle o Tobie mówią.

Ja chciałabym Ci jeszcze raz podziękować za wszystko. Wydałeś tyle pieniędzy dla nas. I za tę stypę „U Knapika”. Nas nie byłoby na to stać.

Ewald, ja ciągle myślę o tym co mi przy pożegnaniu powiedziałeś. Ale wiesz jaki jest Karol. Gdyby to tylko ode mnie zależało, to nie wahałabym się ani chwili...

Z podania Karola Janika, pięć lat później

Uprzejmie proszę o udzielenie zgody na wyjazd na stałe do NRF dla mnie i mojej żony Adelheid (z urodzenia Vogel). Proszę swoją motywuję tym, że jesteśmy narodowości niemieckiej. Również znaczenie ma tutej łączenie rodzin. Mój teść był za życia obywatelem NRF i tam mieszkał tak samo jak teraz całe rodzeństwo mojej żony, a mianowicie Ewald Vogel oraz Jörg Vogel i Gertrud Matuschek...

Przepis na powieść realistyczną

RYSZARD TWARDOŃ



Zamierzam przypomnieć w tej pracy książkę Krzysztofa Kłosińskiego *Mimesis w chłopskich powieściach Orzeszkowej* (1990). Badacz przeanalizował w niej trzy powiązane tematycznie, przedstawiające życie pouwłaszczeniowej wsi powieści Elizy Orzeszkowej: *Niziny* (1885), *Dziurdziowie* (1885) i *Cham* (1888). Do samych powieści sięgając tylko jeśli wymaga tego sam wywód, pragnę ponownie zastanowić się nad metodą badawczą otwierającą przed czytelnikiem nowy sposób rozumienia powieści realistycznej: nad rozumieniem intertekstualnym.

Intertekstualność należy do tych terminów teoretycznoliterackich, których umieszczenie w historii nauki o literaturze nie nastrocza większych trudności. Utworzyła go pod koniec lat 70. XX w. Julia Kristeva, omawiając koncepcje literaturoznawcze Michaiła Bachtina, m.in. zaproponowane przez niego na gruncie powieści pojęcie „dialogowego stosunku cudzego słowa w przedmiocie”. Wśród powodów pojawienia się tej koncepcji badań nad tekstem wymienia się – w szczególności – znużenie literaturoznawców analizami strukturalnymi, które oddzielając dzieła od kontekstu tradycji, historii i żywej mowy, czyniły ich interpretacje coraz bardziej jałowymi, nudnymi i dogmatycznymi. W odróżnieniu od swojego poprzednika, strukturalisty, intertekstualista proklamuje zależność każdego utworu (rozumianego zresztą bardzo szeroko) od innych, w różnym stopniu uświadamianych, wcześniej wyartykułowanych myśli i utworów, cytowanych czy aluzyjnych tylko przywoływanych obiegowych wyrażań, językowych klisz i przedstawięń. Intertekstualność – w ogólnym znaczeniu – odsłania rzeczywistość za pośrednictwem nie tyle i nie tylko przez język, ile przez tekst, wyzwalający językowe dzieło ze strukturalistycznego za-

mknięcia i interpretacyjnego skończonego odczytania; utwór jako „intertekstualny konstrukt”, jako tekstowa parodia czy cytacja nawiązująca do innych parodystycznych czy cytowanych utworów ustanawia nową relację między tekstami, wytwarza nowy stosunek znaczeniowy. Uchwycić proces transformacji „tekstów w tekście”: wykazać, że dzieło literackie złożone jest z sięgających w głąb ontologii tekstu dyskursów i nieliniarnych rozgałęzień, otwierających przestrzeń jakiegoś zapomnianego, nacechowanego układu syntagmatycznego; że składa się z „mozaiki cytatów” (Bachtin), że jest „uznaniem i odrzuceniem” (Kristeva) czy też „wchłonięciem i przekształceniem” (Bachtin) jakiegoś innego tekstu – oto na czym polega natura literackiego dzieła i istota intertekstualnej analizy.

Dla Krzysztofa Kłosińskiego, który „prawdę” w realistycznych powieściach autorki *Nizin* ukazał jako zlepek mniej lub bardziej sprawnie „cytowanych, przekształconych, »zaszczepianych« stereotypów i schematów” (s. 53), pogląd, że powieść jest bezpośrednim wypowiedzeniem tego, co pozajęzykowe, pozostaje błędny. Stanowi czytelniczą ułudę, referencjalną iluzję, której nieświadomymi nosicielami są zarówno twórca, jak i odbiorca. Przesłanie autora *Mimesis* jest jasne. Skupiając uwagę na powieściowym stereotypie, uznał, że opowiedane przez Elizę Orzeszkową historie z „życia wsi” są każdorazowo „zapośredniczane” przez znajdujące się w systemie powieści ludowej schematy przedstawieniowe, stylistyczne i kompozycyjne. Pisarz i czytelnik nie mają do czynienia z reprezentacją „nagiej, wiejskiej rzeczywistości”, ze znakiem jako takim, z czystym wyrażeniem czy opisem, udostępnianym przez przejrzyste i bezsłowne medium. *Mimesis* – pojmowaną tradycyjnie jako rodzaj adekwatno-

ści między tekstem a zewnętrzną rzeczywistością, imitowanie słowem tego, co pozasłowne – usytuował badacz na poziomie międzypowieściowych relacji, oddziaływań i semiotycznych współzależności: umieścił ją pomiędzy „powieściową masą”, uczestniczącą w strukturuwaniu tematu powieści a samymi powieściami; między wyrażeniami i skonwencjonalizowanymi zwrotami zasymilowanymi w utworze a ich zastosowaniem poza danymi utworami.

Krytyk nie podaje w wątpliwość powieściowej referencjalności, która jest, zauważmy, immanentną częścią każdego funkcjonującego językowego znaku, lecz zapytuje o status powieściowego referenta, presuponującego w akcie tworzenia istnienie realnych i uprzednich w stosunku do przedstawienia przedmiotów. Utwory powieściowe Elizy Orzeszkowej są referencjalne, to prawda, ale nie obwieszczają niezależnej i danej bezpośrednio, znajdującej się „ponad” tekstem obiektywności świata. Przedstawiając „świat”, odsyłają mniej do realnych czy dokumentalnych aspektów XIX-wiecznej wsi, a bardziej i w pierwszej linii do pokrewnych gatunkowo i znajdujących się „w obiegu” popularnych powieści Kraszewskiego, Sienkiewicza czy Gregorewicz – do nacechowanego polemiznością oraz rozmaitością ekspresywnych typów, ujęć i wyrażań uniwersum powieści ludowej.

Wyjątkowość dociekań Kłosińskiego na temat „realistycznych” tekstów Orzeszkowej polega, o ile mogę sądzić, na tym, że przyglądając się w „intertekstualnym lustrze” rzeczywistości pouwłaszczeniowej wsi i rzekomej psychologicznej „prawdzie” jej mieszkańców, ujawnia ich cytatowe *emploi*. Konkretyzując (nie zawsze łatwo uchwytnie) relacje do uprzednich powieściowych utworów i pozaliterackich kodów, pokazuje, że powieści

Orzeszkowej, tak podziwiane przez literacką krytykę i uchodzące w jej dorobku za najbardziej realistyczne oraz odbierane w kategoriach prawdy i fałszu, nie naśladowują natury, nie zawierają odniesienia do „rzeczywistej rzeczywistości”, lecz odnoszą się do schematycznego i retorycznego powieściowego tworzywa, dzięki któremu utwory te powstały.

Badacz pokazał, że w tekstach pisarki domniemane referencje do faktycznego czy, lepiej rzecz ujmując, pozasłownego świata odnoszą się, na różnych planach powieściowej budowy i semantyki, do innych tekstów reprezentujących ludową powieść: nawiązują do socjo- i ideolektu. Podążający za rozważaniami krytyka czytelnik spotyka więc zamiast reprezentacji rzeczywistości historycznej – reprezentację rzeczywistości literackiej. Zamiast „żywych”, uchwytnych w zmysłowym doświadczeniu i przenikniętych czystą żywołowością, „niepowtarzalnych” wiejskich bohaterów, poznaje zmodyfikowane i przystosowane do własnego „tematu wsi” stereotypowe dla miejskiego i burżuazyjnego środowiska osobowości w stylu Kaprowskich czy Bahrewiczów, a także ludzi „z nizin”: rozpropagowane i różnorodne realistyczne portrety „Mikołajów”, „Piotrów” i „Pawłów”, „Franciszek” i „Krystyn”; zamiast wręczcie mieć do czynienia z „autentyczną”, chronologiczną, narracyjną linearnością i tradycyjnym przyczynowo-skutkowym zapisem, odbiorca staje przed zagmatwanym i gęstym od obiegowych wyrażen i fabularnych oraz narracyjnych wzorów mimetycznym gobelinem utkanym z „obcych”, idących w głąb tekstu, wypowiedzianych syntagm, popularnych klisz oraz reminiscencji. Kłosiński ukazał w swych analizach realizm jako „przetwó” intertekstualny, produkt iteracyjnej transfiguracji, rezultat przeróbek repertuaru tekstów i kodów, opisów i spopularyzowanych w tradycji literatury chłopskiej wyobrażeń.

Nie ma dzieła w sobie. Ono istnieje tylko – powiada badacz – w realizacji, w odczytaniu. Tam uzyskuje swoją prawdziwą siłę i znaczenie: gdy jest w użyciu, gdy wskazuje, gdy odnosi się do innego tekstu, podlegając jego wpływom i prawom. Tekst powieściowy, aby rzeczywistość zaistnieć i być prawdziwie odczytany, musi nawiązywać strukturalne czy semantyczne kontakty. Musi „pożyczać” z pozatekstowego otoczenia różnego rodzaju rozpowszechnione archetypy, językowe kody i powieściowe atrybucje potrzebne do wytworzenia siebie. Każde dzieło zakłada inny, wcześniejszy utwór i różnorodność uczestniczących w konstruowaniu znaczenia i statusu językowego utworu tekstów i stylów. Każdy tekst jest, innymi słowy, „od razu pod jurysdykcją innych wypowiedzi, które mu – zauważa za Kristewą Kłosiński – narzucają uniwersum” (s. 15).

Badania intertekstualne autora *Mimesis* dały przekonująco wyraz temu, że „naturalna” ontologia realistycznego dzieła jest w istocie iluzją. Tę iluzoryczną „naturalność” powieści zakwestionował właśnie Barthes, a za nim Kłosiński, dowodząc, że to nie zewnętrzna, nietypowa, niespotykana i istniejąca „w sobie”, bezpośrednio doświadczana „rzeczywistość mazowieckiej czy ruskiej wsi” przemówiła „istotowo” i sugestywnie do wyobraźni XIX-wiecznego czytelnika. To głównie powieściowy styl, czyli sposób, w jaki rzeczywistość wsi została ukazana. Ukazane wiejskie sytuacje, pejzaże, losy bohaterów *Nizin* czy *Chama* suponują pozajęzykową niezależność nie dlatego, że były one „wiernym” odzwierciedleniem rzeczywistości popowstaniowej wsi. Albo że stanowiły zaświadczone samym „chłopskim życiem” element rzeczywistości historycznej istniejący „w sobie”, lecz głównie i przede wszystkim dlatego, że fabularne zdarzenia, kształt narracyjny i powieściowy bohaterowie podtrzymują swoją autentyczność poprzez nieustanny proces „dookreślenia” i „uprawdopodobniania”, poprzez odwoływanie do innych tekstów, do ukształtowanych wcześniej modeli opisowych powieści ludowej. Jak przypomniał za Riffaterrem Kłosiński: powieściowa „*mimesis* jest (...) bez reszty obserwowana nie w relacji do desygnatów lub sygnatów, ale w odniesieniu do form słownych, do słów już poukładanych w teksty”; „do stereotypowych skojarzeń słownych” „zgodnych z mitologią, której nosicielem jest czytelnik, zrobioną z klisz i toposów” (s. 64).

Rozplątane przez autora analizy „nitki-kody” powieściowego gobelinu odsłoniły tekstową i pisarską pracę, jaką wykonała pisarka, aby przybliżyć czytelnikowi „wolny od idealizowania i trzymający się gruntu rzeczywistego” obraz życia polskiej, powłaszczeniowej wsi. Nie uchodzi uwagi autora ów poznawczy i powieściowy paradoks. Paradoks, albowiem powieściopisarka, chcąc za wszelką cenę uwiarygodnić język, urealnicić wydarzenia i losy wiejskich mieszkańców, poprzez odniesienia intertekstowe, jak i metatekstowe oraz odautorskie, wskazuje na źródła, z których pochodzą i które tkwią w pozytywistycznej literaturze, kulturze i społecznej tradycji. „W tekstach o wyraźnie realistycznych ambicjach (...) przypis potwierdza prawdziwość śpiewanej przez fikcyjne postacie pieśni, ale zarazem ujawnia – zauważa Kłosiński – że znalazły się w ich ustach zaczerpnięte z książek. Realizm wpada tu we własne sidła: ujawniając się jako prawda, obnaża swój cytatowy, »tekstowy« charakter” (s. 90). Autor *Mimesis* ukazał, innymi słowy, postać pisarki, która im żarliwiej usiłowała zakorzenić „temat chłopski” w nietkniętej filozoficznym i scjentystycznym słowem



rzeczywistości, im przemyślniej starała się przedstawić wiejskie zdarzenia „na podobieństwo ptaka śpiewającego w lesie”, tym bardziej zanurzała „temat ludowy” w słownych komponentach, w pojęciowych i stereotypowych zapośredniczeniach: pograżała w kategoriach pragmatycznych i ideologicznych przekonań czytelnika i epoki.

W rezultacie intelektualnych wysiłków i badawczych dociekań Orzeszkowa, zabiegając o oryginalność ukazywanej treści, dokumentując lektury i wrażenia z podróży, sprzęgając je z tekstowymi źródłami, ujawniła pisarską niekonsekwencję. Opisując w swym przekonaniu rzeczywiste życie wsi i czyste, ludzkie, spontaniczne przejawy zachowań, pokazała – chcąc, nie chcąc – że opowieść realistyczna nie zawiera w sobie nic pierwotnego, surowego i naturalnego. „To, co uchodzi za efekt szczególnej spostrzegawczości realisty, okazuje się w końcu tylko trafnie przeprowadzoną korektą stereotypu. Oryginalność kryje w sobie zawsze jakieś odesłanie ku innym tekstom” (s. 67-68).

Pani Elizy recepta na powieść realistyczną okazała się przekształconym czy, lepiej rzecz ujmując: zrewalutowanym wzorem. U podstaw wszystkiego, co zostało w utworach autorki *Nizin* ukazane i wysłowione, znajduje się wielokrotnie transformowana kopia wiejskiej rzeczywistości. „Chłopską rzeczywistość” trzeba widzieć – zaznacza krytyk – jako „uwierzytelnianie tekstowe”: ponieważ „cała historia (...) jest przepisany oryginałem” (s. 19). W kontekście wypowiedzianych uwag nie powinno się zatem mówić o powieści realistycznej, że „kopiuje rzeczywistość”, ale że – sięgając za Kłosińskim do słów Barthesa – „pastiszuje”, „dzięki wtórnej *mimesis* kopiuje już skopiowane” (s. 20).

Tradycyjny historyk literatury po ustaleniu źródła cytatu i ukazaniu róż-

nich możliwych form odwołań utworu do innych, wcześniejszych tekstów uznawał swe zadanie za zakończone, swą „misję interpretacyjną” za wykonaną. Tymczasem dopiero w tym momencie do akcji wkracza badacz intertekstualista, by rozpocząć właściwą metodzie pracę wyjaśniającą. Głównym jego zadaniem i „pożytkiem analizy intertekstualnej jest uchwycenie w tym, co ideologia reprezentacji traktuje jako jedność, systemu różnic” – powiada Kłosiński (s. 24). Stosując model schematu i korekty opisany przez Ernsta Hansa Gombricha (na podstawie rozwoju plastycznego przedstawienia w malarstwie), krytyk prześledził proces kształtowania się w trzech utworach, powiązanych wspólnym „wiejskim tematem”, międzypowieściowych różnic, umożliwiających orientację w uniwersum tekstów referencyjnych. Kłosiński nie pyta więc o to, skąd zostały wzięte obce cytacje i elementy występujące w interpretowanym dziele. Interesuje go coś odmiennego i istotniejszego z punktu widzenia przyjętej metodologii, a mianowicie: co one znaczą i jakie miejsce zajmują w strukturze powieści; jaką grają rolę w jej semantycznym wyposażeniu. Jak sam podkreśla: „identyfikacja cytatu jest zaledwie pierwszym krokiem”. „Dopiero w dalszej kolejności pojawiają się kwestie miejsca zidentyfikowanego tekstu w systemie folkloru i funkcji cytatu w nowym, powieściowym otoczeniu” (s. 73). Gdzie zaś pytania nie dotyczą genezy powieści, nie odsyłają do badań wpływów i zależności należących do tradycyjnej literackiej komparatystyki, nie można mówić o badaniu źródeł.

Dla badacza relacje są znaczące o tyle, o ile są rozpoznawalne; o ile realizują się jako celowe, przeznaczone dla odbiorcy nawiązania, których bezpośrednim zadaniem nie jest beztrioskie naśladowanie, lecz krytyczne ustosunkowanie i wypowiedzeniowe – konstrukcyjne i semantyczne – transmutowanie. Dopiero bowiem przez określenie tego, co stało się rzeczywistym partnerem tekstu, składnikiem struktury tematycznej powieści, dopiero przez uświadomienie i właściwe zanalizowanie intertekstualnych związków i funkcji ustanawia się sferę powieściowej intertekstualności; dopiero to wszystko umożliwia prześledzenie procesu przekształcania stereotypów stworzonych przez „realistycznych” poprzedników w utworach autorki. Obok znaczenia, jakie ma przywołany element w powieściowym przedstawieniu, autor książki analizuje jego współbrzmienie z innymi intertekstualnymi przytoczeniami. Stawia pytania: jak gwar, klisza, kod teatralny czy naukowy ujawnia swą obecność w strukturze formalnej i treściowej powieści? Czy cytowane fragmenty dzieł Sienkiewicza, Kraszewskiego czy Gregorewicz, przywołane

z folkloru bądź sceniczne sposoby prezentacji „życia wsi” zostały poprzedzone jakimiś charakterystycznymi sygnałami i aluzjami? A wreszcie, by przystać na stawianych przez autora „pytaniach intertekstualnych”: czy pojawienie się „intertekstu” tylko wzmacnia stereotyp fabularny, narracyjny czy stylistyczny, czy przeciwnie – jest jego odważną korektą lub zaprzeczeniem?

Wszystkie poruszone przeze mnie wrywkowo intertekstualne problemy pojawiające się w rozważaniach autora *Mimesis* mogą prowadzić do osobnych i dokładniejszych analiz. Rozsupływanie powieściowej tkaniny złożonej z „obcych” cytacji i zdań oraz polemicznych replik; nieustanne dowodzenie, że powieściowa struktura funkcjonuje i znaczący dzięki odwołaniom, kodom literackim, jak i językowym oraz literackim presupozycjom odnoszącym się do zdań i sądów innych, wcześniej istniejących powieści i konwencji przez nie implikowanych – wszystko to ustanawia metodologiczną podstawę działań i główną cechę zamieszczonych w książce interpretacji. Zaprezentowane tu „czytanie” powieści należy widzieć zatem jako krytyczne wprowadzenie w praktykę funkcjonowania intertekstualnego. Jako „rozaśnianie” struktur powieściowego przedstawienia i demaskowanie przemian czy też wprowadzanych tam na różnych zasadach rozmaitych fabularnych, narracyjnych wzorów i słów-klisz oraz spopularyzowanych kodów. Jako wyjaśnianie – wreszcie – pisarskiej pracy nawiązywania i przeobrażania innych powieściowych tekstów dokonywanej przez przywołujący tekst.

Jasne jest, że Krzysztof Kłosiński swoimi wnioskami o realistycznych powieściach Orzeszkowej wykracza daleko poza intuicje i ustalenia pozytywistycznej krytyki i wiedzy literackiej. Przed pojawieniem się refleksji nad intertekstualnością nie podejmowano takich demaskacyjnych i deziluzorycznych badań literatury realistycznej. Sama literatura i krytyka literacka niechętnie czyniła odniesienia do innych utworów „widocznymi”, albowiem, zgodnie z ideałem estetyki tradycyjnej, celem tworzenia nie było ukazanie pracy artystycznej. Liczył się efekt tworzenia: doskonale skonstruowana i ukonstytuowana jako spójna i w obrazowym sensie jednolita, wytwarzająca iluzję referencjalności tekstowa całość. Stąd też to, co było przedstawione i widziane od strony czytania, wysuwało się przed artystę i ukazywało literackie dzieło w kategoriach homogenicznej „powierzchni” skrywanej w ustrukturuowanym wnętrzu samostającej elementy i autoreferencyjne estetyczne prawdy. Pisarze, teoretycy i krytycy literatury godzili się, że słowo powieściowe głosi coś poza sobą. A po zakomunikowaniu tego, owo „coś” znika raz na za-

wsze w tym, co przedstawione. Słowo wchłonięte przez dzieło nie zdradzało swego stylistycznego źródła i językowej tożsamości. Traciło kontury, rozmywało się bez śladu w substancjalnej i kompozycyjnej całości. Rozpływając się w gotowym językowym wytworze, nie pozostawiało na powierzchni – jak zakładano – żadnych znaków własnego pochodzenia i tekstowej produktywności.

Autorka *Nizin* – posługując się powieściowym językiem – uważała go jeszcze za neutralne i służące przekazywaniu treści, „przejrzyste” medium komunikacyjne. Pisarka, wierząc w romantyczny mit niezapośredniczonego ukazywania myśli jako językowej wypowiedzi zawierającej wypowiedzeniową niepowtarzalność, widziała w przedstawianym przez siebie obrazie wsi niezafałszowaną słowem, samopodtrzymującą się i nieskazitelną rzeczywistość. Nie rozumiała, że podejmując chłopski temat, przywołuje pisarskie wzory i rozwiązania kiedyś podjęte; że używa pomysły już uprzednio użyte; sięga po cytaty przez innych cytowane. „Prostoduszność” pisarki, jeśli tak można powiedzieć, polegała na niepodejrzewaniu języka o manipulację, o jawne, reprezentacyjne i artykulacyjne zapożyczenia, przeinaczenia i fałszerstwa.

Zauważmy jednak, że pojęcia i kody wytwarzające powieściowe przedstawienie nie dążą „z natury” swojej do budowania krystalicznie czystych rzeczy i znaków. Pisarka nie zdawała sobie sprawy z tego, co dziś jesteśmy skłonni odbierać jako racjonalną oczywistość, że w kształtowaniu literackiego dzieła uczestniczą różnoimienne, innogatunkowe, przedrozumieniowe, jak i prefabrykowane porządki socjo- i ideolektu. Współkomponując każdorazowo temat, pozostawiają, jak to interesująco pokazał Kłosiński, strukturalne, kompozycyjne i semantyczne „ślady” uprzednio zrealizowanych powieściowych form i praktyk. To one – „zajęte” ustanawianiem „właśnych” dyskursywnych zasad, znaczeń i stosunków – rządzą „z ukrycia” powieściowym tekstem. Inaczej mówiąc, pisarka nie dostrzegła, bo dostrzec nie mogła, tego poznawczego i filozoficzno-językoznawczego faktu (co uczyni dopiero Freud oraz teoria i praktyka Awangardy na początku XX wieku), że słowo opowiadając i wyrażając, nie tylko przedstawia, wypowiada i rozjaśnia, lecz także deformuje, przyciemnia i przysłania. Zamiast zbliżać do „świata” mowa powieściowa – często – ukrywa, przeinacza, zdradza intencję i czasem wykrzywia opisywaną rzeczywistość. Jak to powiedział niegdyś Nietzsche: „Każdy wyartykułowany sąd czy pogląd jest także kryjówką. Każde słowo jest także maską”.

Fragment większej całości. ■

O związkowcu „przesadnie religijnym”

JACEK OKOŃ

Książka Józefa Kuli „Zapiski internowanego” w miarę upływu lat będzie nabierała znaczenia, choć od jej wydania (Księgarnia św. Jacka w Katowicach 1996) minęło właśnie ćwierć wieku. Miała kilku prestiżowych sponsorów: Komisję Krajową „Solidarności” i dwa zarządy regionalne, także dwie organizacje zakładowe, jeden urząd miejski i jeden gminny. Do książki dołączono listy Mariana Krzaklewskiego, Marka Kempskiego i Marcina Tyrny, popierające jej wydanie.

Ale dziś istotne jest raczej to, że są to jakby kolejne „Dzieje duszy”, tworzone na bieżąco w bardzo szczególnym miejscu. Jeśli z czymś te wynurzenia porównywać, to najbardziej kojarzyć się muszą z „Zapiskami więziennymi” kard. Stefana Wyszyńskiego: podobne opisy praktyk pobożnościowych, podobne inwokacje, maryjność, akty szteliste, modlitwy i wzruszające rozmowy z Bogiem. Poniższy tekst nie jest jednak próbą „wczesnej beatyfikacji” autora książki. Nie jest też spóźnionym nekrologiem. Jest to tekst o książce i jej „miejscach teologicznych”, poprzez które ukazuje się blask niepopolitej duchowości.

Powód internowania

Autor książki, **Józef Kula**, emerytowany księgowy Zakładu Wytwórczego Urządzeń Sygnalizacyjnych (ZWUS) w Żorach, związkowiec NSZZ „Solidarność”, odszedł z tego świata w lipcu zeszłego roku, jakby nieostrzeżenie, bo w cieniu pandemii, wkrótce po wyciszeniu jej pierwszej fali, o której myślano zrazu, że będzie jedyną.

W dniu śmierci miał 89 lat. Mieszkał w Rudziczce, w parafii Suszec. W ostatnim okresie najczęściej odwiedzał go Eugeniusz Karasiński, przewodniczący śląskiego Stowarzyszenia Represjonowanych w Stanie Wojennym, przywożąc dar świąteczny na Wielkanoc i Boże Narodzenie. Gdy telefonowałem przy tej samej okazji z życzeniami, Józef Kula niezmiennie był jeszcze pod wrażeniem odwiedzin Karasińskiego. Należał bowiem do grona członków tegoż Stowarzyszenia, przez pewien czas był nawet członkiem Zarządu, i uważany był w środowisku za nestora.

13 grudnia 1981 został internowany. W *Decyzji o internowaniu* do wydrukowanego już na blankiecie sformuło-



Józef Kula (z lewej) podczas uroczystości wręczenia Krzyża Wolności i Solidarności, 2016 r. Ze zbiorów IPN Katowice. Fot. Krzysztof Liszka

wania „jego przebywanie na wolności zagrażałoby porządkowi publicznemu przez to, że...” esbek dopisał, najwyraźniej z własnej awersji do religii: „Wróg partii i ustroju socjalistycznego, **przesadnie religijny**”. To uzasadnienie, w części dotyczącej religijności, wymykało się spod reguły typowości i budziło wesołość w pięciu kolejnych obozach dla internowanych, gdzie Kula przebywał. W pierwszym okresie stanu wojennego zdarzała się taka radosna twórczość na blankietach decyzji o internowaniu. Jan Rzymiełka, późniejszy poseł, a ówczesnie – internowany szef „Solidarności” na Uniwersytecie Śląskim, który dzielił z Józefem Kulą celę w obozie w Rzeszowie-Załężu, zbierał hobbystycznie takie curiosa.

Gdy Służba Bezpieczeństwa dowiedziała się o licznych komentarzach do owej „przesadnej religijności”, na rozmowę do obozu zjechał esbek i podstępem zabrał Kuli tę pierwotną decyzję, dając w to miejsce inną, o treści: „Inicjator wszelkich akcji strajkowych i protestacyjnych w ZWUS Żory, wrogo ustosunkowany do ustroju socjalistycznego i partii”.

Pamięć o tej rzekomo przesadnej religijności i o incydencie z zamianą przyczyny internowania pewnie by nie przetrwała do dziś, gdyby nie została utrwalona przez Józefa Kulę w jego dzienniku.

Że pobożność była rysem, wysuwającym się na czoło w ocenie postaci autora, dowiadujemy się już na wstępie książki, gdzie pani Ewa Babuchowska zapoznaje czytelnika z autorem: „Józef Kula jest człowiekiem łagodnym i zgodliwym, a jednocześnie gorącym. Gorącość bierze się stąd, że ma on głęboką wiarę. Wiara ta drażniła z pewnością niejednego. Była też solą w oku stróżów komunistycznego porządku”.

Nic dziwnego: był wychowankiem zakładu Księży Werbistów i jako taki miał udział w codziennych modlitwach i pożytkach modlitw całego zgromadzenia, rozsianego po Europie i kontynentach, w tajemniczych przepływach łaski. Został uformowany, by przynieść owoc obfity i nie zmarnować życia. Bo życie jest krótkie, choćby przyszło żyć pod pięćdziesiątkę.

Kiedy – przeczytawszy SMS-a z zaawizowaniem o jego śmierci – przekazywałem tę wiadomość dalej, otrzymałem odpowiedzi, które w oczywisty dla mnie sposób rezonowały z moją osobistą oceną tej postaci. Mirosław Kańtor (bard internowanych studentów) napisał mi: „Był nad wyraz skromny i pokorny. Mam jego zapiski. To jakby duchowy dziennik kandydata na ołtarze. Myślę, że Pan [Jezus] otworzył mu szeroko bramy Wolności, Miłości i Pokoju”.

Edward Zyman, internowany poeta i dziennikarz (szef „Solidarności” w Radzi Katowice, a na emigracji prezes Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie), tak o nim pisze: „Józefa Kulę pamiętam z Uherzec i Nowego Łupkowa. Był człowiekiem wyjątkowo szlachetnym i prawym. Niepostrzeżenie minęło od tamtych chwil niemal czterdzieści lat. Wielu wspnianych ludzi odeszło. Robi się koło nas coraz bardziej pusto”.

Spotkania

Józef Kula co roku uczestniczył w zjazdach środowiska byłych internowanych w Zabrzu-Zaborzu, gdzie za dni stanu wojennego (XII 1981 – XII 1982) mieścił się jeden z dużych obozów, zwanych eufemistycznie (ale oficjalnie) „ośrodkami”. Każdego 13 grudnia w kościele św. Jadwigi Śląskiej w Zabrzu odbywa się msza, potem składane są kwiaty pod pomnikiem upamiętniającym internowanych w miejscowym obozie, a potem koleżeńskie spotkania fundowane przez Prezydenta Zaborza i Stowarzyszenie Represjonowanych w Stanie Wojennym. Co roku dojeżdżał tam ze swojej Rudziczki autobusami PKS z dwoma czy trzema przesiadkami i tak samo powracał. I tak do 87 roku życia, póki siły pozwalały. Jeszcze mam przed oczyma jego pochyloną nieco postać, powolny i jakby przemyślany sposób wypowiadania się, niezmiennie w garze śląskiej bez germanizmów, charakterystycznej dla przedwojennej polskiej części Śląska (pochodził z Chwałowic).

Gdy przy okazji życzeń świątecznych wymieniano się opłatkami, do Józefa nierzadko stało się w kolejce. Był internowany dwukrotnie, przebywał w sumie w pięciu obozach (Jastrzębie-Szeroka, Uherce, Rzeszów-Załęże, Nowy Łupków, Zabrze-Zaborze), także w aresztach komend w Żorach i w Katowicach. Egzemplarz książki, który posiadam, zaopatrzonej jest w dedykację: „Drogiemu Jackowi na pamiątkę pamiętnych dni stanu wojennego i miłego spotkania w Muzeum Górnictwa Węglowego daruje Józef K.”

Owo „Józef K.”, będące zarazem imieniem i inicjałem bohatera „Procesu” Kafki, bardzo tu pasuje. Z jednym wyjątkiem: zapiski Kuli, choć i one ukazują absurd poczynąń władzy, ani przez chwilę nie tracą z oczu kardynalnej cnoty nadziei.

Pan Bóg za drutami

Zakład Wytwórczy Urządzeń Sygnalizacyjnych w Żorach wytwarzał różnego rodzaju sygnalizatory, używane w kolejnictwie i transporcie podziemnym. W roku 1980 koledzy wybrali Józefa Kulę demokratycznie do Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność”. Kto go wpisał i dlaczego – na esbecką listę proskrypcyjną, pewnie nie wiadomo. W każdym razie religijność internowanego została oceniona najpierw w zabu-

dowaniach Komendy Wojewódzkiej MO, siedzibie Służby Bezpieczeństwa, i tamże uznana za „przesadną”, co znalazło swój dokumentarny wyraz w przywołanej *Decyzji o internowaniu*.

Chwila zatrzymania wyglądała dość standardowo jak na warunki śląskie i na środowisko przemysłowe. „Dyrektor wzywa, prosi do wypadku na Zakład”. Znali to zwłaszcza związkowcy z organizacji kopalnianych. Idzie się na takie wezwanie o każdej porze dnia i nocy, bez ociągania, w świętek, piątek i niedzielę. A na komisariacie w Żorach już bez takiego kamuflażu, obcesowość, popychanie, próba odebrania różańca. Zaraz potem, po godzinie trzeciej w nocy przewiezienie do obozu w Jastrzębiu-Szerokiej. Był już wtedy pięćdziesięcioletkiem.

„Zapiski internowanego” to bardzo pedantyczny pamiętnik. Zapełniany nie tylko dzień po dniu, ale wręcz rozpisany na godziny, i to od pierwszej karty, datowanej na 13 grudnia 1981, godzina 2:40.

Gdziekolwiek był, dawał świadectwo wierze i pełnił funkcję obozowego „kościelnego”, zakrystiana, ministranta, lektora i kantora, gdy z posługą duszpasterską przybywali kapłani dla odprawienia mszy świętej (a stało się to nie od razu). Służył do mszy, obsługiwał czytania mszalne i śpiewy sponsorsyjne. W większości przypadków to on właśnie prowadził codzienne, powszednie modlitwy poranne i wieczorne, różańce pokutne i inne koronki, nabożeństwa Drogi Krzyżowej, modlitwę Anioł Pański, adoracje krzyża, w marcu nabożeństwo i nowenny do św. Józefa, w maju oddanie czci Maryi. Także rekolekcje w pomieszczeniach obozowych kaplic, gdzie zmieniał wodę we flakonach z kwiatami i wymieniał kwiaty na świeżo zerwane.

Jako prowadzący modlitwy przeprowadził internowanych z Uherzec przez Triduum Paschalne. Długo by zresztą wyliczać. Obok opisów prozaicznych trudności więziennych („Ubikacje zapchane – brak wody do splukiwania”), raz po raz pojawiają się odliczania dni Pańskich bez strawy duchowej: „Kolejna niedziela – cztery tygodnie – chyba znów bez Mszy św., mimo żądań”. Wydaje się, że dla autentyzmu lepiej posłużyć się tu właśnie cytatami niż omówieniami.

W różnych obozach, gdzie przebywał, bywało i podobnie, i różnie. Gdy po miesięcznym pobycie w Uhercach przewieziono go do Rzeszowa-Załęża, stwierdziwszy, że drzwi cel są tu pozamykane naглуcho, i brak dostępu do praktyk religijnych, od razu sformułował żądanie – prośbę do Komendanta Obozu: „Powołując się na regulamin internowanego, proszę o umożliwienie mi brania udziału w niedzielnej i świątecznej Mszy św., jak również korzystania ze wspólnych modlitw codziennych w Ośrodku Odosobnienia. Zaznaczam, że te sprawa

wy są dla mnie istotne do godnego przetrwania okresu odosobnienia”.

W liście do Kurii Diecezjalnej w Katowicach, wysłanym z obozu w Rzeszowie-Załężu, napisał: „Nie dla swojej pochwały, ale tak się stało, chyba zgodnie z moją pierwszą decyzją internowania (*przesadnie religijny*), że cały okres internowania wykorzystałem na organizowanie życia religijnego w ośrodkach internowania (Szeroka, Uherce, Załęże)”.

Oczywiście nigdy nie uznał przypisywanej mu „przesady” w sprawach wiary. W piśmie do Prokuratury Wojskowej w Gliwicach czytamy: „Nawiązując do decyzji internowania mojej osoby, zapytuję, czy być wierzącym w Polsce to jest przestępstwo?”.

Próby wiary

Jego hasłem, wielokrotnie przewijającym się w „Zapiskach” było: „Bądź Wola Twoja – wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia”. Miało to swój dramatyczny wymiar, gdy zmarła mu matka, a władze nie dostarczyły wysłanego przez rodzinę telegramu, przez co nie mógł się nawet starać o przepustkę na pogrzeb. W dzień po pogrzebie rodzina przyjechała na widzenie. Początkowo dziwił się ich czarnym, żalobnym strojom. Nie przyszło mu od razu do głowy, że stało się coś strasznego. Jego słowa, zapisane tego dnia w dzienniku, brzmią jakby były żywcem wzięte z „Wyznań” świętego Augustyna, gdy tenże pisał o swej zmarłej matce, św. Monice. Ten sam ból, podobna świadomość tego, co stracił.

Pisze Kula: „Boże, przyjmij ją do Siebie. Ona Ci wiernie służyła i nam była dobrą Matką, a ostatnie lata niosła ciężki krzyż”. Ale i tu na zakończenie dnia godzi się z Wolą Bożą i od razu zawiezza swój los nowej Matce – Maryi. Ale nie sposób – po przeczytaniu zapisków towarzyszących owej smutnej dla niego dacie – nie cofnąć się na początek książki, gdzie w druku znalazła się informacja, o kim myślał podczas internowania, ciągnąc swój dziennik dzień po dniu: „Ku uczczeniu mojej Matki i wszystkich Ofiar stanu wojennego”.

Żeby pozostać w kontekstach śląskich i zagłębiowskich, przytoczę kilka nazwisk osób znanych wówczas i pewnie jeszcze teraz w miejscowym naszym środowisku. Poza Janem Rzymelką, lokatorem tej samej celi w Rzeszowie-Załężu, w dzienniku Kuli odnajdziemy biskupów katowickich: Bednorza, Domina, Zimniaka, i ks. Oskara Thomasa, duszpasterza studentów katowickich i sosnowieckich. Wspólnie z Leonardem Neugerem (zmarłym przed kilkoma miesiącami) zredagował Kula pismo dziękczynne do kościoła w Lesku za msze w intencji internowanych. W ostatnim dniu maja 1982 roku zapisuje: „Wśród internowanych znajdował się dr Bogdan Kopański z UŚ, który wyznawał religię muzułmańską”. To właśnie

do Kuli, jako do opiekuna kaplicy zwrócił się Kopański zapytaniem, czy może korzystać z kaplicy i rozwiesić tam teksty muzulmańskich modlitw („ma się rozumieć, że wyraziłem zgodę”). Pod datą 8 czerwca 1982 r. Kula odnotowuje: „Wczoraj i dziś odmówił wraz ze mną w kaplicy Anioł Pański dr Morski z US”.

Charakterystyczne dla tego dziennika jest podawanie liczby uczestników modlitw codziennych. Zwykle było to kilka, kilkanaście osób. Kula po ojcowsku wyrażał niezadowolenie z niskiej frekwencji. Zdarzyło się nawet pewnego dnia (30 kwietnia 1982), że jego irytacja z tego powodu sięgnęła zenitu i została rozpisana w dzienniku na godziny (modlitwa poranna, Anioł Pański, modlitwa wieczorna). Żadne ważne wydarzenie transmitowane przez TV w godzinie modlitwy nie mogło być usprawiedliwieniem.

13 czerwca rozpoczęły się mistrzostwa świata w piłce nożnej Hiszpania’82. „Dziś gra Belgia – Argentyna [mecze inauguracyjne mistrzostwa]; na mecze nie patrzę, ale były tego skutki. Koło 21.00 była przerwa po pierwszej połowie były modlitwy, ale tylko 5 osób. Należało zapalić świece w oknach, zaśpiewać, ale bożek piłki zabrał wszystko. Nie osądzam nikogo, tylko stwierdzam fakt. Wygrała Belgia 1:0”. Gorycz wynikała z faktu, że był to zarazem dzień kolejnej, szóstej już miesięcznicy wprowadzenia stanu wojennego, a każda miesięcznica miała swoją godną oprawę. Nie oszczędził też siebie, gdy pewnego razu z powodu zażycia lekarstwa nie był zdolny do uczestniczenia w modlitwie Anioł Pański.

Zanim mury runą, runą

Gdy czytamy tu o formach pobożności, trzeba też zauważyć równoległe specyfikę, w jakiej się uzewnętrzniała. Czas internowania był czasem nadzwyczajnych stresów. Przenoszenia z miejsca na miejsce, zaliczone pięć obozów o fatalnych warunkach higienicznych, zawodowa nieuprzejmość, a często także chamstwo straży więziennej, wzywania na przesłuchania przez SB, nagabywania, groźby, śmierć matki, której nie dano mu nawet pożegnać, a nawet uczestniczyć w pogrzebie – to niemało jak na męczyznę po pięćdziesiątce. A jednak trwał w etosie działacza solidarnościowego, związkowca, Polaka.

Formą walki o swoje prawa bywała w obozach internowania głódówka. Zwykle ogłaszano ją dla wywalczenia jakichś ulg lub praw ludzkich, ograniczonych w obozie, dla wywalczenia kontaktu z rodziną, możliwości uczestniczenia w pogrzebach rodzinnych itp. W piśmie, zawiadamiającym komendanta obozu o rozpoczęciu własnej, indywidualnej głódówki, Józef Kula nadał jej rys postny, a cele, o które w taki sposób walczył, znacznie wzniosły się ponad

przyziemność. „Głódówkę podejmuję na intencję Kościoła powszechnego i Ojca św. Jana Pawła II oraz o spełnienie się woli Bożej nad całym światem, a zwłaszcza nad naszą Ojczyzną – Polską, o szczere porozumienie narodowe w myśl też podanych przez Episkopat Polski”. Zdecydował się ją przerwać dopiero po rozmowie z kapłanem, przybyłym do obozu.

Oryginalne są też lektury Kuli: Asnyk, Kasproicz, Dobraczyński – „Spotkania Jasnogórskie”. Czytał i rozważał książkę Tischnera i encyklikę *Laborem exercens*.

Kiedy po zwolnieniu z obozu w Nowym Łupkowie wracał na Śląsk, jego pierwsze kroki po opuszczeniu pociągu w Katowicach też zaświadczały, że był kimś niezwykłym. Wszyscy pewnie znamy te niespodziewane spotkania, zaproszenie do stołu, pokrzepienie ducha i ciała, odnalezienie przyjaciół. „Przed 7:00 byliśmy w Katowicach – byłem na Mszach św. (dwóch) w kościele garnizonowym – a potem chciałem iść do punktu opieki nad internowanymi i uwięzionymi, ale czynny jest [dopiero] od godziny 15:00. Byłem u Kazika Świtonia, ale go nie zastałem. Poszedłem do Katedry – tam spotkałem księdza Thomasa, który się też tym zajmuje, oraz ks. bpa Zimniaka – wzięli mnie na śniadanie”.

Losy diecezjanina z Rudziczki, zagubionej wśród większych sąsiednich miejscowości, łączą się przedziwnie z kurią i jej gospodarzami. Owo opatrnościowe spotkanie w katedrze, a zwłaszcza to śniadanie z biskupem i z legendarnym, przedwcześnie zmarłym kapłanem, choć w oczach świata nawet pewnie niezauważone, w perspektywie wiary są bardzo znaczące. Tak to odczułem podczas lektury, gdy do tego miejsca dotarłem.

Nie był to koniec jego przeżyć. Podczas przesłuchania na komisariacie w Żorach, dokąd wezwano go po uwolnieniu, bezcelne usta funkcjonariusza zarzuciły mu, że „poleruje sobie aureolę” (czyli pozuje na świętego). Chciałoby się zapytać – z jakiego paragrafu ten zarzut? Możemy domyślić się, że do roku 1989, wiele zdążono mu zadać przykrości.

Na zasłużony odpoczynek

Śmierć przyszła w cieniu pandemii, która dotknęła nas wszystkich, bezprecedensowa jak niegdyś stan wojenny, poprzedzona jak wtedy ostrzeżeniami i zwiastunami, którym nie dawano wiary, na głą jak niszczący żywioł. Wyludnione ulice, patrole policyjne, Sanepid i Ministerstwo Zdrowia z nadzwyczajnymi uprawnieniami, restrykcje, obostrzenia – tym razem w dobrej sprawie. Tylko że obecnego prawdziwego wroga – koronawirusa – nie można tak po prostu obalić i skazać za zbrodnie przeciw ludzkości i Narodowi Polskiemu. Ale i w okresie pandemii ludzie dochodzą swego kresu, gdy wypełnią się ich lata (*Miarą naszych*



lat jest lat siedemdziesiąt, lub – gdy jesteśmy mocni – osiemdziesiąt...”, Ps 90,10a).

W lipcu 2020, kiedy przyszła śmierć, było akurat „okienko” pomiędzy pierwszą a drugą falą epidemiczną, okres względnie bezpieczny i spokojny. Na cmentarzu w Suszcu pożegnali go liczni koledzy z internowania, w tym Andrzej Rozpłochowski i Adam Żabicki, w imieniu Stowarzyszenia Represjonowanych w Stanie Wojennym przewodniczący Eugeniusz Karasiński, w imieniu Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” przewodniczący Dominik Kolorz. Wkrótce potem, po nasileniu pandemii, taki liczny pogrzeb nie byłby już możliwy, skoro nawet na Wszystkich Świętych cmentarze nie mogły zostać w owym roku nawiedzone.

Byłem z Józkiem Kulą po imieniu, za pan brat, mimo różnicy wieku. Kontakt był w większości telefoniczny (komórkę otrzymał swego czasu w prezencie od Eugeniusza Karasińskiego). Ale przełamaliśmy się co roku opłatkiem. Pozostawał niezmiennie żywotny i odważny: już po przekroczeniu osiemdziesiątki, jako stały czytelnik miesięcznika „Reader’s Digest” skorzystał z promocji i wybrał się w podróż do Turcji. Kiedy aranżowałem wystawę „Szczęść Boże! Pobożność górników śląskich” w Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze, wypożyczył mi dwie pamiętki, wytworzone rękami internowanych górników. Byłem po to u niego w Rudziczce. A te pamiętki jawiły się równie pobożnie jak i on sam.

Czy w religijności Józka Kuli była owa „przesada”, przypisywana mu przez SB?

Myszę, że był religijny „w sam raz” – właściwy człowiek na właściwym miejscu, o właściwym czasie.

Kiedy internowanemu w Zabrze-Zaborzu bardowi Mirkowi Kańtorowi pękła struna w gitarze i uniemożliwiło to internowanym wspólny śpiew, który należał do ich codzienności, wtedy Jacek Okoń poprosił kapelana ks. Rajmunda Bigdonia z Mikulczyc o „zorganizowanie” potrzebnej struny. W szybkim tempie trafiła ona na swoje miejsce w gitarze, a ks. Rajmund do tej struny dołożył jeszcze komplet innych, tak na wszelki wypadek.

Sprawa pozyskania gitary przez Mirka Kańtora w obozie dla internowanych w Zabrze-Zaborzu była jak na owe czasy dość zabawna. Mirek musiał napisać podanie o wydanie własnej gitary, która leżała w depozycie więziennym od czasu, kiedy to jego siostra przyniosła gitarę do kryminału na jego prośbę. W pierwszym podaniu, uzasadniając chęć grania na swoim instrumencie, napisał, że jest mu potrzebna, aby lepiej przeżywać spotkania towarzysko-religijne. Te argumenty nie przekonały komendanta obozu. Pisząc drugie podanie Mirek wspominał, że chciał przygotować akademię z okazji 22 lipca. Ten argument przekonał władzę i gitara trafiła do rąk właściciela.

W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 zakład karny w Zabrze-Zaborzu przy ul. Janika został zamieniony na obóz odosobnienia dla internowanych. Umieszczono w nim około 600 działaczy opozycyjnych z województwa śląskiego oraz częstochowskiego. Warunki w obozie były ciężkie, wyżywienie było skromne, internowani przebywali w celach 18, 22 lub 24-osobowych.

Na 18 osadzonych przypadało jedno gniazdko elektryczne, dwa wiadra i 5 miednic. W styczniu 1982 w obo-



Mirosław Kańtor, 1982

Tym co w trudnych chwilach naszej Ojczyzny nie kroczyli w milczeniu

Pęknięta struna

TADEUSZ LOSTER

zie zapanowała epidemia wszawicy. Internowani wzajemnie mobilizowali się w przetrwaniu okresu odosobnienia. Spotykali się, by wspólnie dyskutować, śpiewać pieśni patriotyczne oraz pieśni ułożone przez osadzonych. Domagali się zorganizowania w obozie niedzielnych mszy świętych i możliwości posługi kapłańskiej, co udało im się wywalczyć. Pierwsza msza święta została odprawiona już 3 stycznia 1982 roku. Obóz internowania w Zaborzu został zamknięty w grudniu 1982, a internowani, którzy mieli pozostać w obozie, trafili do zakładów karnych w Radomiu i w Strzelcach Opolskich.

Okoń i Kańtor

Jacek Okoń został internowany 12 maja 1982 z powodu „niezaprzestania działalności związkowej” i osadzony w obozie w Zabrze-Zaborzu. Miał wtedy 22 lata i był studentem, członkiem NZS-u na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Jak pisze w swoich wspomnieniach: „W obozie tym przebywał niemal cały Zarząd (Solidarności) Regionu Śląsko-Dąbrowskiego z przewodniczącym Leszkiem Waliszewskim i byłym przewodniczącym Andrzejem Rozpłochowskim na czele”.

Jeszcze przed internowaniem Jacek Okoń znany był już jako młody utalentowany poeta. W obozie dla internowanych napisał ponad czterdzieści wierszy. Niektóre z nich posłużyły jako teksty do piosenek obozowych. Jak sam wspomina: „Pierwszym wierszem, który ośmieliłem się pokazać kolegom w celi, była *Modlitwa wieczorna*, znana także jako *Mistrz z Galilei*. Melodię do słów wiersza skomponował Mirek Kańtor, który wtenczas już posiadał w obozie gitarę”.

Mirosław Kańtor został internowany 22 maja 1982 i osadzony w obozie w Zabrze-Zaborzu, miał wtedy 21 lat, był studentem polonistyki na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach, był animatorem muzycznym w ruchu oazowym oraz uczestnikiem spotkań Duszpasterstwa Akademickiego. Pierwszym utworem, który skomponował Mirek w obozie, była melodia do *Modlitwy Wieczornej* Jacka Okonia.

Jacek swój wiersz napisał już dwa tygodnie po osadzeniu w obozie. Skomponowana do wiersza melodia brzmiała jak protest song, była zbyt indywidualna, aby ją można było śpiewać grupowo. Powstała druga melodia, którą wkrótce śpiewali wszyscy. W swoich wspomnieniach Mirek Kańtor napisze: „Chodziłem do każdej sali w swoim baraku, aby ją (tj. pieśń *Modlitwa Wieczorna*) przećwiczyć i sprawdzić reakcje. Wszystkie były pozytywne. Potem następne baraki i w niedzielę – wspólnie na chwałę Bożą. Byłem tak szczęśliwy, bo czułem się potrzebny”.

MODLITWA WIECZORNA (MISTRZ Z GALILEI)

Jacek Okoń

Pamiętaj o mnie, Mistrzu z Galilei,
gdy dzień kolejny przez kraty ucieka,
a wokół w szarych mundurach anieli
jak psy szalone warczą na człowieka.

Pamiętaj o mnie, gdy wieczór nadchodzi,
a ja nie mogę go niczym ugościć,
i chce mi zabrać jak zgłodniały złodziej
kolejną porcję marzeń o wolności.

Pamiętaj o mnie, gdy księżyc nad miastem
i na modlitwie zasypiam w pół słowa,
weź mnie za rękę i z drutów kolczastych
do obiecanej ziemi poprowadź.

Daj mi swą pamięć na krzyżową drogę,
usłysz me słowa z więziennej pościeli,
pamiętaj o mnie, który jesteś Bogiem,
wolny człowieku, Mistrzu z Galilei.

Tak powstał jeden z najpiękniejszych obozowych wierszy i pieśni. W swoich wspomnieniach Jacek Okoń napisze: „Weszła też na stałe do żelaznego repertuaru wieczornych apeli, kiedy to śpiewało się na zmianę: *Zaborze to...* i *O Panie, który jesteś w niebie*. Była popularna wśród internowanych nie tylko z Regionu. Śpiewali ją internowani w Grodkowie, Uhercach, Rzeszowie-Załężu i w Nowym Łupkowie. W 1982 roku nagrała ją Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA, co przyczyniło się do dalszego jej upowszechnienia. Mirek Kańtor nie tylko pisał w obozie muzykę do wierszy Jac-

ka Okonia, zaczął pisać również własne teksty, do których komponował melodie.

„Balladę o Matce napisałem zainspirowany historią jednego gościa z Kaszub, który przyjechał do Jastrzębia za pracą i został górnikiem dołowym. Straszny nerwus i zabijaka, który znał jeden sposób na czerwoną gangrenę – amputować, nie dyskutować. Cóż, ten silny facet opowiadał łamiącym się głosem o swojej matce, która go szukała po 13 grudnia w różnych ośrodkach internowania. Nocowała na dworcach lub u dobrych ludzi, a gdy w końcu go odnalazła w Zaborzu, dostała 10 minut widzenia”.

BALLADA O MATCE

Mirosław Kańtor

Nad obozem szarość,
Strażnik wartę trzyma
A przed bramą matka
Chce zobaczyć syna.

Kilka godzin stoi,
Modli się i płacze,
Niech mój dobry Boże
Zdrowym go zobaczę.

Kiedy tamci przyszli
W mroźną noc grudniową,
Szepnął: Z Bogiem, Mamo,
Nie wziął nic ze sobą.

Szukam go od dawna,
Znaleźć go nie mogę,
Dać mu chcę medalik
I święconą wodę.

Niechaj zniesie godnie
To internowanie,
Daj mu pomoc, zdrowie
I cierpliwość, Panie.

Matko Przenajświętsza,
Znasz dolę człowieka,
Daj niech moje oczy
Synem się nacieszą.

Przebacz tym, co służy
ślepej nienawiści.
Niech się na tej ziemi
Twe królestwo ziści.

I wróc wszystkim matkom,
Których synów wzięto,
Upragniony pokój,
otrzyj łzy, daj męstwo.

Tak się modli matka,
Ręką krat się trzyma.
„Odejdź stąd, kobieto
Syna tutaj nie ma!”.

Nad obozem szarość,
Strażnik wartę trzyma,
A spod kraty matka
Idzie szukać syna.

Pacyfikacja kopalni „Wujek” 16 grudnia 1981 roku oraz śmierć 9 strajkujących górników uważana jest za największą zbrodnię stanu wojennego. Dla wielu Polaków pękło złudzenie, że komuna nie porwie się na to, aby dla utrzymania władzy posłużyć się rozlewem krwi, tak jak miało to miejsce w „wydarzeniach” roku 1956 czy 1970. Jeszcze przed tym tragicznym dniem do obozu internowanych trafił przewodniczący NSZZ „Solidarność” kopalni „Wujek” Jan Ludwiczak, a po 16 grudnia dalsi górnicy uczestnicy strajku i walki.

Jack Okoń napisze: „Obecność w mojej celi aż trzech górników z kopalni „Wujek” musiała jakoś wpłynąć na zakres podejmowanych tematów. Z Mieczysławem Pieronkiewiczem często rozmawiałem o tych tragicznych dla niego (ale i dla wszystkich w Polsce) wydarzeniach. Opowieści o pacyfikacji, dostarczane z pierwszej ręki, czyniły tamtą tragedię wciąż żywą, a ranę wciąż niegojącą się w pamięci mieszkańców celi. Wiersz „Górnikiem z kopalni Wujek”, który wtedy powstał, łatwo mógł pozostać niezauważony i zapomniany. Nie sądziłem, że wyjdzie poza formę rękopisu. Jeszcze w obozie uczyniłem zeń prezent dla tych, do których był adresowany w tytule. Ofiarowałem czysto-pis Mieczysławowi Pieronkiewiczowi, a ten rozpoznał go dalej”. Zacytujmy ten wiersz napisany przez Jacka Okonia w zastępstwie tych, których zabito, którzy sami nie mogli już mówić:

GÓRNIKOM Z KOPALNI „WUJEK”

Jack Okoń

Słuchajcie, to ja mówię, zastrzelony Polak,
Odebrano mi życie i mój hełm górniczy,
Krwawiącymi ustami do mych braci wołam,
Którzy myślą dziś o mnie na więziennej pryczy.

Szedłem z dwiema pięściami przeciw karabinom,
W domu dzieci czekały, żeby mnie zobaczyć,
Opowiedzcie im kiedyś, jak ich ojciec zginął,
Za co życie swe oddał i swój hełm utracił.

Jestem z nimi i z wami, uwięzieni bracia,
Wiem, że Polska nie zginie, póki wy żyjecie.
Jestem z Polską, co krwawi, ale nie rozpacza,
Kajdanami splekana, samotna na świecie.

Nim zaśniecie na pryczach, pomódlcie się za mnie,
Jak się modlił Pan Jezus wśród nocy Ogrójca,
A mój hełm przestrzelony zawieście na bramie,
Gdzie mi życie zabrano, a mym dzieciom ojca.

15 czerwca 1982 roku bard obozowy Mirosław Kańtor w swoim „Dzienniku” zanotował: „Po południu pisałem piosenkę *Czemu, Polsko, lejesz gorzkie łzy*, na melodię *Rozkwitały paki białych róż*. Była ona śpiewana w obozie na miesięcznicach krwawej pacyfikacji kopalni „Wujek”.



Jack Okoń, 1981

CZEMU, POLSKO, LEJESZ GORZKIE ŁZY

Mirosław Kańtor

Płacze Polska, bo ją pragną skuć:
„Wróc mój chłopcze z tego strajku, wróc.
Na ulicach czołgów pełen rój,
Śmierć się skrada podła, wróc kochany mój.

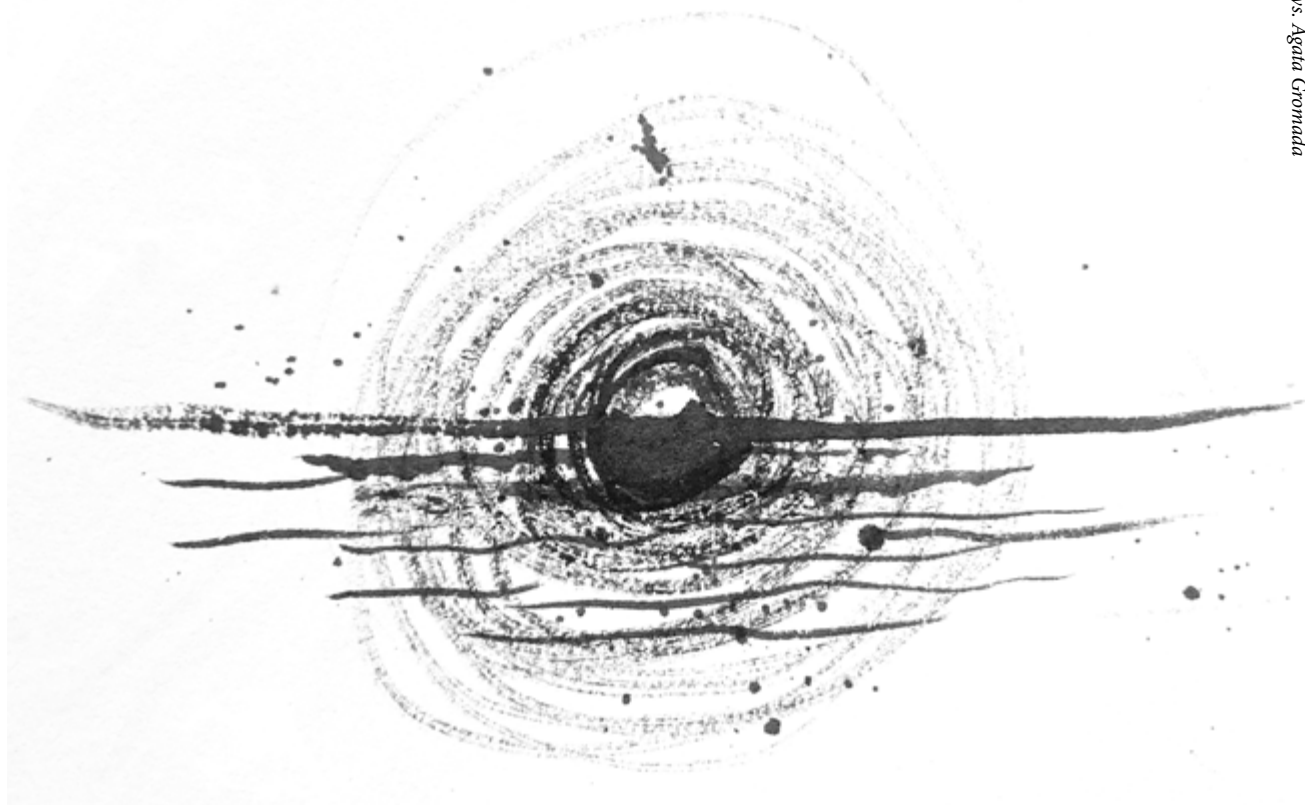
Tyś kajdany rozkuł z moich rąk,
Tyś nie szczędził zdrowia, sił i mąk,
Ty szukałeś nowych, lepszych dróg,
Jam się radowała, błogostawił Bóg”.

Czemu, Polsko, lejesz gorzkie łzy?
On swą śmiercią wolność niesie Ci,
Tam, na „Wujku”, gdzie od kuli padł,
W miejscu, w którym poległ, wyrósł
krzyża znak.

Nie rozpaczaj, biedna Polsko, nie,
Niech nadzieja nie opuszcza Cię,
Solidarność żyje przecież w nas,
Przyjdzie dzień zwycięstwa, przyjdzie
taki czas!

Studenci Uniwersytetu Śląskiego Jack Okoń i Mirosław Kańtor przebywali w obozie dla internowanych w Zabrzu - Zaborzu od maja do lipca 1982 roku. Wiersze, pieśni i piosenki, które stworzyli w obozie, spełniały rolę wspólnototwórczą, a przede wszystkim pomagały internowanym przetrwać. Wielokrotnie ręcznie przepisywane, powielane przez kalkę, trafiały do innych obozów internowania, gdzie cieszyły się uznaniem. ■

Przygotowując tekst, korzystałem z książki Jacka Okonia i Mirosława Kańtora: *Nad obozem szarość...*, Wyd. Ridero 2016 i z artykułu Jacka Okonia: *Internowani z Regionu Śląsko-Dąbrowskiego wobec tragedii w kopalni „Wujek”*, wyd. „Górniki Polski” Zeszyty Naukowe Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu nr 5/2011. Zdjęcia Jacka Okonia i Mirosława Kańtora pochodzą ze wspomnianej książki.



ODKOTWICZENIE

Coraz większe zrosty na pałąku wystającym z leju. Mrowienia
 W najlichszym wejrzeniu poza kant zatrzymanego wychylenia
 Wahadła. Nawłóć każdego podłoża. Zatarasowane kierunki.
 Sprężyny w lukach. Wychodzisz i nie wracasz, kolejny krok
 Przerabia najmniejsze wypiętrzenie na miął. Większość ma wydłubane
 Oczy. Goniący, potliwy strach wygłusza jarzma, decentruje ich koło
 Utraty. Bezwłoczny upadek. Żrąca próżnią tama. Zygzakowaty piołun
 Na podeszwie skrętu. Lodoszreń w ćwiartce kąta. Dookolny denny włók.

PRZEPUST

Samoczynne ruchy szpadla, jak wskazówki bez pokrowców, przecinają kable
 Łączące z rozdzielniami prądu, przyspieszając czas o ćwierć tonu obrotu na
 Milimetr, domykając przeto kolejny klaser zjaw. Nikogo nie będziesz już
 Miał na wyciągnięcie takiej właśnie kolby odległości, w przesiece rozsiewanych
 Śrutów, dalekobieżnych rzysk każdego odwrotu, kiedy pada jedna po drugiej
 Obrotowa opinia, cembrowina kołującego zaniku przechyla jeszcze bardziej
 Spad dla rozdeptanych strat, chromych zasuw błyskawicznie blokujących kolejne
 Dni. Przekopany mrok. Odleżyny na bokach. Pośrodku spiralnie opadające
 Wgłębienie. Przekątne bólu poszerzają szczelinę między ubytkami a resztą

Śledzącą wahający się tor, w którym zawiązały się ościste wiry. Kołpak rozchodzącego
 Się kroku. Skronie przewiercane jak sklejka. Miazga wewnątrz kła. Dorzeczka kwaśnych Mgieł. Siedmiomilowy obwód
 pustki wchłaniający najdrobniejszy przeciąg ziejący
 Spod progu, wypełniony powietrznym pyłem, staje się naszym nieusuwalnym ryfem,
 Gruboziarnistym południkiem przebiegającym po każdym dnie papilarnego
 Śladu następnego wymuszenia, któremu jest się poddawany, w zaciskanym na szczęce
 Stryczku, za który będziesz wleczony przez rewiry tego przyziemnego kołowrotu,
 Zahaczany o jego sztywno wystające drągi, rozcierany i mielony młyńskim
 Kamieniem spadającej w swą lukę gwiazdy, na podółku szorstkiego zniesienia,

Przeniknięty rombem przyplywu mazutu, kiedy ruchy szatkownicy będą coraz prędsze,
Aż po zlanie się w rozedrgane pasmo ultra magnetycznych fal. Naprzemienne
Odpychania i ściągania wyzuwają przyczepność z wszelkich dojsć, chrypi więc
Rosnącym brakiem ułamek wolnego wciąż podłoża, odśrodkowa naszych
Trzygodzinnych przejść na za horyzontalny brzeg, gdzie przez chwilę nie gliwieje
Szpik tego przyszpilenia, naprzeciw przedsonka każdego dźgnięcia w osierdzie
Tchu, jakby rozstrój tego unerwienia był trzpieniem sięgającym poza morgę owalnego
Wykrojenia, gdyż zapędzania do chlewu rojonych racji trwają szybciej niż runda taśmociągu,
A powszechne wybory większości są owego właśnie spętania emanacją, kneblując

Odsłuch tego, co robią, szmatami nasączonymi płynnym arsenikiem omamienia.
Inni przeto to kostropate truchła, w niecce zimnego piekła zwieńczonego piknikami,
Na które zwabia się smażonymi na jadzcie kielbasami, jadalnymi trocinami placków,
Pękami rozdawanych chorągiewek. Zostajemy gdzieś w połowie dennego włoku,
Mając nad sobą połamaną kryzę chlupoczącej tafli, poprzez swój wysokopienny
Przestwór przemawiając gulgotem tlenowych baniek, lecz wciąż jeszcześmy nie do
Końca złowieni, zygzakowato przechodząc na drugi garb niżu, i by w tym zagonie
Goryczy cumować tylko o świcie, ażeby ten przepust był nie ludny od szram, bez
Dowolnie przedstawianej zwrotnicy, musimy być piwnicznym światłem przegrodzeni.

Kierujemy się surowym nurtem żrącego odpływu poza przedłużane stale mury
Najbliższego przeciążenia, utrafiანი dawkami paraliżującymi wrywanie się z tego
Mordostanu, jaki rośnie na zawietrznej ich poczyni, choć i tak pełzają już na plecach
W tym obłąkanym kordonie. Rzuty takich planów tworzą wielościan zapadnięcia, obornik
Na jego spodzie wydeptywany jest w prostopadłe korytarze, na zakrętach których tli
Się łuczyno uśmierzającej nieco ten Harar chwili. Wykrot nie większy niż pieść.
Chrząstka swobodniejszego haustu ciekłego tlenu przebija się na krótko przez ostęp
Zewu, po czym grzęźnie w łądze półobrotu jeszcze pochwytna odnoga tego koryta,
I prycha gaszonym wapnem przeskoczony rów, kiedy gaźnik nadal pracuje na jałowym
Biegu, w oczekiwaniu nierównym dla każdej ze stron na odstrzelenie nieswojej próżni.

ŚCIERNIE

Rozkuwane od dołu schody. Na zawietrznej wszelkie orbity przechodzą w spirale,
U końcach których zwisają rygle. W miejscu oczu rosną rdzawe cęgi. Zimne palenisko
Jest tylko duszną mlaką. Nasze przejścia są obchodem najbliższej dali, kiedy
Muszę nadłożyć drogi i wejrzeć w martwy od dawna porost przeoranego batem
Lat zakątu pierwszych ucieczek. Poza impulsem nic cię nie nastraja, samemu

Odnajduje się tylko błahe ślady, grynszpan wyrósł z huby przywartej do kory, i
W takich właśnie przekrzywieniach dociera do ciebie świat. Rozszczepiona echami
Studnia. Parogodzinny harmider ludzkiej gmatwaniny, ogłupiałej bieraniny aż
Do ustania, aż po pierwsze zgrzyty śmieciarki, ponieważ dookolność to rozłożona
Szachownica osaczana przez mat, by za chwilę nie mieć dokąd wrócić, pola nie

Zmieniając w celowniku, namierzony przez chrome oko losu, bo przesyje cię
Widlowy spad. Prostopadłe schodzące się w supel przeciągu ściernie wszelkich
Zbłądzeń. Transmisyjne pasy parcianych oznajmień, słupkowych wzrostów
Lub spadków poparcia, w tym bezokim leju wciągającym najdalej zawieszonych
W swym bezbrzeżnym omamie, nie będzie już bowiem żadnych awaryjnych

Wyjść, gdyż do ich drzwi pasowały tylko jedno klucze. Byliśmy krętą sondą swego
Koślawego bicia w wielostronnym rezonansie niemierzalnych zejść poza lotny
Obrys trzęsawiska skulonego czasu, zawsze o coś za późno kończąc, rozdwoiwszy
Się po każdym dobicu szpadlem, bez miernika prędkości prądu, dziergani igłami
Ostu, jak na wysięgniku, blisko już płaskiego dachu. Przeniesiony środek. Rów

Biegący w poprzek tamy. Szpula robaczywego miotu. Iskry krzesane łyżwą
O krawężnik. Zator dłuższy niż odpływ. Gipsowy cień szpuntujący przydrożny wręg.
Zjawie się o wiele szybciej, kiedy zacznę jeszcze bardziej rozpraszać pionki umknąć
Wysypane z przechylonej nagle taczki, tam, gdzie, poprzez nieustanną odwrotność,
Osiąga się poziom śmigłych przenosin w krótkotrwały bezmiar odcień, lewitacji

Przedrażających wszelkie zasy, wśród których meandrują ciasne tunele naszych
Biejących, zmarniałych pobywań, nikłych szczerb w tym szczękościsku, na który jest
Się zawczasu skazanym, i przez tryb władczych rojeń wydalany. Suma strąceń będzie
Zawsze pustym zbozem, szeregiem gołych drążków zamkniętego przedziału liczydła, w Stałym momencie
narastającego ustania, rozwierania śluzy, wirującego w żyłach prochu.

U progu stulecia Biblioteki Śląskiej w Katowicach

JAN MALICKI

Niewiele instytucji może się pochwalić tak niezwykajnym, unikatowym drukiem. Bo też sama instytucja jest niezwykła i godna szacunku; od lat nazywana „Matką Żywicielką śląskiej humanistyki”, przez lata zaś będąca zapleczem wspomagającym jeszcze niedawno dla czterdziestu czterech uczelni państwowych i prywatnych województwa. Wielokrotnie jednak doświadczana niekompetencją władz lokalnych, i to już od momentu powołania „Komitetu organizacyjnego śląskiej Biblioteki krajowej” z czasów powstań śląskich, aż po okres znacznie nam bliższy. Niespodzianką oraz zaskoczeniem dla społeczności Biblioteki Śląskiej był zatem niewielki „Druk okolicznościowy. Wydanie I i ostatnie. Nakład 37 numerowanych egzemplarzy”, wydany w Łodzi w 2007 roku przez Wydawnictwo Literatura, zredagowany przez znakomitą Wiesławę Jędrzejczykową, jego Redaktor Naczelną. Przypomnijmy, że Wydawnictwo Literatura to jedno z najciekawszych oficyn specjalizujących się w tekstach literackich adresowanych do najmłodszego czytelnika. Ale mnie zaskoczyła i ujęła trafność tematyki, przypomnienie chwili – nie waham się nazwać tego wprost – wielkiego triumfu nad niemożnością, nad przerażającym w swej istocie „nie uda się”, nad Mroźkowym: „A może by co zasiać? Jjiii tam”. To otwarcie, po raz pierwszy w jej dziejach, własnego budynku przystosowanego wyłącznie do wymagań oraz oczekiwań współczesności, jednak z perspektywami na przyszłość. Tę makroperspektywę wyznaczają co najmniej trzy daty: rok 1920 – i wystąpienie ks. Emila Szramka, który opowiedział się za „utworzeniem więk-

szej porządnej biblioteki naukowej na G. Śląsku”, a w konsekwencji zredagowaniu „Odezwy” i powołaniu „Komitetu organizacyjnego śląskiej Biblioteki krajowej”; rok 1922 – i gromadzenie zasobu podręcznego dla posłów Sejmu Śląskiego; wreszcie – sierpień 1939 roku i posiedzenie Rady Naukowej, postulującej podjęcie starań o budowę własnego budynku. Potem już tylko marzenia, powracająca fala powtarzanych postulatów i próśb, aż do przełomu lat 90. Wreszcie dzięki wojewodzie Wojciechowi Czechowi jest decyzja. Budujemy. To perspektywa bliższa. 15 lipca 1991 roku podpisuję jako główny inwestor założenia techniczno-ekonomiczne. Zaczynamy. Nowy gmach otwiera swoje podwoje dokładnie 24 października 1998 roku. Klasyczna egzemplifikacja kultury ciągłości między odeszłym światem marzeń śląskich intelektualistów a ich spadkobiercami, tłoczącymi się w czasach powojennych w czytelnich i katalogach śląskiej księżnicy. Proszę się nie dziwić, iż z nieskrywaną dumą myślę o heroicznym czasie budowy. O czasie Balcerowiczowskiej reformy tamtych lat, o wprowadzeniu VAT-u, który „zjadł nam dach”, gdy przecież o funduszach europejskich nikomu się nie śniło, a o każdy grosz walczone „na pięści, kły i pazury”; nawet z warszawskim Pałacem Prezydenckim, z którego zagarnęliśmy 80 mln zł (dzięki pani poseł Barbarze Czyż). Ostro protestowaliśmy przeciwko przesunięciu pieniędzy na rozbudowę Biblioteki Jagiellońskiej (poseł Wuttke), Wreszcie za skutecznym włączeniu inwestycji do planu centralnego państwa (wszyscy posłowie zgodnie, bez względu na barwy polityczne).

Były jednakże i chwile niezwykłe; z jednej strony – licytacje na rzecz budowy, np. Kilarowej partytury „Krzesanego”, lancetu z pierwszej operacji na sercu prof. Zbigniewa Religi, kajdanek posła Ryszarda Zająca przykutego do kaloryfera w „Gazecie Wyborczej”; z drugiej – twarze górników z pikniku zorganizowanego nieopodal rybnickiej elektrowni. Oni sprzedawali garnki i kwestowali na rzecz budowy, ja im opowiadałem o inkunabułach (sic). Heroiczny czas sprzeciwu wobec „nie da się”. Nic dziwnego, że w tamtych czasach niemal wszyscy mieszkańcy regionu kibicowali naszej budowie. Wreszcie otwieramy. Po prawie 80 latach od pierwszych postulatów, z jednodniowym poślizgiem wobec założeń, przy 40-letnich opóźnieniach innych instytucji w Lublinie, Białymstoku, Bydgoszczy. I o tym właśnie momencie opowiada „Mądra przypowieść” wydana w Łodzi. Zwróćmy jednak uwagę na „Szyty klucze Biblioteki Śląskiej” napisane przez Kazimierza Szymbękę, pisarza, Ambasadora Polszczyzny Dziecięcej i Młodzieżowej 2013, laureata wielu nagród literackich, a prywatnie – mojego magistra sprzed lat.

I przyszoł tyn dzień, a było to trzydziestego października 1998 roku.

Murorze, malarze, halnagry i roztomajcie insze majstry mieli już taki fiber, że niy jedli, niy spali ino lotali przy robocie. Bo tu już flizy wyglancowane, a tam jużaś czorno dyłowka czeko na pucowanie kieby na zbawjynie. A co dopjyro bibliotyorke i czytelnicy. Dziyń w dziyń żduchali dżwyrze, eli dałoby się już wlyżć, ale kaj tam! Zawarte. A ło to cało ta komedyjo, że siedym roków na-

zod wmurowany boł kamjyn wyngjelny pod nowy gmach Biblijotyki Ślonski.

Siedym lot... Dugo to, eli krotko? Jest siedym krow tustych i siedym chudych. Siedym psalmow pokutnych, siedym grzychów gownych. A do tego jeszcze za siedmjoma gorami i siedmjoma lasami jest siedym kozłontek, siedmiu krasnoludkow i djobli wiedzom co jeszcze. Wźdycki siedym!

Zawistnicy w krasnoludki niy wjerzeli, a z krow to ino te chude pamjyntali. Beztoż godali, że pryndzy im na grabiatych rynkach wyrośnie kaktus abo oberiba, niż ludzie nastyknom z całom tom robotom.

Inksi juzaś to se wetowali, bo jednym sie zdało, że łotwarcie mogło być już łofskiego roku, drugim zaś, że latoś, a trzecim, że i na bezrok niy bydzie. A tu mosz! Zdonżyli. Ponboczek pomogł przy ciynżki robocie i stoi gmach na półtora miliona ksionżek i to niy bele jakich. Zawistni jeszcze cosik buczeli, że niby czytelnia za mało i jedyn drugomu bydzie tam na puklu siedzioł. Jak to zawistni... Takim to się nigdy niy podobo i gelynder posztrajchowany na modro, bo po jakimu na modro, jak mogby być brontny. Ale wto by tam suchoł takich, kerym ani stary djoboł niy dogodzi, bo wźdycki wiedzom lepi, ino sami majom dwie lewerynce do roboty.

Ale co tam geleyndry i fuzlajsty! Przeca rozchodziło się ło cołki gmach, w kierym izbów je tela, że i ci, co mjeleli tam robić, na poczontku się tracyli. A wszystko wyrozumowane tak, coby czytelnik drapko trefioł to, czego szkoko. Nic, ino knefle mrugajom, elektryka aże buczy, a windy w szybach i chodnikach gnajom, choby na grubie przy połnym fedrunku. I wszystko to działo, a jeszcze do tego pyknie wyglondo. Nowocześnie, a jak w doma. Cuda się dziejom! A z tom roztomajtom technikom to musi tak być, bo som tacy, co by chcieli drap łoglondać hefty i tacy, kerzi szukajom ciszy i rozumu, a nikaj im się niy uwijom, i tacy, co do biblijotyki wlejom ino jak dyszcz leci, bo tam sucho, jedyn drugomu kamratym i żodyn ci mantla niy porweje. Coż... Roztomajto mo Ponboczek ta swoja czelodka. Ło studentach, co tam gymżom i łoczny wypratujom, aże ich cosik łofswjyci i polecem łodbijać na ksero to, co inksi downo wymyśleli, to ani niy godom. Może spokopjom te mondrości i bydom mieli uciecha.

Na scynie zespoł „Ślonsk” tańcuje i śpyjwo a to ło Karolinca, a to ło Karlika, a zawiaduje nimi som Stanisław Hadyna. Tyn Hadyna, kery pora mjeisyncy niyskorzi umar, z czego na zymmi boła żaloba, a w niebie uciecha, bo tera dyryguntuje serafinami i uczy ich słonskich śpyjwek.

Beztoż w dziyn łotwarcio szła się kupa ludzi, co by się tymu podziwać. Nasnosyli tyż gyszynkow: tyn staro ksionżka, co je milijony we wercie, tamtyn krałza gruszek narwanych w Lubszy, kaj Jozef Lompa mjyszkoł, a machery z telewizji – jak obiecali – flaszka (i to niy kwaretka bele czego ino srogego szampana). Przyjechali tyż goście bez kerych się żodne łotwarcie niy łobyndzie. Prymjer Jerzy Buzek (Wjycie kiery? Brat tego rectora z Glywic, co sowy zbijro), wiceminister kultury Janusz Weiss – tyż szkolo gowa, wojewoda katowicki (ale niy Zientek, bo „Jorg” niy doczekoł) ino Marek Kempski, a ku tymu jeszcze poru wojewodow z Łopola, Czynstochowy, Bjelska, co to po somszedzku mjyszkajom, a radzi sie byli dowjedzieć, jak to w Katowicach ludzie dali rada w siedym lot i jedyn dziyn wymurować tako srogo biblijotyka. Co jom przeca stawjali i skuli nich i dlo nich, bo chleba, soli i ksionżki to somsiodowi wźdycki trza požyczać.

Ino się dziwujom zacni goście, że nikaj niy widać bjoło-czerwony szlajfki i nożyczek. Ale to tak mjało być, bon wszystcy wiedzom, że jak urzynydnik uwidzi tako szlajfka, to jom zarozki poszczize, a po tym trza łotać. Nikerzi, to już som tacy wzdyczyni, że nożyczki po kapsach noszom i psujom te szlajfki kaj sie ino do.

A dyrektor Malicki yno sie po cichu śmieje, gości wito, ło historii biblijotyki łozprawjo i udowo, że niy widzi, jak tamtym łoczny lotajom. Pedzioł i ło tym, że nojlepszym fachmanom nakożoł łoporzondzić Jasnogorski ksiynogzbor, kery wjeki całe ludzjom słužoł, a tera go w podziymjach kotowickigo cyntrum flikujom, szpricujom i rychtujom na glanc.

Wylejżli goście na scyna, siedli na zeslach, a wedle nich stoi cosik i sie blyszczy. Szczybny blat, a na nim sztyry złote klucze. Djobli wjedzom, na co to tam je, ale wyglondo pyknie. A łoroz, pora metrów dali, pojawjoły się dźwyrze, co ich tam pjyrwy niy boło. Czary jakeś, abo co? Mono i czary, bo kaj by sie take cuda mogły dzioć, jak niy w biblijotyce?

Ale na razie przyszło godać. No to stowajom, godajom, winszujom, dziynkujom, chwolom, łobiecujom, a co jedyn to dużyj i pykniyj. Jak już się narzondziyli (bo niy godo się „mówi się” ino godo się „rzondzi się” yno wto tak jeszcze godo...), to juzaś sie łobrocili ku tym złotym kluczom. A że bołe złote, to kożdy urzynydnik i polityk z daleka pozno, bo jakby niy rozezoł sie na tym, to by cołki rok gymiza jod, a rynce mjoł zielone łod tombaku.

„Mono to niy som Klucze Piotrowe, ale jak niy ma szlajfki do posytrzyżnio, to to muszom być klucze do Bi-

blijotyki Ślonski. No to niy przyjechali my po darymniczy” – tak se myśleli i trocha im ulżyło. Dyrektor Malicki doł pjyrszy klucz prymjerowi Buzkowi. Tyn idzie ku dźwyrzom, a co stompnie, to ze dziesiynć cyntow rośnie, a na wodze pół funta mu przybywo. Niż doszoł, to już mioł ze dwa i pół metra. Stało przed dźwyrzami, wraziół klucz do dziurki ruszoł roz, drugi – a tu nic! Ani niy zazgrzipi, a co dopjyro miało by sie łotworzyć. Wyciongnął i poszoł nozod siedzieć na zeslu, ale już nie boł taki wjelgi, bo czuł, że wygoroł. Zaro po nim drugi klucz dostał wiceminister. Idzie bado, luknoł na zomek poklamotoł i jak niy zakrynci! A tu nic. Dźwyrza jak boły zawarte tak som. No to wojewoda ruszo ze trzecim kluczym. A kaj tam! Ino się spcioł, a żalowoł, że szperhoka niy mo, bo tyż mu dźwyrza za dwoje godały. Wrazić i wyciongnonć to každy chłop poradzi, ale tak szkyrtnonć, żeby się łotwieralo i boło by rade poszkyrtać się jeszcze... no to już trza fachmana.

Siedzom, klucze w rynkach trzymajom i czekajom, co dali. Żli, że szlajfki niy ma, znerwowani, bo wygoreli, ale kożdy rod, że niy łon jedyn gańby się nażar, a klucz mo i niy puści. A tu profesor Malicki bjere szworły klucz i idzie ku dźwyrzom. Wraziół szkyrtnoł łobrocioł i dźwyrze się łotwarły. Bo gość to gość, choć i tak godajom, że z byzuchym to ino łostuda, ale gospodorz to gospodorz... Beztoż dyrektorowi Malickiyemu się udao (a mono mu pomogły te gruszki z łogrodka Lompy, co je z krałzy podjodoł?), a ci, co probowali przed nim, dostali po kluczu na pamjontka i tyż byli radzi.

A tyn szczworły klucz wisi tera u dyrektora na ścianie, a że – jak to padajom – „i Homer nikiedy się zdrzimnie” to trza dować pozor, żeby się niy stracioł. Bo jak by tak, niy dej Boże, klucz do Biblijotyki Ślonski się stracioł, to ci, co tam niyjedyn dziyn przesiedzieli nad ksionżkami, wylejom z nerwow i pogoniom profesora z kobyrami aże do Aldreichu abo jeszcze dali.

Na ślaski przetłumaczył i spisał Kazimierz Szymczko. ■

1. Sztyry klucze biblijotyki slonski (w:) Mądra przypowieść i ślaska gadka zamiast laudacji na cześć Biblioteki Śląskiej z okazji 85 lecia. Druk okolicznościowy. Wydanie I i ostatnie. Łódź 2007. Wydawnictwo Literatura. s. 12. Nakład 37 numerowanych egzemplarzy.

Spisano z egzemplarza nr 12.

Dwaj panowie K, czyli śladami Kalidego i Kissa

EDWARD WIECZOREK

Posąg-fontannę „Chłopca z łabędziem” znają mieszkańcy wyspy Wight, Warszawy, Legnicy, Brzegu, Wrocławia, Chorzowa, Gliwic, Bytomia, Pokoju, a nawet białoruskiego Mińska (i zapewne wielu innych miejscowości, o których nie wiem), odlewy tej rzeźby należą bowiem do najpopularniejszych dzieł Teodora Erdmanna Kalide – górnośląskiego rzeźbiarza i modelarza. Mniej znana jest twórczość innego górnośląskiego rzeźbiarza – Augusta Kissa, choć chyba w rankingu popularności XIX-wiecznych Prus stał wyżej od Kalidego. O nich chciałem napisać parę słów. Zaczniemy więc od początku.

Dwaj panowie K

Byli niemal rówieśnikami i mieli podobne życiorysy. Teodor Erdmann Kalide urodził się w 1801 r. w Królewskiej Hucie (Chorzów) w rodzinie pruskiego inspektora hutniczego Gottlieba Kalidego, któremu podlegał między innymi ruch wielkich pieców Huty Królewskiej i kontakty z królewskimi kopalniami „Król” w Chorzowie i „Królowa Luiza” w Zabrze. August Kiss urodził się rok później w Paprocanach (dziś Tychy) również w rodzinie inspektora hutniczego, jednego z twórców kopalni „Emmanuelseggen” („Murcki”) i zarządcy huty w Paprocanach.

Teodor Erdmann Kalide, po ukończeniu gimnazjum w Gliwicach, podjął pracę w tamtejszej Królewskiej Odlewni Żeliwa, łącząc pracę z nauką w modelarni artystycznej. W wieku 18 lat wyjechał do Berlina, gdzie uczęszczał do Akademii Sztuk Pięknych, podejmując jednocześnie pracę w berlińskiej odlewni. Wzorem i opiekunem w Berlinie był dla młodego Kalidego Wilhelm August Stilarsky, który w 1805 r. przybył do Berlina także z Gliwic. Z berlińską odlewnią związanym było wówczas wielu rzeźbiarzy, m.in. Johann Gottfried Schadow i Christian

Rauch. Schadow był powszechnie znany i podziwiany, był m.in. autorem słynnej Kwadrygi wieńczącej Bramę Brandenburską, wspaniałych rzeźb królowej Luizy czy księżniczek pruskich. U niego też zaczął naukę Kalide, przenosząc się po dwóch latach do pracowni Christiana Raucha, gdzie uczył się rysunku z natury i cyzelowania.

Towarzyski skandal

W 1831 r. Kalide zwieńczył studia tytułem akademickiego rzeźbiarza i cyzela i rozpoczął samodzielną działalność artystyczną w berlińskiej dzielnicy Kölln, m.in. jako projektant modeli dla królewskich odlewni żeliwa w Berlinie i Gliwicach.

Jeszcze w trakcie studiów Kalide stworzył dwa modele lwów: „Lwa czuwającego” i „Lwa śpiącego”, które odlewane w dziesiątkach egzemplarzy posłużyły jako części pomników, stawianych w różnych intencjach, i do dziś zdobią publiczne miejsca – od Estonii po Czechy i od Bytomia po Lubekę. Na Śląsku zachowało się kilka spośród nich: „Lwy śpiące” w Bytomiu, Gliwicach, Legnicy i Pokoju koło Opola, zaś „Lwy czuwające” czają się w Gliwicach (ul. Dolnych Wałów) i nad Jeziołem Złotnickim.

Kolejną pracą, która Kalidemu przyniosła rozgłos, była rzeźba „Chłopiec z łabędziem” (wykorzystywana też jako fontanna), której model artysta stworzył dla Królewskiej Odlewni Żeliwa w Gliwicach w 1833 r. i którą odlewano także z brązu i cynku. Dodam, że rzeźba zdobyła medal na Wystawie Światowej w Londynie w 1851 r., gdzie zakupiła ją królowa Wiktoria do swojej rezydencji Osborne na wyspie Wight.

Najstarszym zachowanym do dziś egzemplarzem jest figura na Pawiej Wyście w Poczdamie. „Chłopca” możemy spotkać w warszawskim Ogrodzie Saskim i Wilanowie, w Brzegu, Legnicy



Gliwice, grób Teodora E. Kalidego na Cmentarzu Hutniczym, fot. Edward Wieczorek

i Wrocławiu. W województwie śląskim figura zdobi Chorzów, Czeladź, Gliwice i Koniecpol.

Kalide stworzył jeszcze sporo rzeźb i modeli (np. „Wazę Prowincji”, „Dziewczynę z lirą”, projekty pomników Fryderyka II, Fryderyka Wilhelma III i Fryderyka Wilhelma IV), ale dobrze zapowiadającą się karierę przerwał towarzyski skandal.

W 1844 r. Kalide stworzył gipsowy model, a potem odkuł w karraryjskim marmurze rzeźbę „Bachantka na panterze” na zamówienie szwagra Franza Wincklera. „Bachantka” – jak na owe czasy – była rzeźbą niezwykle śmiałą, nowatorską, a pod względem artystycznym doskonałą. Była jednak kontrowersyjna. Stanowiła niemal „policzek” dla ówczesnej oficjalnej publiczności hołdującej akademickim gustom. Atmosferę oburzenia podsycali również obrońcy



Chorzów, dom Teodora E. Kalidego, fot. Edward Wieczorek



Bytomski „Lew śpiący”, foto Edward Wieczorek



Gliwicki „Lew czuwający”, fot. Edward Wiczorek



34 *„Amazonka na koniu walcząca z tygrysem” w Berlinie, autorstwa Augusta Kissa, foto Edward Wiczorek*



Chorzów, pomnik Fryderyka Wilhelma Redena (pierwotny proj. Teodora E. Kalidego)

moralności, modelką artysty była bowiem jego kochanka (późniejsza żona). *Theodor Kalide m.in. z powodu „Bachantki” stracił możliwość otrzymywania intratnych, nawet królewskich zleceń.*

„Bachantka”, zamówiona przez szwagra rzeźbiarza Franciszka Winklera, jednego z najbogatszych przemysłowców Górnego Śląska, właściciela dóbr rycerskich Katowice, ostatecznie wyłudowała w Berlińskiej Galerii Narodowej. Aktualnie jest w oddziale Galerii Narodowej w berlińskim kościele Friedrichswerder.

Kalidemu zlecono projekt pomnika hr. Fryderyka Wilhelma Redena (patrona XIX-wiecznego przemysłu górnośląskiego), który miał stanąć w Królewskiej Hucie. Z inicjatywą jego budowy jeszcze przed śmiercią (w 1851 r.) wystąpił szwagier artysty Franciszek Winckler, ale pomnik odsłonięto dopiero w dniu 29 sierpnia 1853 r. Uroczystość tę zaszczylił swoją obecnością król Fryderyk Wilhelm IV.

Ostatnim dziełem rzeźbiarza była figura Madonny z Dzieciątkiem, wykonana z karraryjskiego marmuru dla kościoła Świętego Krzyża w Miechowicach, zlecona przez rodzinę Wincklerów.

Na starość Kalide osiadł u brata Wilhelma w Gliwicach, gdzie zmarł w 1863 r.



Madonna z Dzieciątkiem w kościele Św. Krzyża w Bytomiu – Miechowicach, fot. Edward Wieczorek

i został pochowany na Cmentarzu Hutniczym

Dziecię salonów

Nieco odmiennie potoczyła się kariera Augusta Kissa. Po edukacji w Nysie i Brzegu, ruszył w wieku 20 lat do Berlina i – podobnie jak Kalide – podjął naukę na Akademii Sztuk Pięknych w pracowniach Chrystiana Raucha i Chrystiana F. Tiecka. Współpracował też ze znanym architektem Karlem Friedrichem Schincklem (autorem m.in. kościoła w Krzeszowicach, pałacu w Kórniku czy pałacu w Kamieńcu Żąbkowickim). W 1830 r. minister Peter Beuth powołał go do Instytutu Rzemiosła (Gewerbe-Institut), gdzie uczył cyzelowania i sporządzania modeli odlewniczych.

Jeszcze w 1826 r. Kiss z Kalidem wystawili razem na Akademii swoje projekty: Kiss – model pomnika Wielkiego Elektora Fryderyka Wilhelma, Kalide – model pomnika Fryderyka II Wielkiego, ale ich późniejsze kariery poszły różnymi drogami. August Kiss stał się uznanym artystą berlińskim, otrzymywał sporo zamówień, także królewskich, od 1837 r. był członkiem, a od 1841 r. profesorem berlińskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Uwielbiał uwieczniać konie, zwłaszcza w dynamicznych pozach. W latach 1835–1838 stworzył swe dzieło „Amazonka na koniu walcząca z tygrysem”, które, odlane w brązie flankuje schody berlińskiego Starego Muzeum. Jej odlew z brązowego cynku przyniósł artyście na Wystawie Światowej w Londynie w 1851 r. najwyższe uznanie i popularność. Krótko potem na zamówienie króla Fryderyka Wilhelma IV stworzył duże, dynamiczne grupy rzeźbiarskie: „Święty Michał Archanioł zwyciężający smoka”, ustawiony przy poczdamskim pałacu Babelsberg, i „Święty Jerzy zwyciężający smoka”, ustawiony pierwotnie na dziedzińcu zamku berlińskiego, a obecnie w Nicolasiertel w Berlinie. Był też autorem konnych posągów Fryderyka Wielkiego we Wrocławiu i Fryderyka Wilhelma III w Poczdamie, Królewcu i Wrocławiu oraz pomników księcia Leopolda w Dessau, Chrystiana Petera Beuthsa w Berlinie czy nagrobku Karla Friedricha Schinkla w Berlinie.

Do nielicznych prac wykonanych w marmurze należy pomnik grobowy hr. Laury Henckel von Donnersmarck oraz grupa „Wiara, miłość, nadzieja”, która po śmierci rzeźbiarza w 1865 r. ukończona została w atelier Gustava Blaesera i prze-



„Chłopiec z łabędziem” w Gliwicach, fot. Edward Wieczorek

kazana przez wdowę po artyście Galerii Narodowej w Berlinie.

Kiss otrzymał odznaczenia państwowe i złote medale na wystawach. Był honorowym obywatelem Królewca. Zmarł w Berlinie i tam spoczął na starym cmentarzu św. Mateusza, gdzie pochowani są m.in. bracia Grimm. Przed śmiercią ustanowił fundację, zapewniając zakup przyborów szkolnych dzieciom pracowników Huty Paprockiej.

Spacerownik Kalidego

Ostatnio modne stały się przewodniki, nazywane spacerownikami. Ja też chcę zakończyć ten artykuł takim spacerownikiem „Śladami Kalidego po województwie śląskim”. Zapytacie od razu: – A dlaczego tylko Kalidego? – Od razu też odpowiem: po Kissie, niestety, niewiele znajdziemy.

W Paprocanach, dzielnicy Tychów, postawiono w 2003 r. skromny pomnik autorstwa Augustyna Dyrda, rzeźbiarza z Tychów. Na obelisku umieszczono tablicę z podobizną Kissa wg popiersia Gustava Blaesera z Berlina (1866 r.). W tychże Paprocanach zachowały się też pozostałości Huty Paprockiej (koszarnie przebudowanej na restaurację), zarządzanej przez ojca rzeźbiarza, pochowanego w Mikołowie na cmentarzu ewangelickim.

Dużo więcej śladów życia i twórczości możemy odnaleźć po Teodorze Erdmannie Kalide.

Nasz spacerownik zaczniemy w miejscu urodzenia rzeźbiarza – w Chorzowie. Tu, na rogu ul. 3 Maja i Kalidego, zachował się dom, w którym Teodor Erdmann przyszedł na świat. Umieszczono na nim tablicę, upamiętniającą ten fakt.

Na Placu Hutników w Chorzowie stoi pomnik Fryderyka Wilhelma Redena. Oryginał został wymodelowany przez Kalidego i ustawiony w 1853 r. na Wzgórzu Redena. Po II wojnie światowej został zniszczony. Jego kopię usta-

wiono w 2003 r. na wspomnianym Placu Hutników. Wykonał ją Augustyn Dyrda.

Także w Chorzowie przy pl. Matejki stoi fontanna „Chłopiec z łabędziem” (w latach 1870-1912 stała na chorzowskim rynku), jeden z licznych odlewów wg modelu Kalidego. Kolejną taką fontannę spotkamy w Czeladzi przed Muzeum Saturna (jest to egzemplarz, który stał w latach 1999-2003 w Gliwicach) oraz na rynku w Koniecpolu. Wróćmy jednak do naszego spacerownika.

Kolejnym punktem na naszej trasie jest Bytom. Tu na rynku ustawiono jedną z kopii „Lwa śpiącego” w 1873 r. jako element pomnika mieszkańców, poległych w wojnie prusko-francuskiej w 1870-1871 r. Po II wojnie światowej wylądował w Parku Miejskim, a w latach 50. XX w. przywłaszczyła go sobie Warszawa. Po udowodnieniu, że to bytomski lew, oryginał wrócił na rynek w 2007 r.

W bytomskiej dzielnicy Miechowice, w tamtejszym kościele Świętego Krzyża, ufundowanym przez drugą żonę Franza Wincklera i jego córkę, stoi Madonna z Dzieciątkiem, wykonana przez Kalidego z karraryjskiego marmuru w 1860 r.

Z Bytomia nasza trasa prowadzi do Gliwic, z których Królewską Odlewnią Żeliwa Kalide był związany od młodości, początkowo jako modelarz i uczeń zawodu, później jako projektant wielu rzeźb i form użytkowych, odlewanych w Gliwicach. Na starość osiadł w Gliwicach u brata Wilhelma, który przez kilkanaście lat kierował gliwicką odlewnią.

W Gliwicach spotkamy dwa kalidowskie lwy: „Lwa czuwającego” przy ul. Dolnych Wałów – obok Willi Caro (siedziby Muzeum) oraz „Lwa śpiącego” – przy skwerze Valencinnes. Podobny „Lew śpiący” zdołał do 1945 r. pomnik w Parku Miejskim w Gliwicach. Gliwice doczekały się też własnego „Chłopca z łabędziem”, umieszczonego na skwerze Dessau. Fontanna „Chłopca z łabędziem”, pożyczona od Gliwickich Zakładów Urządzeń Technicznych, stała na skwerze w latach 1993-2003, potem sprzedano ją do Czeladzi, a w Gliwicach ustawiono w 2007 r. nowy odlew.

Na ekspozycji w Oddziale Odlewnictwa Artystycznego Muzeum w Gliwicach, na terenie dawnej kopalni węgla kamiennego „Gliwice”, zobaczyć możemy wiele dzieł Królewskiej Odlewni Żeliwa, których projektantem i modelarzem był Teodor Erdmann Kalide.

Ostatnim etapem naszego spacerownika jest Cmentarz Hutniczy w Gliwicach przy ul. Robotniczej, na którym w 1863 r. pochowano Teodora Erdmanna Kalide. Grób, podobnie jak sam Kalide, był zapomniany do 1926 r., kiedy z okazji 125 rocznicy urodzin artysty przypomniano sobie o nim. Powstał wówczas nagrobek z palmetą i żeliwną tablicą, zaprojektowaną przez Petera Lippa. Oryginałną tablicę skradziono w latach 60.



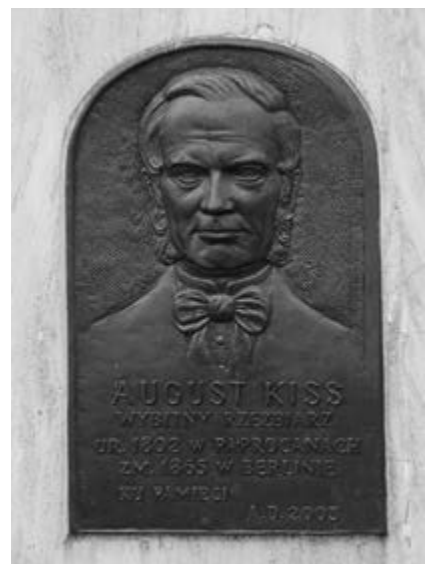
Fragment pomnika Augusta Kissa w Tychach – Paprocanach, fot. Edward Wieczorek

XX w., a nagrobek zniszczono. Odtworzono go dzięki pasjonatom ze stowarzyszenia Metamorfozy Gliwickie.

Dodam tylko na koniec, że Cmentarz Hutniczy to prawdziwa skarbnica górnośląskiego dziedzictwa przemysłowego. Pochowano na nim m.in. Johna Baidona, szkockiego inżyniera, projektanta Królewskiej Huty w Gliwicach i wielu innych obiektów; Wilhelma Kalide – brata Teodora, wieloletniego szefa Królewskiej Odlewni Żeliwa, Wilhelma Kissa – brata Augusta, królewskiego inspektora hutniczego (+1830).

Poza naszym spacerownikiem pozostał „Lew śpiący” Kalidego na pomniku księcia Eugeniusza Wirtemberskiego w Pokoju, w pow. namysłowski.

Poza spacerownikiem pozostały także zachowane do dziś dzieła Augusta Kissa i jego grób w Berlinie. Odwiedzając kiedyś to miasto, a zwłaszcza Stare Muzeum na Wyspie Muzeów, zwróćcie uwagę na dzieła górnośląskiego artysty. ■



Św. Jerzy Augusta Kissa w berlińskim Nicolaiviertel, fot. Tilman Harte wiki



Kiełzać się na szlinczach

JAN MIODEK

Zajmiemy się w dzisiejszym odcinku pięknym śląskim archaizmem, jakim jest czasownik *kiełzać (się)*, używany również w postaciach wariantywnych *kiełzgać (się)*, *kiółzać (się)*, *kniółzdać (się)*, *kłojzdać (się)*. Przechowuje on w naszym regionie swe pierwotne znaczenie „ślizgać (się)”. Czytamy np. w „Małym słowniku gwary Górnego Śląska” Bożeny Cząstki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec z roku 2000: „Bydymy sie dzisieję po lekcjach *kniółzdać* na lodzie?”, „Późdz sie *kiełzać*” (str. 100).

Funkcjonują też wariantywne derywaty *kiełzaczka*, *kaźłowa*, *kiółzdaczka*, *kłojzdówka* oznaczające „ślizgawkę”: „Zarozki bierymy szlinczuchy i idymy na *kłojzdówka*” (tamże, str. 103).

Formy *kiełzać*, „ślizgać się” i *kiełznąć się*, „pośliznąć się, potknąć się” znajdujemy w tekstach staropolskich: „*Kiełzać lubricio*” – Słownik staropolski, w Krakowie od r. 1953, materiał do XV w., „*Kiełznąły się* były nogi moje” – Szymon Budny ok. 1536 - ok. 1596 (cyt. za: Stefan Reczek, „Podręczny słownik dawnej polszczyzny”, Wrocław-Warszawa-Kraków 1968, str. 153).

„Słownik języka polskiego” wydany w roku 1861 w Wilnie staraniem i kosztem Maurycego Orgelbranda hasło *kiełznąć się* w znaczeniu „potknąć się, pośliznąć się” – z przykładem „Jehowa nie daje się *kiełzać* nogom moim” – opatruje kwalifikatorem przestarzałości. Nie ma natomiast w tym leksykonie żadnych kwalifikatorów przy hasłach *kiełzać*, *kiełznać* w znaczeniu „mundsztuk wkładać, hamować, krócić (*kiełznać konia*)”, „poskromić, zawściągnąć” (*trzeba kiełznać tego ducha upartego*) oraz przy hasle *kiełzno* „mundsztuk, hamulec, kawecan”, *wziąć w kiełzno swoje namię-*

ność – „poskromić, powściągnąć” (tom I, str. 487).

Jeszcze w wydany tuż przed wojną „Słowniku języka polskiego” Trzaski, Everta i Michalskiego pod red. Tadeusza Lehra-Spławińskiego zarejestrowany jest z kwalifikatorem dialektalności czasownik *kiełzać* z wariantami *kiełzać*, *kiełzać się*, *kiełznać się* w znaczeniu „ślizgać, ślizgać się, poślizgiwać się”. Przywołany leksykon informuje też o XV-wiecznym wyrazowym punkcie wyjścia: *kiełzać*, „czynić śliskim, być śliskim” i *chełznać*, „zakładać kiełzno” oraz o późniejszym zmieszaniu się tych dwu odrębnych słów (Warszawa 1939, tom I, str. 1473).

Expressis verbis napisał o tym w swym „Słowniku etymologicznym języka polskiego” Aleksander Brückner: „*Chełznąć, chełstać, ochełstać i ochełzdać* (np. u Pełtrycego 1609 r.) o *wędzidle, chełźnie* (co konia *chełsta*); dziś pierwotne *che-* (tylko to znano w 15. i 16. wieku) zastąpiliśmy przez *kie-* czasownika *kiełzać* i mówimy o *okiełznaniu, nieokiełznaniem* – zamiast *nieochełznaniem*” (Kraków 1927, str. 178).

Pierwotne *che-* znane było jeszcze w XVII wieku – dopowiedzmy. Znajdujemy je u Wacława Potockiego, który żył w latach 1626-1696: „Samęć fortunę *chełzna* serce śmiałe” (Stefan Reczek: *op. cit.*, str. 39).

Przywołany wyżej słownik wydany w Wilnie w roku 1861 przy hasle *chełznać* ma już tylko odnośnik do *kiełznąć* (tom I, str. 146).

We współczesnych leksykonach *chełzania* nie ma – tak jak nieobecne jest prymarne znaczenie „ślizgania się” przy słownikowych hasłach *kiełznać*, *kiełzać*. Znajdujemy tylko następujące definicje: 1. *jeżdż.* „zakładać koniowi uzdę lub węd-

zidło” (*kiełzać konie*), 2. *książk., przen.* „radzić sobie z kimś, z czymś, nie pozwalając komuś lub czemuś na coś, poskramiać, ujarzmiać” (*kiełznać namiętności, porywy serca, siły przyrody, kiełzać awanturników*) („Uniwersalny słownik języka polskiego” pod red. prof. Stanisława Dubisza, Warszawa 2003, t. 2, str. 297). Przy hasle *okiełzać* – *okiełzywać* obecny jest kwalifikator przestarzałości i odnośnik do czasownikowej pary *okiełznać* – *okiełznywać*, definiowanej następująco: 1. *jeżdż.* „założyć (zakładać) wędzidło, munsztuk koniowi lub innemu zwierzęciu ucznemu; okiełzać, okiełzywać (*okiełznany ogier*)”, 2. *książk., przen.* „zmusić (zmuszać) kogoś do posłuszeństwa, poskromić (poskramiać), ukrócić (ukrócić) stany, zachowania, nawyki uznawane za szkodliwe; okiełzać, okiełzywać” (*okiełznać rozbrykane dziecko, okiełznać czyjś temperament*) (tamże, t. 3, str. 188).

Tylko zatem śląskie słowa *kiełzać (się)*, *kiełzgać (się)*, *kiółzać (się)*, *kniółzdać (się)*, *kłojzdać (się)*, a także *kiełzaczka*, *kaźłowa*, *kiółzdaczka*, *kłojzdówka* przechowują do dziś prymarne znaczenia związane ze *ślizganiem (się)*.

W czasach mojego dzieciństwa mieliśmy w Tarnowskich Górach najdłuższą *kaźłową (kaźłowę)* na ulicy Krakowskiej, a że jest to ulica spadzista, można było, rozpędziwszy się na górze, dojechać, utrzymując równowagę, do skrzyżowania z Armią Czerwoną (dziś Piłsudskiego) – na butach albo na cytowanych już wyżej *szlinczach*. Te ostatnie są kolejnym pięknym archaizmem, kryjącym w sobie – tak jak odpowiadające im w języku ogólnym *łyżwy* – praindoeuropejski rdzeń (*s)leug, sleig* „ślizgać się, ślizowaty, gładzić”.



rys. Agata Gromada

NIE JESTEM STĄD

Zwisam jak flaga
opuszczona do połowy masztu
nie jesteś stąd
szturchają mnie drzewce

Nie jestem córką Ślązaka i Ślązaczki
moje życie od urodzenia tutaj
to za mało
mogłam być rdzenną Zagłębianką
mogłam być córką Niemca

Dziecko z sanatorium
córka kuracjusza i kuracjuszki
córka wyjazdu innego miejsca
dziecko święta zdrowienia
w pięćdziesiątym szóstym
dziecko wolnego czasu
dziecko z gdzie indziej
mama i taka wśród innych
z gdzie indziej

Mogłam być córką Niemca
gdyby mama mogła kochać Niemca
a wiosna w trzydziestym dziewiątym
mogła być ich wiosną

Wciąż rosnę inna ja
i wciąż mi rośnie inny kraj
w nadzwrotnym oku
a ściąga bliżej drugie krótkowzroczne

TKANKA ŁĄCZNA

Nie zdradzono mnie o świcie
zdradzono w biały dzień
w białych rękawiczkach
był sztukmistrz ten
mistrz sztuk
czy może lokaj
kim jesteś w ten czas
strzępów rozrywania
kwitnienia odłamków
czy z ran trzech naraz krwawisz
pokaż mi swojego pana
a powiem ci kim jesteś
szukałam dziesięciu sprawiedliwych
chciałam być gliną
i diamentem gwiazdzistym
tkanką łączną

2018

SYMBIOZA

ta stara Cyganka
której ukradziono las
z gromadką młodych które
znają już tylko ten skwer
w zaniedbanej części parku
przez chwilę w jej oczach tańczy
moja spódnica obręczą ognia
i wpuszcza mnie w krąg
piskląt wyjętych
z popiołu

2018

TRZYMAŁ SIĘ

Wychodzisz z pokoju, to jest pokój zły,
który kiedyś był kuchnią w domu poety.

Cieężko wytrzymać w domu
a to jest twój dom.

Siedział tu na beczce prochu.
I kto go tu trzymał?

Ktoś czyni znak krzyża,
odwracasz wzrok.

Przekreślił się w nim klucz.
Rycerz śpiący, dom drwiący.

Zbieramy się tu wszyscy w imię
państwa, w kilku chłopca
uniesiemy trupa

I wielką walizę
niczym wóz Drzymały.

grudzień, 2018

WYJADACZE

Kacprowi Płusie

Czy będziesz gościem przy stole,
Czy podadzą cię na talerzu?

Zjedli na tym zęby
a ty będziesz żabą bez księcia
twarda będziesz czy ugotowana
nóż przy piersi udko w garści
zmrożenia i wrzutki
gęsia skórka
piskłę w ostrym sosie
tygrysi pazur
kogle mogłe
paw w sosie własnym
miska dla psa
za daleko słodka kiść
połknięta w całości czy przeżuwana
będziesz palce lizać
czy ugryziesz się w język
będziesz daniem głównym
czy musztardą po obiedzie
witają się z gąska
razem w kupie
której nikt nie ruszy
ty z boku stoisz
worki pod oczami
ogryziona do kości pięść
włos na czworo
w gardle wiąże powróż

wrzesień, 2018

TAM GDZIE KWITNĄ ODŁAMKI

Dom chowa się w skale
w oknie mieści się pięść
gdzieś tu są drzwi
za urwiskiem
chata na kurzej łapce

w środku kamień
po którym ześlizgnie się ostrze

SŁONY PRZYPIŁYW

jeszcze kolebie się kołyska ciała
sposobi się ku mumii cień
i skrada się ku dłoniom
tu czekam już przygotowana
błękitnej sukni tren
i szal lodowy oplótl szyję
i woda w żyłach mknie
i głowa w książkach
krąg zamyka
i perłę krwi wypłuka
kołysze się kołyska ciała
i odklejają słowa
a oczy się nie dotykają
i nadaremnie wbiega w pięść
milczących palców zwój

12 maja 2020, drugi miesiąc pandemii

ROK KOBIET

jesteście w moim domu, chłopcy
kto jest najpiękniejszy na świecie?
to ja, śmierć, dajcie żyć!
to ja, matka siostra dziewczynka
wieczni chłopcy, zarządcy
kto daje, kto odbiera
kto się w piekle poniewiera
słuchaj dziewczeczko
ona nie słucha

sierpień, 2021

GANEK

„już nigdy nie będzie takiego lata”
ogródek wilczym gardłem śnieży

we wnykach rój świetlików

tu był nasz dom, nasza przystań święta
już nigdy nie będzie tego domu

już poniechany dom
już płomień mleka matki pełen

już poręcz za nadgarstki chwyta
już sierść wyrasta w oknach

zawyje ganek

ganek podda się pierwszy

wrzesień, 2021

Mirosława Pajewska urodziła się w 1957 roku w Bytomiu. Jest autorką czterech zbiorów wierszy: *Krwioobieg* (2004), *Styksmat* (2006), *Transfuzje* (2009) oraz *Podróż do drugiego pokoju* (2014). Laureatka licznych konkursów literackich. Mieszka w Rudzie Śląskiej.

Wiedeń w Gliwicach, Cieszynie, Białej Podlaskiej i Rzeszowie

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

Podkarpacie jest dla mojej rodziny ważnym regionem. Urodziliśmy się w Dębicy, a dziadek, Tadeusz Penderecki, był bardzo znanym i cenionym prawnikiem, dziekanem Izby Adwokackiej w Rzeszowie. Obecnie stolica województwa wypiękniała: rynek, deptak i cała starówka robią duże wrażenie. Natomiast nowoczesny budynek Filharmonii Podkarpackiej zapewnia się setkami melomanów podczas każdego koncertu. Frekwencja jest bardzo dobra, często brakuje biletów na koncerty, ponieważ zainteresowanie wydarzeniami muzycznymi jest bardzo duże. Na widowni zasiadają elegancko ubrani widzowie z całego województwa, a także z Małopolski.

Dyrektorem Filharmonii Podkarpackiej im. Artura Malawskiego w Rzeszowie (z przedłużoną kadencją do 2026 roku) oraz Muzycznego Festiwalu w Łąncucie jest prof. dr hab. Marta Wierzbieniec. Jako dyrygent-chórmistrz doskonaliła swoje umiejętności w Szwajcarii, Belgii i w Niemczech. Poprowadziła ponad 250 koncertów, występując w wielu krajach Europy. Jest wykładowcą na Wydziale Twórczości, Interpretacji i Edukacji Muzycznej w Akademii Muzycznej im. Krzysztofa Pendereckiego w Krakowie. Od 2021 roku pełni także funkcję przewodniczącej Rady ds. Instytucji Artystycznych, powołanej jako zespół doradczy Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu. Z przyjemnością przyjąłem zaproszenie pani dyrektor do realizacji gali sylwestrowo-noworocznej „Wiedeń moich marzeń”.

Premierę tego widowiska muzycznego przygotowałem w 2004 roku na deskach Gliwickiego Teatru Muzycznego razem z choreograf Anną Siwczyk i świetnym pianistą Adamem Mazoniem (który pełnił też funkcję dyrygenta), z udziałem: Grażyny Brodzińskiej, Wioletty Białk, Anity Maszczyk, Michała Musioła i Witolda Wrony, a także chóru, solistów baletu i orkiestry. Kilka miesięcy wcześniej, jesienią 2003 roku odwiedziłem Lucjana Kydryńskiego w pięknym, przestronnym mieszkaniu w Warszawie, poznałem też jego żonę Halinę Kunicką. Pijąc herbatę z porcelanowej filiżanki, podziwiałem elegancki wystrój mieszkania, setki płyt i książek. Pan Lucjan był już niestety ciężko chory i ostatecznie nie mógł poprowadzić koncertów w Gliwicach. Zaprosiłem wtedy do współpracy: wieloletniego redaktora „Ruchu Muzycznego” Józefa Kańskiego, re-



daktorkę Telewizji Katowice Halinę Szymurę i Janusza Ekierta (który przyjeżdżał do naszego teatru ze swoją żoną, wybitną pianistką urodzoną w Rybniku – Lidią Grychtołówną). A potem ja przejąłem narrację. Pokazywaliśmy „Wiedeń moich marzeń” kilkadziesiąt razy, nie tylko na Śląsku, ale także na przykład w Sali Kongresowej w Warszawie (dzięki impresario Barbarze Kaczmarkiewicz, zasiadającej obecnie w radzie Fundacji ORFEO im. Bogusława Kaczyńskiego w Warszawie). Z dużym sentymentem wspominam też nasz występ w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Cieszynie, przypominającym sceny wiedeńskie. Kiedyś to miasto było stolicą księstwa, a w 1805 roku, po klęsce wojsk austriackich w wojnie z Napoleonem, Cieszyn stał się na parę tygodni nieformalną stolicą monarchii, gdy przeniósł się do niego dwór Habsburgów. Natomiast Franciszek Józef I czterokrotnie odwiedził Cieszyn: w 1851, 1880, 1890 i 1906 roku i nocował tam w zamku. Sentyment do cesarza jest tam ogromny.

W 2019 roku wznowiłem „Wiedeń moich marzeń” na Festiwalu im. Bogusława Kaczyńskiego w Białej Podlaskiej, gdzie w wielkiej hali widowiskowo-sportowej zgromadziło się około 3 tysięcy widzów. Zaprosiłem Chopin University Chamber Orchestra pod dyrekcją Rafała Janiaka (tuż po wspaniałym miesięcznym tournée po Chinach). Orkiestra zrobiła furorę. Ze wzruszeniem powróciłem do współpracy z artystami Gliwickiego Teatru Muzycznego: primadonną Małgorzatą Długosz, gwiazdą Anitą Maszczyk, sopranistką Joanną Trafas oraz czołowymi tenorami Łukaszem Gajem i Adamem Sobierajskim, którzy na gliwickiej scenie stworzyli wiele kreacji artystycznych i byli ulubieńcami publiczności. Miałem niezawodny zespół wokalnie-taneczny Orfeum złożony z najlepszych artystów chóru GTM (obecnie aktorów i piosenkarzy). Wystąpili też soliści baletu: Kamila Baryczkowska (wcześniej Święcicka) i Jurij Stesew (z Białorusi). Ostatni pokaz

przed pandemią mieliśmy w Wodzisławskim Centrum Kultury.

Zaproszenie pani profesor Marty Wierzbieniec do wznowienia „Wiednia moich marzeń” z wiele mówiącym podtytułem „muzyczna podróż do czasów Franciszka Józefa” przyjąłem z wielką radością. Tym razem wystąpiliśmy z Orkiestrą Symfoniczną Filharmonii Podkarpackiej w Rzeszowie, która siedmiokrotnie była oklaskiwana w słynnej Złotej Sali Musikverein w Wiedniu, skąd cały świat ogląda transmisje koncertów noworocznych. Dyrygował Massimiliano Caldi. Ten pochodzący z Mediolanu artysta został w 1999 roku laureatem pierwszej nagrody w Międzynarodowym Konkursie Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga, a następnie był dyrektorem artystycznym Śląskiej Orkiestry Kameralnej w Katowicach (2006-2010). Widywaliśmy się też na organizowanym przez Elżbietę Penderecką Festiwalu im. Ludwiga van Beethovena w Warszawie. Przez wiele lat prowadził Orkiestrę Kameralną w Mediolanie i jest pierwszym dyrygentem Filharmonii Podkarpackiej. Na koncerty sylwestrowo-noworoczne przyjechał z Bergamo, które jest oddalone zaledwie o 50 kilometrów od Mediolanu.

Maestro Caldi ma typowo włoski temperament, dba o precyzję wykonania, a równocześnie jest kreatywny i wprowadza nowe życie w interpretację muzyki. Bliscy mu są artyści operowi, więc z radością podjął współpracę ze śpiewakami warszawskiej SCENY ORFEO, których przywoziłem do Rzeszowa: Małgorzatą Długosz (idealnie sprawdzającą się w repertuarze operetkowym, ale śpiewającą równie pięknie wybrane dla jej głosu arie operowe), Zoyą Petrovą (Rosjanką, która przyjechała do Rzeszowa prosto z Berlina, a mieszka obecnie na stałe w Bratysławie), Joanną Szynkowską vel Sęk (która debiutowała w Gliwickim Teatrze Muzycznym jako fantastyka Annina w „Nocy w Wenecji”), a także wspomnianym już wcześniej gwiazdorem scen operowych i festiwalu muzycznych Łukaszem Gajem (który jest obecnie wykładowcą w Akademii Muzycznej w Katowicach i dyrektorem Centrum Paderewskiego w Kąsnej Dolnej). Rzeszowskiej publiczności zaprezentował się również młody wspaniały tenor Stanisław Napierała (student AM w Katowicach, laureat Nagrody ORFEO im. Bogusława Kaczyńskiego, którą wręczyłem mu na Międzynarodowym Konkursie Sztuki Wokalnej im. Ady Sari w Nowym Sączu). Przygotowałem scenografię multimedialną, przedstawiającą Wiedeń i Wenecję (nawiązaliśmy też do „Nocy w Wenecji” Straussa), a w montażu pomógł mi Paweł Gruzca z TVP Katowice. Pracownicy Filharmonii Podkarpackiej z Pawłem Iwaszkim na czele wyczarowali odpowiednią atmosferę światłem i scenografią. Dzięki muzyce Straussa, Lehara, Zellera i Offenbacha przenieśliśmy się do czasów Franciszka Józefa i cesarzowej Sissi. Zarówno w sylwestrowy wieczór, jak i w Nowy Rok pełna widownia nie wypuściła śpiewaków i orkiestry bez kilku bisów. Na pewno tam jeszcze wrócimy, a może na Śląsku również uda się potworzyć wiedeńskie gale. ■

Ewangelia według świętego Marka

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



O Marku Chołoniewskim można by mówić bez końca. Kompozytor-eksperymentator; artysta dźwięku (*sound artist* – nb. terminy „kompozytor” i „artysta dźwięku” traktuje Chołoniewski wymiennie); wykonawca (z wykształcenia organista, lecz od lat głównie używający komputera i przenośnego telefonu jako pełnoprawnych instrumentów); improvizator; badacz; nauczyciel akademicki o interdyscyplinarnym zacięciu; inżynier-akustyk; grafik uprawiający też sztukę wideo; autor instalacji wizualno-dźwiękowych; animator kultury. Żadne z tych określeń nie oddaje bogactwa osobowości tego wspaniałego człowieka, którego wkład w rozwój polskiej kultury, w szczególności w rozwój polskiej muzyki, jest w mojej opinii imponujący.

Marek – mam zaszczyt i przyjemność zwracania się do niego w drugiej osobie liczby pojedynczej – urodził się w roku 1953 roku w Krakowie i z miastem tym związał swoje życie prywatne i zawodowe. Studia muzyczne podjął w tamtejszej Akademii nie – jak by się można domyślać – w klasie kompozycji czy teorii, a w klasie organów Leszka Wernera (1937-2014). Już wtedy zajmował się improwizacją i grą w zespołach rockowych, co wyraźnie widać (i słyszać!) w jego późniejszych poczynaniach, głównie występach w improwizujących kolektywach z udziałem nie tylko muzyków eksperymentalnych (np. znakomitego Krzysztofa Knittla), ale i rockowych oraz jazzowych (np. legendarnego Włodzimierza Kiniorskiego).

Mówiąc o tym okresie, Marek wspomina, iż studia organistowskie (dziwne słowo) charakteryzowały się zwiększoną ilością zajęć teoretycznych – organistki i organiści musieli niejako z natury rzeź dysponować głębszą wiedzą teoretyczną niż inni. Jednym z tych teoretycznych przedmiotów były Współczesne Techniki Kompozytorskie, które prowadził Bogusław Schaeffer (1929-2019). To Schaeffer właśnie po jednym z zajęć zaproponował Markowi podjęcie studiów kompozytorskich. Nietrudno zrozumieć szok młodego człowieka, którego nie kto inny tylko ten wręcz obsesyjnie wybredny Schaeffer zaprasza do swojej klasy kompozycji! Tak

zaczęła się twórcza droga Marka Chołoniewskiego, która już od początku wiodła ku elektronice.

W jego katalogu widać niepodważalną przewagę dzieł elektronicznych i elektroakustycznych, począwszy od *Citroblage - assemblage z cytry preparowanej* na... słuchawki solo; *Kompozycji elektronicznej I* (w postaci graficznej partytury); *Red* na taśmę (wszystkie trzy z 1975); ...*blank*... na taśmę; *Papuś w pościeli* na orkiestrę i taśmę czterokanałową (obie z 1976); jak również ciekawa seria *Assemblages* na konkretne instrumenty i taśmę stereo. Te ostatnie to przykłady zaawansowanej grafiki muzycznej, częściowo zdeterminowanej. Tak o nich pisze kompozytor: *Assemblages powstały w latach 1975-1979. Dedykowane są konkretnym wykonawcom. Notacja poszczególnych głosów zawiera 21 różnych symboli graficznych określających konkretne działania muzyczne i teatralne. Większość tych symboli dotyczy pojedynczych głosów, niektóre są wspólne i dają możliwość współdziałania muzyków podczas wieloosobowego wykonania utworu. Wykonaniu *Assemblages* zawsze towarzyszy taśma *Citroblage* zrealizowana w 1975 roku w Studio Muzyki Elektronicznej Akademii Muzycznej w Krakowie. Mamy tu więc do czynienia ze zdefiniowanym repertuarem symboli, z których każdy coś znaczy (np. A to „akordyka romantyczna”; graf przypominający usta to „granie z uśmiechem”; kolejny graf wyobrażający sylwetkę ludzką podobną do kasztanowego ludzika to „zachwalanie kształtu, połysku instrumentu, niemal rewia mody...” itd.). Oczywiście Chołoniewski nie byłby sobą, gdyby te same znaki pojawiały się w każdej z partytur – nie mówilibyśmy wówczas o „cyklu” tylko o jednej, wielowersyjnej kompozycji graficznej. Przeciwnie, każda z nich zawiera odmienny zbiór znaków, choć niektóre, jak powiedziano, powtarzają się. Co jednak czyni te partytury tak zajmującymi to ich wizualna „gęstość” – każdą z nich trzeba dokładnie przeczytać i zanalizować (zapoznać się ze znaczeniami grafów i tym samym przygotować do komfortowego wykonania), bo inaczej można dostać „oczopląsu” – i na tym też polega ich oryginalność. Jak*

wspomniał kompozytor, można te solowe utwory „nakładać na siebie” i wykonywać je jako dua, tria itp.; tę procedurę zastosował m. in. sam Schaeffer w serii *Heraclitiana*, ale podobne przykłady znamy z bardziej tradycyjnej muzyki: myślę tu np. o dziewiętnastowiecznych kompozycjach Pietra Raimondiego (1786-1853), a zwłaszcza o *Oktecie smyczkowym*, op. 291 Dariusza Milhauda (1892-1974), który powstaje w czasie równoczesnego wykonania *Kwartetów smyczkowych 14*, op. 291 Nr 1 i 15, op. 291 Nr 2 (1948-1949).

W swoich *Assemblages* Marek szuka dźwiękowości nieorganicznej, aformalnej, heterodoksyjnej, pleniącej się jak kłaczka Deleuza’a i Guattariego. Pamiętam, kiedy po nagraniu płytowym asamblażu skrzypcowego (*vnoblage*’u), którego dokonaliśmy z moim przyjacielem, skrzypkiem (ja zająłem się elektroniką), twórca wykrzyknął (trzeba przyznać, że dobrodusznie): „Zrobiliście mi z tego NORMALNĄ muzykę!” No cóż, skrzypek odczytał partyturę na swój sposób i stworzył narrację, która sugerowała rozwój formalny, czego Chołoniewski chciał za wszelką cenę uniknąć.

Marek należy do garstki artystów, którzy są zupełnie pewni tego, co robią. Posiada olbrzymią wiedzę oraz wyjątkową samoświadomość twórczą – i to dzięki nim potrafi tak skutecznie zwiedzać nieznaną, albo ledwo znaną, odległą, galaktyczne dźwiękowiska wyobraźni. W *Pięknej i bestii* na głos, światło i komputer (1992) oraz w *Doubles* na ten sam skład (1993-94) światło służy jako energia, która pobudza/ożywia fenomeny akustyczne; oba utwory są doskonałymi studiami transpozycji fal świetlnych na dźwiękowe. Z kolei w *Waves 2* na fale mózgowie, pola elektromagnetyczne, mikroskopy, roboty, elektronikę i wideo źródłem sprawczym są fale mózgowie; podobnie dzieje się w kompozycji *Double Brain* na sieciowo połączone fale mózgowie (współautor: Franciszek Araszkiewicz; dzieła te powstały w 2016).

Osiągnięcia artysty na polu sztuki eksperymentalnej stały się swoistą *Ewangelią awangardy*. Zaś Marek całkowicie zasługuje na miano apostoła Nowej Muzyki.

Gra bez końca

WOJCIECH LIPOWSKI

W zasadzie każda historia opowiedziana w dowolnym miejscu i czasie ma ambicje do porządkowania rzeczywistości. Narracja, która w tym pomaga, nie zawsze jednak spełnia pokładane w niej nadzieje, bo przecież trudno wymagać od świata zdarzeń, ludzkich doświadczeń, aby jawił się odbiorcy jako całość poukładana i przejrzysta. Wszystko zdaje się mieć charakter arbitralny szczególnie, gdy zostało wsparte na realnych sytuacjach, prawdziwych – lubimy to słowo – faktach, prywatnych losach, atrakcyjnych medialnie tragediach, czasem podkoloryzowanych, zmyślonych, ale przecież nikt nie będzie weryfikował prawdziwości opowieści, jeśli tylko zostanie dobrze, atrakcyjnie sporządzona.

Gdy spotkały się po wyjściu na wolność, każda miała swoją prywatną nieopowiedzianą jeszcze nikomu historię. Każda nadzieję, że los może tym razem okazać się łaskawszy, świat przyjaźniejszy, ludzie życzliwsi. Złudzenia przysły bardzo szybko, szczególnie, że mroczna przeszłość także opuściła mury więzienia i zaczęła podążać ich śladem. Katharina i Katarzyna, dwie strony jednej monety, dwie kobiety, które spotkały się pośród dziwnego lasu, gdzieś na pograniczu snu i jawy, w rzeczywistości irracjonalnych zdarzeń, absurdalnych doświadczeń.

Wydaje się, że sztuka Pawła Sablika *Utracona część Katarzyny W.*, którą wyreżyserowała w Teatrze Zagłębia Karolina Szczypek, a o niej tu właśnie mowa, jest nieco utopijną, mało przekonującą wizją powrotu człowieka do świata po przeżyciu traumy, odbyciu kary, świata zmienionego nie tylko za sprawą upływającego czasu, ale też niegotowego na przyjęcie przeczolganego przez wyrok i więzienie przestępcy.

Głównym motywem najnowszej sosnowieckiej realizacji jest proces uprzedmiotowienia człowieka za sprawą medialnej socjotechniki. Znamy to dobrze, przykładów pogoni za sensacją, dewastowania ludzkich biografii, wyciągania na światło dzienne tragicznych historii jest pełno we współczesnym świecie. W sztuce Sablika, która nawiązuje



fol. Maciej Stobierski

zarówno tytułem jak i treścią do znanej powieści Heinricha Bölla *Utracona część Katarzyny Blum*, zderzamy się z narracją o tym, jak ze strzępów plotek, poszlak, zmyśleń tworzy się portret jednostki, okaleczonej przez życie, innych ludzi, niesprzyjający czas. Powieść Bölla to z pewnością okazja, by rozwinąć tezę, że agresywne media niszczą komuś życie i kierują go w stronę zbrodni. W tym przypadku Katarzyna W., matka, która dopuściła się morderstwa własnego dziecka – przywołano tu wydarzenia z 2012 roku, jakimi żył Sosnowiec i cała Polska – różni się znacząco od bohaterki Bölla, gdyż tam mechanizm osaczenia przez bulwarowe media doprowadził do popełnienia zbrodni na dziennikarzu, w wypadku drugiej kobiety, popełniony czyn zapewnił jej rozgłos.

Można się spierać, co do formy, pomysłu realizacji tematu na teatralnej scenie. Karolina Szczypek to reżyserka, która rozpoczyna swą artystyczną wędrówkę. Jest studentką warszawskiej Akademii Teatralnej, absolwentką filologii polskiej na Uniwersytecie Warszawskim, ma na swoim koncie kilka wyróżnień m.in. za Debiut TR Warszawa w zeszłym roku. Zrealizowała jako finalistka II edycji Laboratorium Nowego Teatru Proxima w Krakowie *Spektakl dyplomowy, czyli kilka piosenek o przemocy w teatrze*, zainteresowania tema-

tyką społeczną, wykluczeniem jednostki, przyniosły z kolei projekt *Taktyki upokorzenia*, rozwijający temat mobbingu w sytuacji przemocy werbalnej i niewerbalnej. Omawiany spektakl powstał z kolei w ramach projektu Teatru Zagłębia Nowe Utopie, który jest konkursem dla debiutujących reżyserów, a nagrodą realizacja projektu na scenie.

Wspomniano, że w drogę na wolność wyruszyły dwie kobiety. Bardzo różne, właściwie nie bardzo wiadomo, dlaczego zestawiono właśnie ich doświadczenia, osobowości. Może potrzebne to było autorom, aby pogłębić proces medialnych mechanizmów kreowania atrakcyjnych, lecz przecież sfalsyfikowanych portretów. Katharina wyciąga pomocną dłoń do Katarzyny, wprowadza ją w wolny świat, chce być przewodnikiem, pytanie tylko, gdzie zaprowadzi obie wybrany szlak wędrówki. Teatralna opowieść Sablika i Szczypek tworzy coś na kształt stygmatu indywidualnego losu, który ma zostać odsłonięty, rozpoznany w empirii codzienności, chociaż opowiedziano nam o nim na podobieństwo historii mitycznej albo raczej upiernej bajki z mocną dominantą elementów absurdu. Obie postaci, jedna wykreowana przez Agnieszkę Bałagę -Okońską (Katharina), druga Magdalenę Dębicką (Katarzyna), to współcześni wędrówcy, a sam motyw wędrówki to dla



nich inicjacja w kolejne progi wtajemniczenia, w odzyskany wolny świat, pełna dysonansów, pęknięć, co nie dziwi zwyczajny, jak mocno kolebie się na wodzie łajba ich poszarpanego życia.

Ta para buduje mistrzowski popis aktorski, największą wartość spektaklu. Pewność siebie, odwaga, kruchej przecież kobiety granej przez Bałagę-Okońską, która stara się być oparciem dla wyraźnie niepewnej własnej przyszłości, drugiej postaci pięknie prowadzonej przez Dębicką; obie przykuwają uwagę, budzą refleksję, skłaniają do poszukiwania tropów, głębszych znaczeń w często banalnych sytuacjach i polemikach. Jeśli o aktorstwie mowa nie możemy pominąć bardzo dynamiczne zagranej, atrakcyjnej postaci detektywa Rutkowskiego w interpretacji Michała Bałagi, którego pojawienie się na scenie od razu podniosło temperaturę narracji. Szczególnie mógł się podobać kostium i charakterystyczna fryzura. Aktor wcielił się także w odmienną biegunowo postać dziennikarza, który stał się mocnym akcentem w tej rozpisanej na głosy zaplanowanej i przeprowadzonej bezdusznie medialnej nagonce na kobietę.

Można zastanowić się, dlaczego powstała ta intrygująca, pełna dwuznaczności, ale dość oczywista historia, dlaczego opowieść o mieszkance Sosnowca, która dopuściła się zbrodniczego czynu zainspirowała twórców? Czy przyjmująca formę pamfletu na współczesne media, skłaniająca się w kierunku pokazu performatywnego, pełnego nielogiczności, gier konwencjami o czym jesteśmy uprzedzeni już na początku; sztu-

ka ma wartość publicystyczną, doraźną, a może chodzi tu bardziej o wypowiedzenie, próbę opisu zachowań ludzkich w sytuacjach granicznych, pozbawionych masek nakładanych przez układ społeczny lub nasze własne wyobrażenia o innych?

Z pewnością pomocna okaże się dla widzów postać Autora (w tej roli pełna dystansu i świadoma konwencji Adrian-na Malecka), właściwie bardziej narratora, który jest przewodnikiem po tej rozległej krainie umowności i niepewności. Zresztą niezwykle plastycznej, onirycznej w kompozycji scenograficznej Anny Oramus. To właśnie Autor doprowadzi nas w najważniejsze miejsce tego spektaklu, zresztą jak się okaże także zmyślone, a mianowicie do więziennej rozmównicy. Spotka się tam z tytułową Katarzyną, by porozmawiać o scenariuszu sztuki teatralnej. Szybko okaże się, że ta rozmowa także pozostanie na granicy snu i jawy, bo doszło do niej jedynie w wyobraźni autorów.

Co zatem jest prawdą, a co zmyśleniem? I po co jesteśmy prowadzeni po tak zawiłych ścieżkach spraw, tak przecież oczywistych i zapoznanych? Bohaterki tego spektaklu to przecież ofiary wpływu medialnych narracji, jakich wiele żyje na świecie. Może ujęcie ich historii w nieostre ramy opowieści scenicznej, wypełnienie przestrzeni sporą liczbą niepasujących elementów pokazuje niemożliwość jednoznacznego ustosunkowania się odbiorców do omawianych tu spraw, ale służy również – jak w przypadku przekazu medialnego – przyjęciu określonego punktu widzenia względem

poznawanej dopiero treści. Pewnie dlatego przywołano również dzieło Bölla, mimo że odnosi się do konkretnych wydarzeń medialnych lat 70. w Niemczech, to nadal aktualna pozostaje kwestia wpływu, oddziaływania mediów na jednostkę, kreowania szybkich zwykle fałszywych ocen zdarzeń. Twórcy spektaklu interesują się jednak bardziej innym zagadnieniem i to stanowi otwarte pytanie, z którym mierzyć się będą widzowie: do jakiego świata powraca osoba po odbyciu kary, jak zostanie przyjęta i potraktowana, czy w ogóle jako społeczeństwo jesteśmy gotowi na doświadczenie takiej sytuacji? To chyba najważniejszy problem wpisany w tekst Pawła Sablika.

Właściwie do wielu postawionych już pytań można dołączyć jeszcze jedno, niewypowiedziane do tej pory, ukryte w sferze intencjonalnej, ekspresyjnej niemal każdej opowieści porządkującej chaos otaczającego nas świata. Czy od ludzi, do których jest ona adresowana, oczekuje się jakiejś reakcji? Dwie kobiety, złączone wspólną, mroczną przeszłością, podały drogą własnego losu, spotkały się na chwilę, by rozdzielić w końcu z upływem czasu. Pozostawiły przejmującą historię krzywdy i poniżenia, okrzyk bólu, może cichy płacz, ale chyba nikt go nie usłyszał. ■

Paweł Sablik
Utracona cześć Katarzyny W.
reż. Karolina Szczypek
Teatr Zagłębia w Sosnowcu
Premiera 19.11.2021



Mogiła rotmistrza von Koschützkiego

KAMIL ŁYSIK

Tak, nagrobki są, ponemieckie jakies. Nie, nazwisk nie pamiętam, ja tu nowy. – Proboszcz parafii pod wezwaniem św. Apostołów Piotra i Pawła w Grzędzinie jest trochę zaskoczony, że na katolickim cmentarzu pochowano ewangelików. Nie traci jednak rezonu i radzi życzliwie – pan zadzwoni do Józka. Józek wie tu wszystko o historii i na pewno pomoże.



Nagrobek rotmistrza Ryszarda von Koschützkiego na cmentarzu parafialnym w Grzędzinie
Fot. Kamil Łysik

Wronin, należący do parafii w Grzędzinie, znajduje się w województwie opolskim w okolicy Polskiej Cerekwi i nie wydaje się, by mógł mieć wiele wspólnego z położoną ponad siedemdziesiąt kilometrów na północ Rybną, dzisiaj dzielnicą Tarnowskich Gór. A jednak...

Po raz pierwszy o Wroninie usłyszałem w 2001 r. od Henryka Siwego, któremu matka, pracująca u ostatniego właściciela dóbr rycerskich, przekazała, że to właśnie tam, do powiatu kozielskiego udali się właściciele *posiadłości Rybna*, gdy w 1922 r. w Tarnowskich Górach nastąpiła Polska. Po raz drugi nazwa wioski pojawiła się dopiero w 2020 r. na przysłowiowych cioci urodzinach. Była fura kołocza, beczka kawy, trochę alkoholu i wspomnienia snute przez oldboyów. A wśród nich historia o nagrobkach von Koschützkiach z Rybnej, na które weterani natknęli się we Wroninie, rozwożąc w latach osiemdziesiątych *pakety z Rajchu*.

Telefonuję do Józka poleconego przez księdza dobrodzieja i nazajutrz wyruszam. Nieco ponad kilometr na zachód od tłocznej drogi krajowej nr 45 w kierunku na Chałupki robi się sielsko. Pejzaż jest wiejski, mocno sfalowany, porzecznany pasmami pól uprawnych i łąk. Dopieniają go schludne obejścia domostw tradycyjnie posadowionych prostopadle do drogi. Na ulicy ni żywego ducha, trwa niedzielna sjesta poobiednia.

Przećiętny cmentarz przy kościele parafialnym w Grzędzinie: krzyż z 1910 r. z wydrapaną niemiecką inskrypcją; kamień z Góry Oliwnej przywieziony z pielgrzymki przez proboszcza; pomnik poległych w obu wojnach światowych. Przy nazwiskach z I wojny daty śmierci z dokładnością co do dnia, przy tych z II wojny w większości data śmierci jest niezna. Ile lat mieli, umierając, chłopcy: Bruno urodzony w 1926 r., Walter z 1927, Georg z 1931? Wśród trzystu wymienionych tylko jeden nosi przed nazwiskiem szlachecki przydomek, który nie chroni go jednak przed kulą. To Christoph von Koschützki, ale nie jego szukam.

Typowa aleja cmentarna wysadzana tujami, na jej końcu pomnik z uniwersalną inskrypcją, wypalony znicz, plastikowy bukiet kwiatów, nieco już spłowiałych, betonowa posadzka porośnięta mchem. I dwa potężne granitowe ciosy; po lewej czarny napis wieszczy: *Richard von Koschützki, Herr auf Rybna*, po prawej jego żona Anna z domu Schickfus und Neudorf. Obydwoje zmarli pod Tarnowskimi Górami. Skąd się wzięli we Wroninie?

– Tu był kiedyś pałac. Pałac był niemiecki, Polsce ludowej stał ością w gardle. Stał i niszczał. W końcu mury postanowiono przewrócić ciągnikami, ale maszyny nie dały rady solidnej murarskiej robocie, więc ruiny wysadzono w powietrze. Po pałacu nie pozostał kamień na kamieniu. Dosłownie. – Józek, znawca historii Wronina, wskazuje ręką puste miejsce. – O, a tam rozciągały się łąki za pałacem. Za komuny to był nieużytek, a ja potrzebowałem pastwiska dla koni. Kupiłem więc działkę od gminy i zacząłem ją porządkować.



Nieistniejący pałac we Wroninie
Źródło: <https://polska-org.pl/830952.foto.html?idEntity=5594600>



Pałac w Rybnej na przełomie XIX i XX w.
Źródło: zbiory prywatne

W ten sposób Józek natrafia na dwa czarne nagrobki von Koschützkiach. Nic mu nie mówi jednak ani wyryte na pomnikach nazwisko zmarłych, ani miejscowość Rybna. – Wiedziałem tylko, że w naszym pałacu mieszkała przed wojną rodzina Horenburgów – wspomina Józek, dla którego znalezisko staje się impulsem do odkrywania przeszłości wioski. Jednocześnie podejmuje starania o przeniesienie mogił na pobliski cmentarz w Grzędzinie.

Z tym drugim nie ma problemu, choć przecież rzecz dzieje się w mało sprzyjających niemieckiej przeszłości latach osiemdziesiątych. Ówczesny proboszcz w Grzędzinie, ks. Szczepan Wardenga, sam jest entuzjastą historii, a z racji urodzenia (w Bytomiu Bobrku) doskonale czuje węzeł gordyjski, który na karku zawiązały Ślązakom w XX stuleciu Berlin i Warszawa. Ostatecznie szczątków nie udaje się odnaleźć, na cmentarz przeniesione zostają więc tylko same nagrobki. Józek odkrywa za to, gdzie znajduje się Rybna, i że tamtejsi ziemianie trafili do Wronina dopiero po swojej śmierci...

Pożółkłą fotografię z początku XX wieku opisano jako *Schloss Rybna bez Friedrichshütte O./S*. Na pierwszym planie fasada pałacu tonie w słonecznym świetle. Znaczy, że zdjęcie wykonano wczesnym rano, bo najbardziej reprezentacyjna ściana dworu zwrócona jest na wschód. W oknach pierwszego piętra, które historyk sztuki określiłby mianem *piano nobile*, dostrzec można szykownie udrapowane zasłony. Gustowny portal ukrywa się w cieniu pergoli. Ale na przedpolu wystają z krzaków tyczki (czyżby pomidorowe?), przydające eleganckiej posiadłości nieco sielskiej nuty.

Zamek, który jeszcze dziś najstarsi wciąż nazywają *zomkiem*, należy do Ryszarda von

Koschützkiego. Pan na Rybnej jest w prostej linii wnukiem Karola Fryderyka von Koschützki-Larischa, ekscentryka, o którym pamięć z pietyzmem pielęgnuje polska historiografia, upatrując w tym obrońcy ludu górnośląskiego adwokata polskości. Wnuk Ryszard nie dziedziczy jednak po swym dziadku uczucia do prostego ludu. Głowę nosi wysoko, sprawuje bowiem funkcję *Landesaltester* i posiada tytuł królewskiego rotmistrza. – *Landesaltester* to był ktoś, absolutna elita polityczna powiatu tarnogórskiego – twierdzi dr Arkadiusz Kuzio-Podrucki, historyk, specjalista od szlachty górnośląskiej. I dodaje, że posadę starszego ziemskiego mógł pełnić tylko człowiek odpowiednio doświadczony i możny.

Ale czasy świetności rotmistrzów królewskich bezpowrotnie mijają. Nowe idzie. Nowe, które za nic ma zarówno zaśnieżoną tytulaturę, jak i 900 hektarowy majątek von Koschützki. W 60 numerze „Katolika” nowe publikuje anonimowy paszkwil, gdzie dziedzica na Rybnej nazywa wrzodem, hakatystą i rzywa czytelników: „Pokażmy temu panu, że jego praca na rzecz Niemców nie przynosi żadnych owoców. Niech nam będą przykładem słowa, że czem więcej na klin żelazny się uderza, tem głębiej się on zanurza”. Jest połowca września 1920 r. Serce rotmistrza nie chce dalej pompować błękitnej krwi. Jego ciało zanurzone zostaje w ziemi zagajnika za pałacem w Rybnej.

Dlaczego nie w krypcie kościoła pod wezwaniem św. Marcina w Starych Tarnowicach, gdzie spoczywają wszyscy poprzedni właściciele *zomku* w Rybnej? Bo von Koschützcy są ewangelikami. Poza tym na terenie posiadłości znajdują się już dwa inne groby: zmarłej w 1904 r. żony Ryszarda, Anny i syna Hanno.

O poruczniku Hanno von Koschützki 20. regiment huzarów przypomniał sobie na początku Wielkiej Wojny. Niecały rok później, w maju 1915 r., nieopodal Reims we Francji Hanno oddał życie za kajzera, 1300 kilometrów od domu. Cesarz Wiluś niespecjalnie się tym przejął, w przeciwieństwie do ojca podporucznika, który nie mogąc sprowadzić ciała, zbudował symboliczną mogiłę syna obok grobu jego matki. Odtąd wszyscy nazywają zagajnik *Hannowaldem*. Po ponad stu latach „Dziennik Zachodni” napisze, że nie było żadnego Hanno, a nazwa lasu za pałacem pochodzi od imienia żony Ryszarda, Anny. Mieszkańcy Rybnej wiedzą jednak swoje. Za to dziennikarze z Katowic nie wiedzą, że w ewangelickim kościele Zbawiciela przy tarnogórskim rynku szwabachą wymalowano na tablicy nazwiska poległych parafian: „Rybn, von Koschützki Hanno”.

Na majątku, który już tylko z nazwy pozostaje rycerski, gospodarzy teraz Egon, starszy brat Hanno. Tymczasem nowe nabiera rozpędu. Górny Śląsk, choć przez wieki nie jeden raz zmieniał przynależność



Pałac w Rybnej, wygląd współczesny (2001 r.)
Fot. Kamil Lysik

państwową, teraz, czyli w 1922 r., przecięty zostaje w pół. Barokowo-klasycystyczny pałac w Rybnej ni stąd, ni zowąd odnajduje się po stronie polskiej, niecały kilometr w linii prostej od granicy.

W przeciwieństwie do wyniosłego rotmistrza von Koschützkiego, jego syn Egon żywi sporo sympatii dla ziomków posługujących się *Wasserpolnisch*. Niektórzy z nich będą potem utrzymywać, że w plebiscycie z 1921 r. *grof*, tak jak większość mieszkańców wioski, głosował za Polską. Kto go tam jednak wie? Jak niemal wszyscy górnośląscy ziemianie, pan na Rybnej identyfikuje się z kulturą niemiecką. Często odwiedza mieszkających po drugiej stronie granicy teściów oraz siostrę, samochodem wyjeżdża w interesach. Przy przekraczaniu granicy nowi gospodarze tych ziem nie omieszkają zaznaczyć swojej roli w dziejach, prowokują przykre incydenty. Po latach nikt nie chce pamiętać szczegółów.

Atmosfera gęstnieje. Nadgraniczna rezydencja jest łakomym kąskiem w walce o dusze niepewnych narodowościowo Ślązaków. Von Koschützcy podejmują decyzję o sprzedaży rodzinnego majątku i przeprowadzce do Republiki Weimerskiej. W pałacu powstaje Szkoła Strzelcka. Jak utrzymują jej twórcy, placówka ma odtąd za zadanie „szerzyć polskość w najczystszej formie”.

Egon z rodziną osiedla się w folwarku Wronin, należącym do teścia, majora Huga von Oheimba. W uroczej wiosce zajmuje się hodowlą koni rasy oldenburskiej, bydła wschodniofryzjijskiego, srebrnych lisów i nutrii, uprawia rozległe grunty. By odnaleźć wewnętrzny spokój, a może by uspokoić sumienie, po latach od przeprowadzki decyduje się na przeniesienie pozostawionych w Rybnej doczesnych szczątków rodziców.

W celu dokonania ekshumacji powołana zostaje w 1929 r. komisja, jest lekarz, są przedstawiciele polskiej administracji powiatu tarnogórskiego. Pomimo późnej pory roku w *Hannowaldzie* ruszają prace, odsunięte zostają tablice pamiątkowe, robotnicy odkopują mogiły i wyciągają trumny. Oczom zgromadzonych objawia się przerażający widok, który już niebawem w tonie sensacji opíše wiele regionalnych tytułów. Swoim czytelnikom „Górnoślązak” donosi: „W tych dniach otwarto grobowiec familijny w obecności lekarza powiatowego dr. Spila, przyczem stwierdzono, że deski trumny, w której spoczywał rotmistrz v. Koschützki, są wyciśnięte. (...) Nieboszczyk leżał twarzą na dół i z wy-

ciągniętemi ramionami”. Okazuje się, że to, co przed dziewięcioma laty uznano za zgon dziedzica, było tylko utratą świadomości, zanikiem funkcji życiowych, które odżyły w najmniej oczekiwanym momencie i dosłownie pod stopami najbliższych.

Życie toczyć się musi dalej. Najstarsza córka Egona von Koschützkiego, Anna-Ilza, wychodzi za mąż za Kurta Horenburga. Mieszkają w okazałym pałacu we Wroninie. Ich syn razem z miejscowymi chłopakami, wśród których jest też późniejszy ojciec Józka, kopią piłkę na łące za rezydencją. Nieco dalej wśród drzew spoczywają ludzie, znani dzieciakom wyłącznie z opowieści snutych przy rodzinnym stole. Czarne nagrobki porastają mchem.

Nadchodzi styczeń 1945 r., a wraz z nim zmierzch bogów, kres porządku, jaki wszyscy znają. Tak jak wuj za kajzera, tak za Hitlera umiera na froncie Krzysztof, jedyny syn Egona. Młodzi Horenburgowie i coraz starsi von Koschützcy korzystają z ostatniej szansy ucieczki. W ciągu ćwierćwiecza kolejny raz zmuszeni są porzucić swój dom. Opuszczają ziemię raciborsko-kozielską i przez Czechy docierają do Bawarii. Tym razem zdążą spakować tylko to, co absolutnie niezbędne do przeżycia, czarne nagrobki pozostają w parku za pałacem we Wroninie. Ostatni pan na Rybnej, Egon von Koschützki, umiera na obczyźnie w 1946 r. Jego żona, Eryka z domu von Oheimb, żyje jeszcze ponad 40 lat.

Tymczasem daleko za żelazną kurtyną Józek skłania miejscowych seniorów do wspomnień. Przez lata, krok po kroku przedzie nić, która prowadzi go na drugą półkulę, do Namibii. To tam burzliwe losy rzucają Horenburgów, gdzie wśród bezkresu sawanny budują dom. Dom z czasem obrasta drzewami i krzewami, przepoczwarczając się w zieloną wyspę w oceanie suchych traw. Osadę z daleka obwieszcza kanarkowa tablica, napis *Jagd & Gästefarm Wronin* wokół skrzyżowanych symboli myśliwskich, kuszy i strzelby. Zamozni turyści z Europy będą przybywać tu, by za opłatą wziąć udział w polowaniu lub wycieczce po sawannie.

Józkiwi udaje się po latach nawiązać kontakt z urodzonym we Wroninie prawnikiem Ryszardem von Koschützkiego i jego dziećmi z rodu Horenburgów. Piszą listy, dzwonią, w końcu Niemcy z Afryki przyjeżdżają do Wronina. Gospodarz oprowadza gości po wiosce. Niewiele tam pozostało po przodkach. Pokazuje miejsce, gdzie stał kiedyś dwór dziadków, pola, które uprawiali i łąkę, gdzie mchem porastały nagrobki. Jadą też do pałacu w Rybnej.

Józek nie zgadza się na podanie swego nazwiska. – Po co? – pyta. Uważa, że w rodzinnej pamięci Horenburgowie przechowali sentyment do miejsca, którego nigdy wcześniej nie widzieli. – Najlepiej świadczy o tym, że tysiące kilometrów od Wronina założyli drugi Wronin – podsumowuje.

MAŚĆ NA SZCZURY

Chowają się one po kanałach w lęku przed ludzką kończyną
 Wędrują swoimi ścieżkami, tak aby ich pobyt na ziemi nie był uciążliwy
 Roztargnione wpadają w pułapki,
 Założyła je Biała Dama
 Ona ich nie lubi za szkaradny ogon
 Stosuje lekarstwo specjalnie dla brzydoty stworzone
 Maść, która rozgrzewa aż do widoku palących się węglików
 Teraz za swój wygląd, dołączą do znajomych tam na dole

DREWNO

Z niego ołówek, którym namalowany konik na biegunach
 Pinokio, który w oniryzmach stał się chłopcem
 Szalupa, która jest ratunkiem dla tonących na parostatku w rejsie
 Zegar, który jest gratką dla opływających w pieniądze kolekcjonerów

Z niego zrobiony łuk, z którego strzelali Mongołowie
 Z niego rękojeść zadającego ciosy sztyletu
 Z niego piki, które zabijały konnicę

Wszystko to podoba się czarnemu władcy
 Jest z siebie i swoich śmiercionośnych przedmiotów dumny
 Przecież to one zaprowadzą wszystkich do drewnianej trumny

WARKNĘŁA

Z jej ust wydobył się dźwięk jak z rozgrzanego motocykla
 Jak rozwścieczony srebrzysty wilk
 Pijany ojciec jej nie dorówna

Przestraszyła się buda bez psa
 Przestraszyła się jama bez smoka
 Przestraszył się dom bez gości

Ten dźwięk to jej natura, przecież ciągle je słyszała
 Ten ton jej ulubionym, bo nie zna innego
 W otchłaniach ciemności, tylko tak do niej mówiono

CYRK

Dla rozrywki małych dzieci
 Dla nastolatków, nieustanny śmiech
 Dla rodziców, kolejne widowisko, które widzieli już kilka razy

Pracują w nim odrzutki ludzkie, tylko tam ich chcieli, to ich dom
 Tresowane wbrew woli, bite słonie żyjące w ciągłej niewoli, nie widziały nigdy swoich pobratymców
 Małe charłaki są pośmiewiskiem, a oni wylewają tony złotych kropli krwi, podczas zbierania pieniędzy do kapelusza

Król nocy chełpi się ich wyzwiskami
 Jest radosny, gdy słyszy jęki zawodu
 On śmiejącym odbierze usta krzywo wygięte podczas śmiechu, zostawiając twarze bez narządu mowy

TĘSKNOTA

Tęsknie za zielenią jej oczu – mały głębie Oceanu Spokojnego
Tęsknie za łzami szczęścia – były pociechą gdy deszcz tańczył na dachu
Tęsknie za sercem na dłoni – było takie pięknie pachnące

Ona nigdy nie zatęskni – ojciec jej tego nie nauczył
Ona tego serca nigdy nie miała – miała tylko kawałek mięsa w
Ona zimna jak Antarktyda – lubiła naga lepić bałwany

Mrok lubi te miłości bez spełnienia
To ona sprawił pomieszanie w umyśle
Ten sam zabierze tą bez serca na tron

KOBIETA W BIELI

Machnęła po płótnie jak chirurg skalpelem
Z jej rąk wyszło straszidło niczym bazyliszek
Wyłupiaste oczy, w których znalazła swoje odbicie
Ości jak jej kręgosłup moralny
Obślizgła skóra napawała ją czarną radością

Bazyliszek już nierozłącznie z nią
Ścisnął ją jak kaftan bezpieczeństwa
Już za bardzo scaleni ze sobą
Ona dalej maluje swoje piękne koszmary



rys. Agata Gronada

BALKONIK

Stoi mały, za uchylonymi drzwiami
Zabrudzony, zawalony rzeczami bez użytku
Do niego słońce już dawno przestało dochodzić

Balkonik
Pomaga starszce przemierzać krótkie metry
Jest oparciem, gdy nadchodzi chwila nie mocy
Przypomina o mężu, który też go używał

Balkonik
Teraz on zabrał powietrze z tarasu
Zabrał radość z samodzielnej egzystencji
Unicestwił plany o dojściu do łazienki

Śmierć dalej ma swoje plany
Chce starszkę wziąć do starca
Chce zostawić balkonik na wieczną katorgę dla kolejnych

Kruk czarny, majestatyczny w swojej posturze
Dziub stworzony do zabijania niewinnych
Rzuca się jak prądkowana hiena na swoją bezbronną ofiarę
Wyciska z niej brunatne wnętrze
Wyżyna do ostatniej kropli krwi

Naostrzonymi jak na diamentowej osełce szponami
Wydłubuje swojemu celowi niebieskie oczy
Jego krakanie radości, jak muzyka dla uszu Czarnego Władcy
Kruki wysłane przez Niego już w locie
Robią to co mają przez Niego zapisane w księdze śmierci
Pot śmierdzi jak zgniłe serce
Oplata lepkie ciało
Pokazuje swą moc letniego upalnego dnia
Jest sprzymierzeńcem zdechłizny
Czerwony kolor jego ulubionym
Czerwień jak krew uderza do głowy
Miesza w zmysłach i omamia
Wariaci upodobali sobie jego ton
Ulubiona barwa jak kolęca róża
Bołaca jak korona cierniowa
Przybliża z każdym odcieniem do jednego
Przybliża do męki, która upodobali straszliwcy

Nicieja – „historyk o duszy artysty”. I czuły narrator

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Czytając książki jubileuszowe (1) poświęcone osobie prof. Stanisława Nicieji nasuwa mi się skojarzenie z myślą wypowiedzianą przez mojego ulubionego antropologa, twórcę strukturalizmu. Otóż Claude Levi Strauss, niezapomniany autor *Smutku tropików* pisał: „Gdy pracuję przeżywam chwile lęku, a gdy nie pracuję doznaję tępego niezadowolenia...”.

Ogrom dokonań równie podziwianego przeze mnie prof. Stanisława Nicieji – choć nie wiem czy w obecnych realiach tego typu wyznanie uchodzi – wyraźnie dowodzi, że przy jego niespożytej pracowitości, ustawicznej otwartości na świat i „Innego”, pasji działania, przywołane słowa francuskiego antropologa mają głęboki sens.

Ku tej myśli skłania wieloaspektowy dorobek prof. S. Nicieji na niwach: naukowej, pedagogicznej, organizatorskiej, społecznej, czy wreszcie politycznej. Jest aktywnym badaczem, mistrzem dla młodych, a w przeszłości czterokrotnym rektorem opolskiego uniwersytetu, no i jeszcze senatorem RP. Zapraszał do Opola wiele wybitnych postaci życia naukowego, artystycznego, społecznego, politycznego. Z wieloma był i pozostaje w przyjaźni.

Wszystko to dokumentuje wspomniana książka dedykowana profesorowi pt.: *Dowód Istnienia* pod redakcją Danuty Kisielewicz i Mariusza Sawickiego. Jak informuje jej podtytuł *Księga Jubileuszowa ofiarowana Stanisławowi Sławomirowi Nicieji w 45 lecie pracy naukowej i organizacyjnej* wydana została przed kilkunastu miesiącami przez macierzysty Uniwersytet Opolski. To dzieło niezwykle interesujące i intrygujące. Dowód istnienia konkretnej osobowości, jednostki tolerancyjnej, wytrwałej w działaniu i otwartej na drugiego, na dialog, człowieka znajdującego sens kompromisu. W tym kontekście warto też przywołać wiersz, którego tekst intryguje, zmusza do refleksji, pióra Kazimierza Wierzyńskiego pt.: *Lekcja konwersacji*:

*Nie mów o Polakach i Żydach,
To pole minowe.*

*Nie mów o Polakach i Ukraińcach,
To pole minowe.*

*Nie mów o Polakach i Czechach,
To pole minowe.*

*Nie mów o Polakach i Litwinach,
To pole minowe.*

*Nie wstępuj na pole minowe,
Wylecisz w powietrze.*

*Są jeszcze inne,
Na które wstąpiliśmy przedtem
I także nie ma o czym gadać*

Tak było dawniej

Tak jest teraz

I tak będzie zawsze

Póki będziemy paść się

Na łące zaciętrzewionych osłów

Niestety owa „łąka zaciętrzewionych osłów” dziwnie trwa – tu i ówdzie.

Nie tylko w przeszłości, lecz zawsze ustawicznie konieczne są: rozmowa nie tylko o tym, co mówi *Inny* lecz i jego wysłuchanie. Odwołuję się tu do rozważań ks. Józefa Tischnera: „Co to znaczy – spotkać i n e g o? Czy inność jest tym, co oddziela mnie od drugiego, czy przeciwnie? Co jest potrzebne, żeby inny stał się bliskim?”. Na te i tym podobne pytania szukał odpowiedzi ks. J. Tischner. Szuka ich też wytrwale S. Nicieja. Profesor widzi Zło, ale widzi także Dobro, jakby zgodnie z uniwersalnym przesłaniem zawartym dziele św. Jana Pawła II *Pamięć i tożsamość –Mysterium iniquitatis: Koegzystencja Dobra i Zła* (2).

Z tego samego Drohobycza, z którego pochodził Kazimierz Wierzyński, pochodził też Bruno Schulz, który napisał: „Istotą rzeczywistości jest sens. Co nie ma sensu, nie jest dla nas rzeczywiste”. I dalej: „Nienazwane nie istnieje dla nas. Nazwać coś – znaczy włączyć to w jakiś sens uniwersalny”.

S. Nicieja to właśnie czyni, dowodzi tego treść owych ksiąg jubileuszowych. Gwoli zaś kronikarskiej powinności zaznaczmy, że tom I (*Dowód istnienia*) składa się z kilku części, są w nim: teksty ofiarowane jubilatowi, przedruki prac o S. Nicieji autorstwa ludzi nauki i dziennikarzy, bibliografia prac Profesora. Dalej następuje prezentacja innych form działalności, a wreszcie spis staży i stypendiów, potem recenzje, omówienia prac autora, a wreszcie biogramy i informacje o Jubiliacie.

Nader to ciekawa literatura, do refleksji i podziwu pobudza ogrom dokonań, zawsze wynika z nich jedno, realizacja pasji życia, czyli: słuchanie „Innego” oraz „swoiste czytanie siebie”.

Tom II (*Nicieja. Dziejopis – komentarz i polemista – mistrz słowa*) składa się – poza wstępem pióra Danuty Kisielewicz i Mariusza Sawickiego – z czterech części. To prezentacja lat dzieciennych S. Nicieji, następnie wywiady z Profesorem, potem przemówienia i laudacje oraz inne wystąpienia opolskiego uczonego. W części ostatniej tego tomu S. Nicieja wyznaje Beacie Labutin w przywołanym wywiadzie z „Gazety Wyborczej”: „Trzeba wiedzieć kiedy, to ze sceny zejść”. Ale zaraz wyznaje „nie odchodzę w niebyt, nie zapadnę w nicość...”. A najlepszym tego dowodem jest dalsza aktywność Profesora, ta, która nastąpiła po wypowiedzeniu tych słów w 2016 roku.

Skoncentruje się więc Profesor tylko na działalności związanej z losami dawnych polskich kresów wschodnich I i II Rzeczypospolitej i na ich współczesnym obrazie. W swoistej perspektywie „długiego trwania”, obecności i roli z tych ziem, ludzi stamtąd „wypędzonych”, przesiedlonych i ich potomków w nowej Polsce, tej peerelowskiej i obecnej, wolnej.

A skoro o Kresach mowa, przypomnijmy moment gwałtownego wtargnięcia S. Nicieji do polskiej nauki książką o lwowskiej nekropolii zatytułowanej *Cmentarz Łyczakowski*. To praca, która ukazała się w końcówce realnego socjalizmu. Łyczaków – symbol i rdzeń polskiej kultury i to nie tylko kresowej; znaczący element polskiego dziedzictwa, miejsce pamięci utrwalonej w pochówkach, w pomnikach.

A potem, już po latach, pojawiła się powszechnie znana i ceniona seria pióra S. Nicieji czyli *Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych*. Ale nim to nastąpiło wydał w 2006 roku pracę – jakże ważną, patriotyczną, nostalgiczną – czyli *Twierdza kresowe Rzeczypospolitej. Historia, legendy, biografie*.

Następnie trzy lata później *Kresowe Trójmiasto. Truskawiec-Drohobyc-Borysław*.

A potem już czytelnikami zawładnęła popularna *Kresowa Atlantyda*. Ta dawna, opisywana przez Platona, zatona, a ta nasza, kresowa, została zniszczona po II wojnie światowej. Dramat ludzi, ziemi, historii, kultury, symboli. Ale przecież trwa. Ta państwowa historia zakończyła się w 1945 roku, jed-



nak trwa i jest zachowana w swej pierwotnej formie – materialnej, duchowej, ludzkiej, emocjonalnej, dokumentowa i utrwalana przez opolskiego profesora.

Kresy to historia – wielka i mała – ale to też i mit. Wszak wielkie zmiany tworzą potrzebę budowania mitu, bo mity „gwarantują spójność świata”, jak dowodzi historyk Anna Wolff Powęska. Już Bronisław Malinowski pisał: „Każda przemiana historyczna stwarza swoją własną mitologię...”. To była cecha lat powojennych i niedawnego polskiego festiwalu wolności. Bo zawsze natura mitu jest atrakcyjna i społecznie użyteczna. Wyraźnie wskazywał na jego rolę i tych uniwersalnych funkcji znakomity Roland Barthes.

W tym wszystkim ujawnia się tu nie tylko oko i szkiełko Mędrca. Warto odwołać się do myśli zawartych w tekście Olgi Tokarczuk *Czuły narrator* – bo takim właśnie jest Profesor. Pisze, że stosunek historyka do legendy musi być obiektywny, bezkompromisowy i nakierowany na jej przetwarzanie (co, dodajmy, zawsze podnosił Leszek Kołakowski) zgodnie z prawdą historyczną. „Legenda historyczna bałamutna to niebezpieczny szkodnik w edukacji narodowej. Nie może bowiem być nauczycielką życia nieprawda, a jej mistrzynią utopia”. I dalej, jakże dosadnie prof. S. Nicieja stwierdza: „Edukacja narodowa czerpać musi swe soki z podłoża prawdy dziejowej...”. To nader ważne.

Stanisław Nicieja nie jest szkodnikiem, jak chcą przedstawiciele agresywnych środowisk ukraińskich, i nie tylko oni. Jest natomiast przyjacielem prawdy. Potrafi umiejętnie analizować materiały dokumentalne, narracje ludzi – tych wielkich i zwyczajnych, pozornie prostych. Czyli tych wszystkich, którzy są nosicielami konkretnego dziedzictwa. Warto na to zwrócić uwagę, tym, którzy zwą się „znawcami” Kresów, a kumkają na tym polu dziwne rzeczy, rechoczą, a ich wypowiedzi nie są ocenzone intelektem. Ta uwaga dotyczy

też roli ludzi z Kresów w nowych przestrzeniach ich bytowania i życia, oswojenia tych przestrzeni. I wnoszenia tam nowych wartości. Wszak nie są tylko – jak to niegdyś dowodził Ryszard Kałuściński – wyłącznie „depozytariuszami pamięci”.

Interesująco i intrygująco wypowiada się o tej nowej roli ludności kresowej w nowych obszarach ich życia abp Alfons Nossol. Wskazuje i na zasługi Profesora Nicieja, i zasługi „wypędzonych”. Dowodzi, iż oni naprawdę usiłowali łączyć kresowość z naszą obecną, śląską rzeczywistością. Chyba i z tą górnośląską – zachodnią, opolską, jak i wschodnią, przemysłową – ale i dolnośląską. „A kresy – dowodzi dalej abp A. Nossol – wzbogacały dotychczasową kulturę tych ziem i to nawet w aspekcie kościelno liturgicznym”.

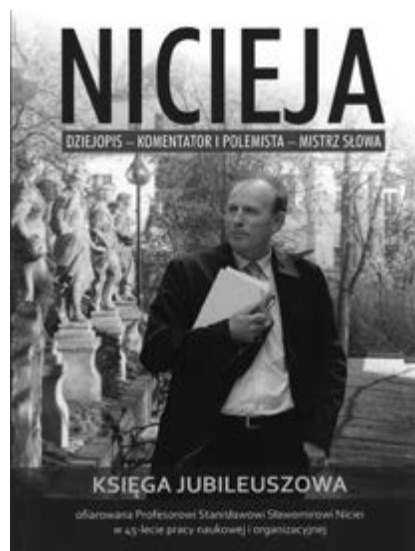
Mogłem się o tym osobiście przekonać – czyli zarówno o twórczym oswojeniu nowej przestrzeni, jak i swoistym lansowaniu kresowości – już w czasie studiów we Wrocławiu. Wtedy to mieszkałem kolejno na ulicach Osobowickiej, u przesiedleńców z Stanisławowa, dalej na dawnej ulicy Hanki Sawickiej u pana Zbyszka, przesiedleńca z Sambora, wreszcie na ulicy Południowej u sędziwej pani Heleny rodem z Nowogródka. Teraz dochodzą do tej wiedzy liczne osobiste doświadczenia z województwa śląskiego, głównie z Zabrze, gdzie poznałem i pozostajemy w przyjaźni z Tomaszem Marią Bellerem, długoletnim dyrektorem Domu Muzyki i Tańca i innymi. Także Kresowianami zamieszkałymi w Bytomiu, jak z ciągle aktywną Danusią Skalską, wielu przyjaciół mieszka teraz w Katowicach, moi krewni w Piekarach Śląskich. A syn Miłosz, pisząc przed laty dysertację doktorską, spotkał we Wrocławiu wielu wspaniałych Wilniuków. Wiele dni spędził w domu słynnego reżysera Teofila Lenartowicza.

Kontakt z Kresami to dla każdego zawsze kontakt z książkami Profesora S. Nicieja. To jego fundamentalna – już XVII tomowa *Kresowa Atlantyda*. Jej inauguracja to rok 2002.

Wtedy ukazała się praca o Lwowie. Potem były między innymi te o moim ulubionym Truskawku, Worochcie, które zwiędziałem jako student w 1970 roku, następnie tomy choćby o Kołomyji, dalej Drohobyczu, o Grodnie. Aż przyszedł czas na Wilno, na Bolechów, Świrz, a zupełnie niedawno na kresowe twierdze, czyli Kamieniec i Chocim, Jazłowiec czy Trembowłę.

Te książki dają możliwość peregrinacji po kresowych ziemiach, peregrinacji, wędrówek intelektualnych, kiedy to wraz z Profesorem poznaje się nowe miejsca, nowe fakty, nowych ludzi.

A jeśli nawet pewne fakty są znane, to zawsze urzeka uroda tych książek, fascynuje erudycja autora, piękny język pol-



ski. Rodzą się nowe refleksje, nowe konteksty, nowy namysł.

Jesteśmy dłużnikami S. Nicieja.

A zatem, Profesorze, dziękujemy i czekamy na dalsze prace.

Nie ulegając arkadyjskiej wizji Kresów, przyznając jednak, że nie akceptuję zachwyty niektórych środowisk dla publikacji Daniela Beauvoisa, zatytułowanej *Trójkąt ukraiński. Szlachta, carat i lud na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie 1793–1914*, wydanej także w Polsce, w której jej autor pisze, cyt.: „Dla Polaków nadszedł czas uznania „kolonialnego” charakteru ich obecności na Ukrainie, z której w końcu zostali wygnani”.

Czytajmy jednak książki Stanisława S. Nicieja. Pamiętajmy, że opinia Marcina Hałasia „Dla Stanisława Nicieja Atlantyda są polskie Kresy jako piękny obszar, z dwustu miastami, który został gwałtownie zniszczony i wyrwany z polskiej przestrzeni geopolitycznej i kulturowej” ma dla nas, współczesnych i przyszłych pokoleń, istotne znaczenie i sens. ■

1. Danuta Kisielewicz, Mariusz Sawicki (red.): *Dowód istnienia. Księga jubileuszowa ofiarowana Profesorowi Stanisławowi Sławomirowi Nicieji w 45-lecie pracy naukowej i organizacyjnej*. Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego. Opole 2020, s. 343.

Danuta Kisielewicz, Mariusz Sawicki (red.): *Nicieja. Dziejopis – komentator i polemista – mistrz słowa. Księga jubileuszowa ofiarowana Profesorowi Stanisławowi Sławomirowi Nicieji w 45-lecie pracy naukowej i organizacyjnej*. Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego. Opole 2020, s. 343.

2. *Miara wyznaczona złu. 1. Mysterium iniquitatis: Koegzystencja dobra i zła s. 5–16*. (w:) Jan Paweł II: *Pamięć i tożsamość. Rozmowy na przełomie tysiącleci*. Wydawnictwo ZNAK. Kraków 2005.

Co to jest obraz

PIOTR SOBOTTA



Piotr Sobotta z żoną Barbarą, 1962, fot. J. Szewiński

Piotra Sobottę, jego poglądy, dzieła architektoniczne i obrazy prezentowaliśmy już w „Śląsku” (9 i 10/2018; 2 i 5/2019). Przypomnijmy tylko, że pochodzi on z rodu gliwickiego, notowanego od XVI w. Był rekordzistą Polski w skoku wzwyż (2.09 w roku 1962); a na Olimpiadzie w Rzymie dotarł do finału. Ukończył architekturę w Mediolanie i w tej dziedzinie zrobił światową karierę. Od 50 lat mieszka we Francji, uczestnicząc w tamtejszych sporach o sztukę. *Temperament i język tych sporów prezentujemy poniżej.* [Red.]

PRELUDIO

Zacny słownik LITTRÉ wyjaśnia, że obraz to: *rama stolarska, wisząca na ścianie widocznej, zawierająca wizerunek – często dzieło malarskie.*

Definicja, kwalifikująca tę rzecz jako obraz, byłaby zadowalająca (nie zawiera chwiejnych kwalifikatorów), gdyby tylko taką była, ale pojawia się trudność, bo w opinii ogólnej wszystko **to**, czym obraz **nie jest**, zabiera prawie całą przestrzeń, wobec miejsca na **to**, czym obraz **jest**.

Na co dzień gwarzenie o obrazie redukuje się do: *co/kto to jest, co znaczy, co wyraża, ładny, brzydki, co chciał powiedzieć, duży/maly, nie lubię zielonego, co za ohyda, kojarzę z Tuwimem, Mozart by lepiej nie zrobił...* Ten sposób wypowiedziania się, naśladowany szczególnie przez oświeconych, jest kształtowany przez krytyków, których recenzje opierają się (według tezy *więcej wiesz – więcej widzisz*) na formie opisowej dzieła: identyfikacji zawartości, przedmiotu, okoliczności towarzyszących, plus coś na temat twórcy.

Bardziej ambitni odważają się na dygresje artystyczno-estetyczne typu: **kompozycja**: przekątna, trójkątna, pozioma, pionowa; **chromatyka**: obszerność palety, głębokość barw, blask kolorów zapierający dech; **przynależność do**: nurtów, tendencji, szkół; **styl**: wrażliwy, nerwowy, osobisty, pożyczony, epigoński ale autentyczny; **symbolika**: atrybucja znaczeń; dalej o sytuacjach, osobach i rzeczach zgromadzonych w obrazie. Ryzykowne te opinie szybko się wyczerpują, chwiejają się, są jednak chwalebne, ponieważ są znacznie mniej groźne niż budo-

wane przez powojennych filozofów teorie o malarstwie.

MODERATO

Przyjaciele, znajomi, którym dostarczyłem katalog moich obrazów, przy okazji podziękowań komentowali: jedni, że im się podobają, ładne, emocjonujące, silne, wstrząsające, drudzy: że im się nie podobają, smutne, pozbawione słońca, brutalne. OK, zaniepokoiło mnie jednak, że w większości – zarówno ci zachwyceni, co rozczarowani – kończyli podobnym oświadczeniem: *nic więcej nie możemy powiedzieć, ponieważ na malarstwie się nie znamy.*

Ich nieświadomość – że to, co wyrazili poprzez superlatywy lub rozczarowania na temat obrazów, jest właśnie tym, co można wyrazić szczerze, autentycznie i sensownie na ich temat – podpowiedziała mi, że trzeba coś zrobić, wyjaśnić, o co chodzi, by odmystyfikować to, czym obraz **JEST**. Przyczynić się po pierwsze do uwolnienia oglądających od obaw i skrupułów; po drugie od ślepego patrzenia się na obraz, co wynika z tego, że **nie tym jest, co sądzimy że jest**, w konsekwencji **niewiedzy**, że jest czymś więcej, innym niż to, co **przedstawia**, niż to, co i jak się o nim mówi od dawna i dzisiaj.

Wyrażone powyżej poglądy, powiedziane innymi słowami, są następującym **postulatem** artykułu: **obraz – jako wizerunek namalowany – nie przedstawia NIC, jest tylko tworem malarskim.**

To stwierdzenie (pozornie negatywne, okaże się jednak pochwałą obrazu) nie stanowi żadnej tezy, jest natomiast przekonaniem, nie tylko moim, funkcjonującym wyłącznie w odniesieniu do pewnego kontekstu kulturowego, którego wszystkie składniki są, niestety, zaciekle kontrowersyjne. Ich wybór nie wymaga nieosiągalnego uzasadnienia, wymaga jednak specyfikacji jego aspektów ponieważ **postulat** na nich się opiera i od nich zależy.

Upprzedzam także, by łagodzić wojownicze skłonności niezbędnych przeciwników, takich jak pewien wykopaliskowiec internetowy, który – reagując na mój tekst o architekturze, na łamach „Śląska”

– serdecznie mi poradził, wiosłując kajakiem z dwoma żaglami, sterowanie omijające moje laguny architektoniczne, sterowanie, które spowodowałoby moją plajtę na Zachodzie – rzecz, którą wiosłarz krajowy niekoniecznie obejmuje.

SOSTENUTO

Introspekcję **postulatu**, a nie argumentowanie, opieram więc na intencjonalnie uproszczonych wyrażeniowo i ograniczonych ilościowo: **4 pilastrach**. Ich nieuchronnie arbitralny kształt tworzy ramę, w której postulat się mieści, będąc czytelnym i pertynentnym tylko w jej obrębie.

1. CZAS. Rola obrazu w społeczności na przestrzeni wieków znacznie się rozwinęła, zmieniła. W tym, co nas tu zajmuje, trzeba wziąć pod uwagę trzy aspekty (•).

• W rozważaniach myślicieli były obecne rozumowania, przeczucia, wskazujące, że tworzenie „wizerunków” nie ogranicza się do przedstawienia, ilustrowania czegoś, że są także **istotne relacje** między twórcą i odbiorcą, indukowane przez dzieła. Z wieloma niuansami ta myśl jest obecna nawet już u Arystotelesa, Witruwiusza, Albertiego, Vassariego, Kanta, Goethego, Hegla, Kierkegaarda. Zostawmy ich jednak w spokoju, szczególnie Arystotelesa który – biedak – jest więcej na pomoc wołany niż zmarły 51 lat temu we Francji de Gaulle, tym bardziej, że obrazy w jego epoce... były raczej embrionalne.

Naturą relacji zajęli się bardziej bliscy nam: Heidegger, Wittgenstein, Ingarden, Levi-Strauss, Leiris, Gombrich, Bacon (malarz), Eco, Danto, Lyotard, Debray i Audi, który w roku 2021 napisał doskonałą książkę, zajmującą się konkretnie tym tematem (*Widzę tylko to, na co patrzę*, wyd. Galilée) grzeszy jednak nadużywaniem narracji ikonograficznych i interpretacji filozofujących, których **obalenie** jest paradoksalnie jednym z pozytywnych księżki.

• Nawet przeciętny obywatel nie ignoruje faktu, że obecność licznych technik produkowania wizerunków, szczególnie fotografia, pogrzebała poprzedni status obrazu. To jest oczywiste. Kto wie, czy

*HOKEJ 100X80 VI 2021
olej na płótnie*



*KUREK 80X80 X 2021
olej na płótnie*



*ON 100X80 IV 2021
olej ołówek na płótnie*



*SCHODY 100X80 IX 2021
olej na płótnie*

PRZECHADZKA 80x80 XI 2021
olej na płótnie



PRZECHADZKA 80X80 III 2021
olej ołówek na płótnie



SIEDZENIA ZIELONE 80X80 VII 2021
olej na płótnie



SIEDZENIA ŻÓŁTE 80X80 VI 2021
olej na płótnie

go zastanawia, dlaczego jednak **obraz nie zginął**, że jest wśród nas **obecny** – ilościowo – prawdopodobnie jak nigdy?

Długowieczną obecność obrazów – która manifestuje się poprzez odwiedzanie muzeów i tłumy walące na wystawy czasowe, mimo konkurencji fabrykowanych, powtarzalnych produktów wizualnych i dostępu poprzez media do wszystkich znaczących prac – zawdzięczamy niewątpliwie temu, że obrazy są w stanie wywołać (u oglądającego, będącego naprzeciw) pewne szczególne, **niewyraźalne, niepowtarzalne emocje**.

- W przeszłości większość obrazów została zamówiona przez arystokratów, instancje religijne czy rządowe. Zlecenia wymagały spełnienia pewnych warunków, więc z obszernej produkcji wyłonili się jednak tylko nieliczne, wykonane przez malarzy, co mieli **odwagę i umiejętność** – wypełniając zlecenie – namalować obraz, który jest także **obrazem dla siebie**. Tak robią wybitni malarze. Tworzy innych (większość miazdząca) zupełnie przyzwyczajone spełniające wymagania, zajmują obecnie magazyny, strychy muzeów lub w najlepszym wypadku trzeci rząd pod sufitem odległej sali.

2. SZTUKA. Nie jestem w stanie oświadczyć, czy między wieloma definicjami istnieją przynajmniej dwie zgodne na temat *czym dzieło sztuki jest*. Dla wyводу wystarczy nam jednak **odróżnić** dwa proste sformułowania. Sztuka to umiejętność:

- wykonania czegoś niecodziennego, na ogół według reguł, **w celu użytkowym** (artefakty rzemiosła, przemysłu, design),
- wykonania, dla przyjemności, dzieła artystycznego, nieposiadającego **żadnego użytku praktycznego**.

3. ARTYSTA. Słownik powiedziałby tak: *ten, który działa w obrębie dziedzin artystycznych* lub mniej perfidnie: *ten, który posiada umiejętność wykonania dzieła sztuki*. Infantylizując mniej czytelnika i w odniesieniu do wyvodu: jest artystą ten, kto **posiada umiejętność, przekraczającą zdolności pobieżne, stworzenia dzieła sztuki, kto potrafi wywołać efekt uczuciowy u odbiorcy**.

4. PIĘKNO/BRZYDOTA. Abisalna nieokreśloność definicji (*dito* Sztuka) przyczyniła się do złamania zębów licznych kamikadze, którzy inicjatywę podjęli. By uniknąć masowego napływu do gabinetów stomatologicznych, zadowolimy się zupełnie trafnym sformułowaniem Kanta: **Jest piękne to, co podoba się powszechnie, bezinteresownie** (to działa na równi z *brzydkim*).

Oparcie się na pojęciu *podobania* nie jest tautologiczne z *pięknem*, którego definicja jest rezultatem konstrukcji mentalnej, zależnej od tego, kto i jak formułuje swój pogląd. Natomiast *podobanie się* dotyczy takich uczuć, jak

przyjemność, satysfakcja, zadowolenie, więc nielicznych zbieżnych i posiadających *czujniki* wyspecjalizowane w mózgu. Można powiedzieć, że działa podobnie jak **smak**. Spaghetti prawie wszyscy lubią, ale podgrzana czerwona kapusta, przyprawiona cukrem, jak robiła moja ciocia, sprawiała, że unikałem u niej bywać w południe.

Warto zaznaczyć natomiast, że pojęcie **gust** jest odrębnym fenomenem, związanym z obyczajami społecznymi. Tzw. *dobry* lub *zły* gust są więc zmienne w zależności od środowiska i epoki. Gustowanie było hodowane specjalnie w salonach takich, jak kiedyś u George Sand, Gertrudy Stein lub Almy Mahler (mąż niestety komponował), a obecnie ambasadorskich i u jednej z moich przyjaciółek, która być może się rozpozna. Stosowanie wyrażenia „gust” w odniesieniu do malarstwa jest więc raczej nieodpowiednie – jest **błędem w złym guście**.

AD LIBITUM 1

- Historycy, krytycy sztuki oceniają, klasyfikując dzieła wedle *artystycznych* – według nich – stylów, okresów lub także tematów. Tak jak kustosze, których postępowanie z wartością dzieł nic wspólnego nie ma. Praktyka tym bardziej powierzchowna, że intencjonalna „czynność” artyści w tym sensie prowadzi fatalnie do rutyny, konwencji, autounicestwienia.

- Wartość artystyczna dzieła, obrazu jest równie nieoszacowalna jak piękność. Nie ma ona racji bytu wobec braku **wiarygodnych kryteriów**, a wartość handlowa jest spekulacyjna, skazana przez szejków golfowych. W kontekście niniejszych rozważań „wartość” obrazu będzie tylko potencjalna, przyznana temu, kto spełni pewne warunki, dalej precyzowane.

- W przeciwieństwie do oświadczeń Beuysa: **nie każdy** artystą jest, nie wystarczy cokolwiek nazwać dziełem, by nim było; **nie wszystko** jest dziełem sztuki. W przeciwieństwie do tego, co twierdził demagogiczne Duchamp, pisuar jest równie dziełem, jak futro Duchampa... symbolem proletariatu.

- Ci dwaj oświeceni z pomocą myślicieli frankfurckich, kalifornijskich i plejadą maoistów francuskich lat 1960. otworzyli szeroko drzwi sztuce konceptualnej: **ktokolwiek robi cokolwiek**, a „system” – nie wiedząc co robi – robi promocję. W konsekwencji muzea biją się o zakup puszek, zawierającej gówno artysty, której wartość przekracza roczną pensję prezydenta republiki, a melomani słuchają głęboko i uważnie wielominutowej ciszy.

CANTABILE

Twór malarski naszego postulatu, który **nie przedstawia NIC**, znaczy w pierwszym znaczeniu, że nie ma do spełnie-

nia: **roli społecznej** ni żadnego **apostolatu**, ni być instrumentem **ideologii** jakiegokolwiek natury. Jest natomiast „aktywistą malarskim” ten, kto poprzez wizerunek, który **poza** przedstawieniem tego, co przedstawia, dąży do stworzenia jakiejś nieokreślonej relacji między malarzem i oglądającym (wspólne pole).

Obraz, który „wyszedł udany”, to ten, który posiada spory potencjał stworzenia relacji. Będziemy go zwać: „**obrazem** +”. Wieloobliczowość i niejednoznaczność części tematu może spowodować sentyment powtarzalności, ale to nie gładzenie, lecz tryb wyjaśnień, czym „obraz +” jest.

- Tworzenie obrazów, wbrew opinii, nie opiera się na żadnej metodzie, wiedzy ni regule, jest więc nienauczne, nieprzekazywalne co do **istoty obrazu**. Oczywiście nie wyklucza to zdobywania wiedzy praktycznej; znajomości środków, sprawności rysunkowej czy „zdolności”.

Adepci warsztatów malarskich wykonywali **zadania**, ale nie **tworzyli** obrazów. *La pittura è cosa mentale* – mówił da Vinci. Obrazy, wykonane nawet całościowo pod przewodnictwem *Cosa mentale*, mogą być dziełami, nawet arcydziełami, jak te zrobione **przez Cosa mentale** (z jego pomocą nawet analfabeta malarski dałby radę stworzyć dzieło; przecież malarstwo naiwne, art brut, opierają się na raczej nieracjonalnych sentymentach). Gdyby tak nie było, gdyby wykonawstwa „obrazów +” **dało się nauczyć**, malarstwo byłoby zakopane od dawna.

- „Obraz +” jest/chce być równocześnie tym, co przedstawia, **co się widzi**, szczególnie tym, co się czuje, ale **nie widzi**. Nie znaczy to, że dąży do surrealistycznej metafory czy prowokacji konceptualnej (Duchamp). Te dzieła jednak mogą być „obrazami +” (S. Dali, M. Ernst).

- Celem malarza (pomijając wszelkie przyziemne aspekty) jest naturalnie, by obraz był udany, ale także – poprzez stworzony wizerunek – **niewymagający żadnych wyjaśnień**, by obraz był w stanie stworzyć wirtualną **relację** między nim i oglądającym. Sposób i natura osiągnięcia tej części domniemanej celu jest intuicyjna, specyficzna dla każdej pracy. **Cel podstawowy i domniemany stanowią jedno**, a jego kwintesencją jest wywołanie emocji, **wzruszenia u widza**.

- W „obrazie +” rzecz przedstawiona (to, co się widzi) ma naturalnie swoje znaczenie choć nie jest domniemanym celem, **ona służy** malarzowi, by cel osiągnąć. Jaki miałby interes malować całe życie tylko flaszki i słoiki albo prostokąty i trójkąty, nawet dodając okręgi?

- Jeżeli celem malarza jest wywołać emocje, to jest jasne, że namalowanie śledzi na zielonym talerzu lub bukietu rzodkiewek, nawet irysów, tylko przez ten fakt nie wywoła emocji. Nie także dzięki technice, stylowi, sposobowi, wierności namalowania i różnych narzędzi

warsztatowych (zmiana koloru talerza również sytuacji nie poprawi).

Trzeba czegoś nie tej natury, pewnej zbieżności, spięcia. Jednym słowem – **relacji** między *stanem zmysłowym* (natury estetycznej?), istniejącym u malarza podczas malowania śledzi (Mona Liza – nieodpowiednia, szpetna) i *stanem zmysłowym* oglądającego.

Ta wirtualna sytuacja jest sposobem mówienia (jej natury lepiej nie zgłębiać, „kwantowa” nam powiedzą, jednak bezsprzecznie istnieje). Nie wiadomo, jak jest ona **nieprzypadkowa**. Większość wybitnych malarzy prawie systematycznie potencjalność jej pojawienia się uzyskuje.

- Wydaje się że stworzenie „obrazu +” jest zależne od obecności trzech faktorów:
 - patrząc na obraz, widzieć jego przedmiot, jak i go *nie widzieć*, podświadomie **zapomnieć**, widząc obraz;

- obraz powinien **stanowić** „całość” w tym sensie, że pewne jego części, aby były obecne w obrazie, nie wymagają, by były widziane oddzielnie;

- istota obrazu powinna być **postrzegalna** natychmiast, jak u malarzy, którzy jednym rzutem oka oceniają i wiedzą, czy cudzy obraz jest dobry czy zły (ocena własnego dzieła tak nie przebiega).

- Podsumowując, trzeba podkreślić, że:
 - spełnienie się fenomenu **relacji** między malarzem i oglądającym nie znaczy, że **odbiór** odzwierciedla **wysiłek**;

- zwodniczą uzurpacją jest fabrykowanie przez krytykę/myślicieli jakiejś mistycznej **aury zrozumiałości** wokół obrazu. Jest nonsensem, nawet utopią, chcieć, w sensie malarskim, zrozumieć obraz niezrozumiały najczęściej dla samego autora dzieła, jednak o co mu chodzi – on doskonale czuje. **Obraz nie jest czymś do zrozumienia**;

- obraz nie wymaga, by być pięknym – nie wiadomo, czym jest – jednak lepiej, by mógł się podobać, po co robić szpetotę, kiedy tyle jej wokół. Sprawianie przykrości – moim zdaniem – lepiej, by celem sztuki nie było.

RUBATO FURIOSO

Ze szczerym współczuciem przywołam tych poważnie chorych – z mózgiem zranionym przez Nietzschego i pod opieką Freuda – krytyków sztuki, którzy wypocili tysiące stron na temat *Las Meninas*. Sklekotane brednie, odzwierciedla-

jące ich widziadła i – zawód obowiązuje – kolekcja krążących w salonach opinii – środowiskowych, budujących jakieś czarodziejskie, ikonograficznie fantastyko/mistyczne scenariusze, spekulacyjnie wszystko przypuszczające. Niestety żaden/żadna z nich **obrazu tego, jakim jest, nie widzi**, to osłepienie można im jednak wybaczyć, bo masywnie mylne zainteresowanie tym obrazem wynika, że jest on więcej niż „obrazem +” chyba bije wszelkie rekordy w wywoływaniu reakcji między twórcą i odbiorcą. Zaskakujące jest jednak, że krytykom, to co ten obraz przedstawia i jego istota im się **zupełnie wymyka**.

Trudno w obszernym naszyjniku jakąś perłę wyróżnić, ale powiem że absurdem jest twierdzić, że jest on „obrazem potrójnym” przez jego rewers, przez widza lub stojącą na jego miejscu parę królewską, że *meninas* i infantka są nieistotne, ponieważ tworzy obraz wszystko to, co nie jest widzialne, niewidzialność jednakże wydaje się łatwiej słowami określić niż namalować (jednak Malewicz „suprematyzował” jedno i drugie).

Pewni inni, prawdopodobnie barykadziści formowani pod koniec lat 1960., głoszą, że obraz ten jest manifestem/plakatem, który świadomie, celowo i **jednoznacznie wyraża zaangażowanie** Velasqueza na rzecz malarstwa jako takiego, jego czystą istotę, warunki istnienia i rolę malarza w tej walce. Można by się zgodzić gdyby nie fakt że Velasquez namalował *Las Meninas*, a nie transparent, służący do machania aktywistom podczas manifestacji na użytek programu wyborczego partii socjalistycznej.

Inni jeszcze, którym udało się uciec przed kostkami brukowymi i schować za murami instytucji naukowych, uratowali cenny mózg, który obecnie pozwala im podjąć dociekliwą, artystyczną analizę obrazu.

Kompozycja centralna, ledwie lekko zбочzona, opierająca się na zniekształconym wirtualnym trójkącie kąpiącym się w białym świetle, pochodzącym z dyskretnie sugerowanego okna bocznego, chromatycznie białosc centralna dominuje z udziałem punkowego powtarzalnika, co przebija/dziurawi trzecioplanowe tło. Intensywność białego prostokąta jest intencjonalnie obniżona przez obecność w jego ob-

*rzebie ciemnej postaci, a jego liniowy smukły refleks na podłodze przecina, rozdziela trójkąt centralny na dwie nierówne części, kompozycyjna osiowość infantki jest podważona aż do niezauważalności przez podwójnie degresywny dyspozytyw; pobliskie, chromatycznie zgodne druhnny i wylaniające się z tła homochromatyczne z nim figury, dominowane wysokościami przez malarza z jednej strony i częściowo białej zakonniccy, akcentującą figurę przylegającej *meniny*, z drugiej strony, jej figura się rozdwa na homochromatyczną z tłem figurę pionową, która tranzytuje poprzez rozrywkowe figury pałacowe, w kierunku bazy, przedłużając poziomo trójkąt centralny, dyspozycja co pozwala artyście „zahaczyć/zakotwiczyć” solidnie i harmonijnie całość na gruntowej podstawie. Kanony perspektywy są przestrzegane również przez umiejętne dozowanie intensywności degradacji światła i nieostentacyjnie rysowane linie. Pozioma baza trójkąta centralnego tworzy z pionową krawędzią odwrotu obrazu lekko otwarty kąt, otwierając miejsce na tło, stanowiąc powierzchniu 2/3 powierzchni dzieła, częściowo wypełnione, prawie na dotyk, skamieniałymi śladami obrazów, i z jednym lustrzanym odbłaskiem, umieszczonym w pobliżu i na wysokości promieniującego intensywnie czoła artysty.*

Z takim arsenałem, czerpiącym w głębokościach, sztukmistrz naukowy otwiera drzwi doktoratów, szczególnie *honoris causa* uniwersyteckich, co ilościowo przekroczy te otrzymane przez Judith Butler. Czytelnika, co – nie bez racji – uważa, że przesadzam, zapraszam do lektury książki *Modne bzdury* (A. Sokal, J. Bricmont).

Otumanienie stanowi jedną spośród innych cech ludzkich, które nie tylko jest przywilejem krytyków działalności artystycznej (trudno powiedzieć, czy przynajmniej jakaś jedna dziedzina przed tym się kompletnie obroniła), natomiast *otumanianie* jest rezultatem działalności, którą jako taką trzeba zwalczać, jak na przykład tę, którą przedsięwziął szacowny hiszpański profesor filozofii José María Juarranz de la Fuente, i która go doprowadziła, po 14 latach żmudnych poszukiwań, do wniosku naukowo stwierdzonego, że obraz *Guernica* przedstawia rozliczenie rachunków Picasso z jego liczną rodziną.



„Las Meninas” Velasqueza w czterech reinterpretacjach Piotra Sobotty (wyjaśnienie na następnej stronie – red.)

No ale profesor, jak profesor, bo profesorem by być, trzeba się zasłużyć jak ci, co z okopów celują na swój prestiż, *meniny* jedną za drugą, a kule świszczą obok celu, mimo że obraz ma 3.2m×2.8m, czyli 9.00m², słabe więc szanse, by osiągnęli 0.65m² moje – skromnego wojownika, walczącego na korzyść obrazu emocjonującego, nieracjonalnego i niepowtarzalnego, czyli *niezrozumiałego*, tego więc, który dzięki temu, przyczynia się do długowieczności malarstwa.

Otóż *Las Meninas* nie tylko emocję wywołują, ale autentyczną fascynację (jak i dzięki, być może, Bogu, wiele innych dzieł), która zachęcała licznych artystów, by próbować złamać enigmatyczność, ale nic nie działa, np. Picasso wziął się ponad 50 razy na swój sposób, ja zrobiłem 4 reinterpretacje, respektując skrupulatnie: proporcje, lokalizację, tony chromatyczne i równowagę jasne/ciemne, **wymieniając** natomiast wszystkie figury, które są obiektem podstawowym, szczególnie ikonograficznych, spekulacji krytyków – przez figury: 1) rzeźb Afrykańskich, 2) z obrazów Balthusa, 3) różnych malarzy różnych epok, 4) z kaplicy Sykstyńskiej.

Obraz działa tak samo, ta sama magia, funkcjonuje jak oryginał. **Nikt nie będzie nigdy wiedział dlaczego i jak**, to nie cud, to „obraz+”, no i – dzięki Bogu – widać, ostatnie często obok kościołów maszerowałem.

AD LIBITUM 2

• Kontemplacja obrazu (szczególnie „obraz+”) z odczuciem jego sedna nie ma nic wspólnego, jest czynnością przyrównaniową, podobnie jak wolne rozplwanie się czekolady w ustach. Posiadanie obrazów, z którymi ma się **relację**, uprzyjemnia życie. Mój codzienny rzut oka na reprodukcję 1/1 „Arnolfinich” pozwala mi spędzić dobry dzień.

• Francis Bacon, by nie sugerować oglądającemu jakichś interpretacji, większości swoich obrazów nie tytułował; robiła to galeria dla celów handlowych.

• Mark Rotkha oświadczał, że obraz, którego istota natychmiast jest postrzegana („obraz+”) unika tłumaczeń i **obrzydliwych interpretacji** (łatwo było mu powiedzieć – wiedząc, że jego obrazy o wielomilionowej wartości przedstawiają niezmiennie 3 lub 4 nałożone prostokątne warstwy glebowych kolorów).

• Namalowany ogórek w słoiku postawionym na koślawym krześle obok stołu jest tylko tym, co napisałem, nie ma co rozumować, czy to przedstawia przygotowanie posiłku proletariackiego ani dlaczego ogórek, a nie kalarepa, dlaczego słoik na krześle a nie na stole.

Giorgio Morandi, być może po to, by uniknąć tego typu interpretacji, malował całe życie słoiki nieprzezroczyste, postawione na płaszczyźnie.

Paul Cézanne malował wielokrotnie górę „Św. Zwycięstwa”, bo była obok. Gdyby mieszkał w Zakopanem, malowałby Kasprowy Wierch, a nie Kopiec Kościuszki, inicjatywę, z której by się nie wycofał Kazimierz Malewicz, pod warunkiem, że Kopiec będzie pod śniegiem na tle białego nieba.

• „Obrazy +” nie są **±plus** dla wszystkich. Szkoda, ale *it's live*. Istnieją także obrazy **0–zero**, obojętne wszystkim i obrazy **–minus**, bo istnieją... teściowe.

• Utożsamienie kultury z działalnością artystyczną (kultura=sztuka) wprowadza w błąd – rozpowszechniony – ponieważ kultura tworzy „całość” naszej działalności zarówno materialnej, jak i duchowej.

• Obecnego wywodu nie polecam osobom o następującym opisie: *przechodzień, co nosi wielokrotnie dziurawe spodnie w cholewkach butów bez sznurówek (wariantem butów do kostki są często sandały z surowego płótna przymocowanego do drewnianej podeszwy), ze swetrem przewiązanym na biodrach lub wiszącym nonszalancko na ramionach, bawełniana podkoszulka ciągle z portretem „Che”, pustym plecakiem na plecach, (lub na jednym ramieniu, jeżeli nie jest zajęte przez sweter) z brodą i wąsami przyciętymi według modelu taliba albo jaskiniowca, ze smartfonem przyciśniętym do ucha lub pod nosem, z okularami we włosach powyżej czoła (słoneczne zawsze w chmurny dzień) i włosami zebranymi w koński ogon z tyłu głowy. Zatrzymuje się co 30 metrów, by się zapoznać, na smartfonie, z przeznaczonymi mu obelgami, lub wystać salwę swoich. Kobiety jest możliwe rozpoznąć; **na razie bez brody ni wąsów, włosy związane w formie chodnikowej kupy psa na szczycie głowy (wariant: szeroko rozwiane nundle z wstążkami, lub kapuśniak) prawie zawsze z dwoma eleganckimi 12-centymetrowymi pieskami na końcu wielometrowej smyczy i – co mówi kuku na powitanie – dotyczy także przebrane za Calamity Jane lub Pinę Bausch, czyli osobom w sumie mocno sympatycznym, w totalnej symbiozie z konceptem twórców sztuki konceptualnej, odwiedzającym regularnie ich wystawy, jak ja, ale od potrzeby, konferencje międzynarodowe o płodności papug kakadu.***

Polecam (z powściągliwością) osobom, które uważają, że podrywanie Marylin Monroe, Raquel Welch, Marlona Brando jest **normalne**, mają okulary na nosie, noszą krochmaloną koszulę, wyprasowane spodnie i słuchają Bacha (nigdy Mahlera).

ALLEGRO

• W odniesieniu do naszych rozważań możemy wnioskować, że odpowiednim, adekwatnym stosunkiem do obrazu, pomimo jego dominującej roli w kulturze, jest mieć z nim relację jak ze **zwykłą** rzeczą, że właśnie **tylko taka** jest ważna

do **uznania** obrazu, co nie wymaga **żadnej** wiedzy, wręcz przeciwnie. Odczucie emocji jest nośnikiem tego stosunku, czyli najlepiej mówić o nim tak jak o kimś, kogo się lubi, kocha **nie wiadomo dlaczego**.

• Opracowując paragraf **Cantabile** przypominałem sobie że redaktor Andrzej Jarczewski na łamach ŚLĄSKA nr 5/2019 poświęcił moim obrazom artykuł, który doskonale ilustruje istnienie, autentyczność i rolę **relacji – spięcia** między malarzem i widzem. Można ją przedstawić następująco: w obrazie, który przedstawia mnie, wykonującego **udany** skok wzwyż (studium na podstawie fotografii), z powodów kompozycyjnych, enigmatycznych wyeliminowałem drugi stojak podtrzymujący poprzeczkę. Jarczewski **odebrał** ten obraz jako „strąconą poprzeczkę”, która **jako taka** wywarła na nim silne wrażenie. Poniżej zdjęcie obrazu i fragment tekstu Jarczewskiego. Myślę, że celnie potwierdza trafność mojego wywodu.



(...) Po drodze, w jakimś słabo oświetlonym korytarzyku zauważyłem nagle dzieło, które przykuło moją uwagę. „Strącona poprzeczka” – pomyślałem, bo niezatytułowany obraz przedstawiał nieudaną próbę skoczka wzwyż. I w tym momencie doznałem olśnienia. Jak się później okazało – całkowicie sprzeczne z intencjami twórcy, który nie chce być „malarzem tematycznym”. Opiszę więc to olśnienie, a nie intencje, bo przecież w sztuce, w każdej sztuce mało ważne jest to, co autor chciał powiedzieć, i nawet nie za bardzo ważne jest to, co powiedział. Ważne jest to, co odbiorca usłyszał, zobaczył, przeżył i (prawie) zrozumiał! (...)

Fascynuje mnie ta „Strącona poprzeczka”. Tam nie ma mowy o przypadkowym dotknięciu. To błąd, popełniony „całym ciałem”, pokazany przez człowieka, który takie rzeczy widział i analizował tysiące razy. Zero widzowi, usunięte wszystkie elementy, mogące rozproszyć uwagę. Nie wiem, co twórca chciał przez to powiedzieć, ale wiem, jaką inspirację dla mnie – szeregowego odbiorcy sztuki – ten obraz stanowi. Wiem, co się stanie za chwilę: podniosą poprzeczkę i ktoś ją w końcu... przeskoczy!

Esej Ślązaka o języku

JANUSZ PLEWNIAK

Legendą rodzinną obrośło pewne zdarzenie w chacie góralskiej na bazie grotołazów w Tatrach, gdzieś w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Gosia – późniejsza żona przyjaciela – bez przerwy śląaczyła. Właśnie tak. Nie, żeby mówiła gwarą, lecz wtrącała śląskie słowa i to w takiej ilości, że nieobeznani z gwarą mogli mieć kłopoty ze zrozumieniem. Jednocześnie było wiadome, że ukończyła studium nauczycielskie i podjęła pracę nauczycielki. Gdy zaskoczeni tym grotołazi, ciekawi czegoż to może uczyć w szkole młoda osóбка, której obce wydają się zawilości polskiego języka literackiego, wreszcie zapytali...

Przyjaciel odpowiedział lapidarnie uczy gwary śląskiej. Prestiż dziewczyny podniósł się natychmiast. Faktycznie zaś była nauczycielką... ach, to w tym miejscu nie jest wcale ważne.

Język jest kluczową pozycją dziedzictwa, któremu na imię Kultura. Mieści się w nim nie tylko dorobek literatury, lecz także znajomość pięt języka: wzniosły, ceremonialny, kościelny, oficjalny, szkolny, familiarny, potoczny itd, a także wyuczucie językowe, smak językowy.

Tych, którzy nie przyjęli takiego dziedzictwa, podzielił na dwie grupy – jednym nie było ono dane – przez biedę, patologie rodzin, złe szkoły, wrodzone ograniczenia psychiczne. Inni z rozmaitych przyczyn – lenistwo, tchórzostwo, tumiwizm – odrzucili skarb języka.

Skąd się bierze język w człowieku? Ze słyszenia. A następnie z czytania. A gdy nie ma czytania? Hm, to już tylko ze słyszenia. Jaki usłyszysz, takiego użyjesz.

Pewni moi znajomi, polscy bibliofile hobbyści, zmuszeniem losu postanowili sprzedać dom. Problemem było, co zrobić z księgozbiorem? Zaledwie nikła część z trudem mogłaby znaleźć miejsce w nowym mieszkaniu. A pozostałe tysiące zapisane drukiem papieru? Kilka tygodni przebierali, szperali, odkładali na stosy, znów przekładali... Wyszło na to, że trzeba by zamówić ciężarówkę na książki, z którymi nie mogą się emocjonalnie rozstać. Pozostałe postanowili

podarować. Pobliska biblioteka nie zgodziła się przyjąć, bo mają plan wypożyczeń tytułów i plan skreśleń na makulaturę. Antykwariusz nie, bo kto mu to kupi? Sąsiedzi? Kto by tam takie grube czytał, kiedy wszystko w telewizji można z obrazkami zobaczyć. Znaleźli wreszcie kompromis; spośród starających się o kupno domu, wybrali rodzinę z trójką dzieci. Ludzi, którzy wprawdzie oferowali mniejszą kwotę za dom aniżeli inni kontrahenci, natomiast zgodzili się kupić dom razem z książkami.

W niektórych domach od wstania rannego do zaśnięcia ostatniego domownika leci ciurkiem telewizor. Miga i gada. Ktoś ogląda? Ktoś słucha? Chyba że podświadomie. Wtedy jakieś pojedyncze słowa, zwroty mózg wychwyci. Bo treści żadnych. Na to trzeba skupienia. Jeszcze więcej, bo zwielokrotnionego skupienia trzeba, by jedną kartkę książki, czy chociażby cały artykuł w czasopiśmie przeczytać ze zrozumieniem. W takim domu, gdzie ciurkiem warczy telewizyjne pudło, nie czyta się. Jak ma się wzbogacać zasób słów? Skąd się ma poszerzać słownictwo? Pozostaje język codziennie słyszany na podwórku, wśród kumpli w pracy... taki często prosty, iż prostacki, nierzadko wulgarny. Przed nieodległym czasem, jeszcze przed śpieszną globalizacją, słychać było często język gwarowy, nostalgicznie powiem, piękny i w słowa bogaty.

Za słusznymi minionych czasów nie było możliwym podkreślanie odrębności lokalnych, także językowych. Najpierw gwara, a potem może sejm śląski?! Nie do pomyślenia. Dopiero od niedawna zdarza się przyzwolenie, a dzięki unijnym funduszom przeobraża w działanie, podtrzymywanie gwar i lokalnych dialektów także poprzez lekcje w szkole. Wydano już w Polsce nawet elementarze po kaszubsku i po śląsku. Tu Polska nie jest odstępstwem od europejskich reguł. Także w Niemczech, gdzie mieszkam, dopiero od niedawna zaczyna się dbać o lokalne dialekty; poza Bawarią, gdzie tradycję pielęgnowano od

zawsze. Ten land był od początku specjalny. Wiadomo – hardzi górale. Wjeżdżając do Bawarii z zagranicy, np. z Austrii albo Czech, najpierw pojawiają się z boku drogi tablice z napisem Wolne Państwo Bawaria, a dopiero parędziesiąt metrów dalej Republika Federalna Niemiec.

Podobnie z językiem jest we Francji... Czy wiecie, że jeszcze w połowie XIX wieku połowa Francuzów nie mówiła po francusku? Kardynał Richelieu w XVII wieku powołał Akademię Francuską, by nadać jeden język krajowi rozczłonkowanemu nie tylko przez różne języki, ale i przez różne rodziny językowe; bretoński, flamandzki i gaskoński nie są nawet romańskie. Przed pierwszą wojną światową połowa francuskich żołnierzy nie rozumiała rozkazów po francusku. Wojna była największą i najskuteczniejszą szkołą francuskiego. I to szkołą wyłącznie męską.

Zatem wracam do myśli... tak czy siak; gwary zanikają na rzecz języków ogólnonarodowych, wspólnych na całym terytorium państwa. Dopiero gdy społeczności, prościej, ludzie sami z siebie zaczęli dbać o poprawność języka tak zwanego literackiego, rządy państw przyzwalają na hołubienie reliktyw gwarowych. Tymczasem, jak mi się zdaje, ten sam proces następuje globalnie, acz piętro wyżej. W naszym obszarze kulturowym, w szeroko leksykalnie pojętej Europie, czyli też w krajach o europejskiej tradycji (cała Ameryka północna, a także Australia z przyległościami) w kręgach powyżej pospółstwa było przyjęte znać co najmniej dwa języki. Swoją lokalną, niejako naturalnie i oczywiście ogólnie terytorialną. Najpierw była to greka, potem łacina, francuski i za naszego życia wszedł angielski, a właściwie amerykański. Zauważcie, że te zmiany następowały płynnie, znajomość języków nachodziła na siebie i obszarowo, i czasowo. Nie było nic w tym dziwnego, że ktoś znał i łacinę i francuski, a trochę coś tam pamiętał z greki. I te właśnie języki przyjęte na olbrzymich połaciach, można po-

wiedzieć na obszarach wówczas liczącego się świata, były przez ludzi przyjmowane samoistnie, pomijam szkolną różgę, bez przymusu. Raczej pewne klasy społeczne pretendowały do tego, by w swej wyróżniającej się grupie być po prostu wykształconym. Próby wprowadzenia siłą scalającego państwo języka, czy to niemieckiego przez Bismarcka, czy to rosyjskiego za Stalina i potem, dawały mizerne wyniki.

Grupy społeczne same z siebie dostały do porozumiewania się wspólnym, niejako z marszu życia wybranym językiem. Obecnie też tak jest. Wprawdzie rozwój cywilizacyjny, technika, technologie, a zwłaszcza internet, poprzez swe amerykańskie pochodzenie w pewnym sensie wymuszają taki bieg dziejów, ale... Czy ktoś jeszcze uczy się angielskiego z przymusu, czy raczej z własnej, nieprzymuszonej woli? Widzi mi się, iż podobnie jak to było z gwarami, narzeczami itp. itd. będzie w bliskiej przyszłości, dziś już się staje, z językami narodowymi. One będą nadal językiem społecznego, zawężającego się kręgu ojcowizny, natomiast globalnie ludzkość, także w Chinach, Indiach czy Rosji sama z siebie „zmusi się” do posługiwania się amerykańskim.

Część mojego pokolenia przegapiła ten moment. Trochę z przyczyn historycznych – po co komu w komunie języki, gdy nie było prawie możliwości komunikacji? W zastępstwie proponowano nam esperanto – język kółek zainteresowań.

English? Most people know that. Nadszedł czas nowej światowej komunikacji językowej. Język angielski szybko zdobył pozycję lingua franca świata biznesu, kultury i polityki. W naszych słownikach pojawiły się słowa businessmen, jeansy, disco, hit, serial i wiele innych.

W hotelach, w ankietach na przejściach granicznych, bo poza Europą jeszcze są dość liczne granice, a oczywiście przede wszystkim w internecie panuje – bo nie chcę powiedzieć panoszy się – *English*. I w życiu codziennym też. Ileż zapożyczeń, zaśmieceń angielskim w codziennym języku, w reklamach, nazwach towarów, usług, w ogłoszeniach, nawet w relacjach medialnych i mowach polityków.

Czy to jest źle, czy dobrze? Coś tam dzięki temu automatycznie dociera. Z najnowszych lock-down, hotspot, home office. A też dość świeże przecieź aerobik, aut, bekhend, bungee, derby, doping, dżokej, forhend, futbol, golf, hokej, net, ring, rugby, team, tenis, walkower, windsurfing, budżet, celebryta, establishment, hobby, lider, lobby, marker, mobbing, rating, snack-bar, teflon, weekend...

Chyba nawet nikomu nie przychodzi do głowy, aby szukać lub tworzyć polskie odpowiedniki słów laptop, link, smartwatch czy skaner. W szybko zmieniającym się świecie angielskie/ amerykańskie terminy często przyjmowane są do innych języków, także do polskiego, bez żadnych prób tworzenia rodzimych odpowiedników. Spory wpływ ma na to fakt, że młodzi Polacy coraz lepiej władają mową Brytyjczyków i Amerykanów.

Czytając gazety, spostrzegam mnóstwo, jeżeli już nie wyrazów, zapożyczeń, to anglicyzmów. W reklamie zwłaszcza.

Jak dalece szybko język ewoluuje, doświadczyłem, czytając po latach ponownie jedną z pierwszych książek Ryszarda Kapuścińskiego „Busz po polsku”. Są tam określenia, które współczesnej młodzieży nic nie mówią. Cytuję z pamięci; np. farmery (spodnie), trampki (obuwie sportowe), wyprzedzenie (chodzi o biust), „zapala radio” (w sensie włą-

cza radio), gapa, „tato z mamą” (chodzi o trunek). Przypuszczam, że wśród współczesnej młodzieży chyba tylko studenci polonistyki być może wiedzieliby, o co chodzi. Kiedy to pisał? Przed czterdziestu paru laty?

Najczęściej w okresie świąt syn Łukasz bywa kilka dni razem z nami w domu. Ostatnio opowiadał o spotkaniach z Polakami studiującymi w Stuttgarcie. Bywał z nimi parę razy na disco czy innych party. (Jeszcze przed kilkunastu laty napisałbym, dyskoteka, prywatce). Zwrócili mu uwagę, że on po polsku mówi inaczej niż oni, raczej tak, jak ich rodzice w kraju. Szybko zapożyczył od nich słowa współczesnego slangu młodzieżowego. Czy ja wiem? Może nie tylko młodzieżowego, może już nie slangu?

Dzięki doskonałym polonistkom w szkołach, do których uczęszczałem, staram się dbać o poprawność językową. W każdym języku. Straszna jest ta „trzecia mowa”. Gdybyście posłuchali przybyszy... Zapomnieli westchnienia Juliusza Słowackiego „Chodzi mi o to, aby język giętki, powiedział wszystko, co pomyśli głowa...”

Im krócej tu są, im mniej znają język, tym więcej obcych słów wrzucają do wypowiedzi. Dla słuchacza z zewnątrz jest to i śmieszne, i żałosne. Inna sprawa, że z latami, wskutek zmian języka, a czasem z pośpiechu, zdarzy się posłużyć obcym zwrotem, zwłaszcza gdy się wie, że zostanie zrozumiały. W chwili zadumy nad językiem zdarzyło mi się zastanowić, czy ja aby na pewno mówię współczesną polszczyzną? Przeglądając nowe wydanie słownika języka polskiego... drobne wątpliwości pozostają. Natomiast wracając do amerykanizacji w *Community*? *You will see that I'm right. Many people already know this.* ■

Śląsk u Dołęgi-Mostowicza

MARIAN SWORZEŃ

Na początku roku zastanawiałem się, którą książkę przedstawić w moim cyklu. Mam ich długi spis, ale wybór nie przychodzi mi nigdy łatwo. Czym innym jest bowiem sama decyzja, a czym innym – napisanie tekstu, z czym nieraz się wiąże czytanie książki na nowo. Tym razem przyszła mi z pomocą osoba niezwykłe życzliwa wobec mojego poszukiwania śląskich wątków tam, gdzie stanowią one zaskoczenie. Kto mi dopomógł? I w jaki sposób? Ano otrzymałem nie spodziewanie maila od katowickiej poetki Katarzyny Młynarczyk ze wskazaniem na „śląską zawartość” w powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza zatytułowanej „Ostatnia brygada”. Wtedy uznałem, że swoją rolę ograniczę do rozmowy z nią o tej właśnie książce.

Marian Sworzeń: Katarzyno, czy jesteś tak pilną czytelniczką Dołęgi-Mostowicza, że znasz go na pamięć?

Katarzyna Młynarczyk: Najwłaściwsza byłaby odpowiedź, że nie znam go wcale. Otóż, nigdy nie spodziewałam się, że będę miała okazję rozmawiać z Tobą o tym fabrykancie powieści. Przepraszam: chciałam powiedzieć „o tym płodnym, pracowitym i popularnym w różnych sferach czytelnicznych pisarzu”, który wszakże nigdy nie był moim ulubionym autorem. Ale zaczynamy od początku. Kiedyś, naprawdę bardzo dawno temu, obejrzałam w myślowym, nieistniejącym już, kinie „Piast” film w reżyserii Stanisława Lenartowicza pt. „Pamiętnik pani Hanki”. Jak się zapewne domyślasz, była to adaptacja jednego z utworów Dołęgi-Mostowicza. Panią Hanką była zjawiskowo piękna Lucyna Winnicka, jej mężem, ministerialnym radcą – niebywale wytwornym Andrzej Łapicki, a kochankiem, i notabene niebezpiecznym szpiegiem – Tadeusz Pluciński. Była jeszcze nieja-



ka miss Betsy Norman, czyli posągowa Alicja Bobrowska. Jeśli ktoś pamięta te nazwiska, to znaczy, że w dobrych latach sześćdziesiątych pilnie uczęszczał do kina lub studiował tygodnik „Film”. Ja uprawiałam oba te rodzaje aktywności – mimo dość młodego wieku (byłam zaledwie uczennicą podstawówki). Zatem moje pierwsze spotkanie z Dołęgą-Mostowiczem dokonało się za pośrednictwem srebrnego ekranu. W kilka lat później – już w klasie maturalnej – zrobiłam sobie prezent, kupując książkowe wydanie owego „Pamiętnika...” Powód? Łatwo się domyślić – powieść była ilustrowana fotosami z filmu. Po dokładnej lekturze uznałam, że film był jednak lepszy. Otóż realizatorzy zastosowali dość prosty, ale skuteczny zabieg: cała niewyszukana przecież historyjka erotyczno-szpiegowska ze sfer arystokratyczno-dyplomatycznych przedstawiona została w formie wspomnień bied-

nej pani Hanki, wędrującej z tłumem uciekinierów z Warszawy pustymi szosami i w szczerym polu. I na tym wyczerpują się moje ówczesne doświadczenia związane z tym pisarzem. Bo dodać wypada, że nawet „Kariery Nikodema Dyzmy” zaledwie przejrzałam. Muszę w tym miejscu jednak wtrącić, że jako niegdysiejsza studentka znakomitego Karola Estreichera wiem i pamiętam, że książki przegląda się albo studiuje. Czytanie jest niższym stopniem wtajemniczenia i nie zawsze odpowiednim.

Niezwykłe są te słowa profesora Estreichera, skłaniające do krytycznej refleksji i czytelniczej pokory... Jak więc trafiłaś na „Ostatnią brygadę”? Czyżby intuicja?

Otóż wcale nie wierzę w intuicję, nawet nie lubię samej nazwy, ale przypuszczam, że istnieje jedna dziedzina życia, w której ona rzeczywiście pomaga.

Odetchnąłem! A więc jednak...

Tak, jest nią wybór książek i filmów. I tak to dzięki nieodgadnionej, nieprzezniknionej i nieprzewidywalnej intuicji pewnego styczniowego popołudnia roku bieżącego w jednej z katowickich bibliotek trafiłam na powieść Mostowicza, której nie znałam nawet ze słyszenia. Potem usiadłam – i przeczytałam tych bez mała trzysta osiemdziesiąt stron.

Wyjaśnij, proszę, skąd jej tytuł, bo przecież autor był za młody na udział w legionowych bojach.

Faktycznie, w Pierwszej Brygadzie nie mógł być... Tytuł zostaje nam podany ustami głównego bohatera: „Całe nasze pokolenie jest ostatnią brygadą niewoli, ostatnią brygadą wielkiej wojny... I póki nie wymrze to pokolenie, póki nie przyjdzie pomór na ostatnią brygadę, póty nie zacznie się nowe życie”.

Kolejne zaskakujące słowa... W środku rządów sanacji nowe życie zostało

uzależnione od generacyjnego pomoru.

Te słowa – zgoda, wcale niewesołe – należałoby jednak interpretować inaczej. Tu nie chodzi o „generacyjny pomór”. Tu chodzi o to, że NIGDY NIC nie ulegnie zmianie – zapisz to, proszę, dużymi literami, bo używam ich z premedytacją. Kolejne „brygady” będą następować po sobie, każda generacja, każde pokolenie będzie takie samo. I to boli bohatera powieści. Zachowując wszelkie proporcje, byłabym skłonna umieścić zacytowane słowa Andrzeja Dowmunta w kontekście znanej wszystkim tajemnicy, że Tadeusz Dołęga-Mostowicz sanacji nie lubił. W końcu nie bez przyczyny piśsudzczyzy urządzili biednemu Tadziovi „kocówę”.

O tym nie wiedziałem. Co się stało?

Naraził się rządzącym swymi ciętymi i ironicznymi felietonami drukowanymi regularnie w czasopiśmie „Rzeczpospolita”. A czasy były ciekawe, działa się dużo i nie zawsze dobrze. Skądinąd wiadomo, że władza – zwłaszcza umundurowana – żartów nie lubi, a ciętych aluzji w ogóle nie znosi. Pewnego wieczoru, dobrze po godzinie dwudziestej trzeciej, nieborak został wywieziony z centrum stolicy do odległego Sękocina. Nie chodziło oczywiście o przejażdżkę, ale o nauczenie bezczelnego pismaka rozumu. Obok bicia pałkami zastosowano także perswazję słowną wyrażającą się okrzykami: „Nie będziesz tak pisał o Marszałku!”.

Mówisz o tej sprawie sprzed prawie wieku z wielkim przejęciem...

Dziennikarstwo jest trudnym i niebezpiecznym zajęciem, wiem coś o tym... Do auta nigdy mnie nie pakowano, ale, owsem, grożono mi pobiciem. A chodziło – zaledwie – o recenzje z kilku wystaw. Lata już minęły (było to w latach 80.) – a ja o tym nie zapomniałam. Widocznie zmieniają się czasy, ale metody nie zawsze i nie koniecznie. Ale wracajmy do naszych jagniątek – czyli do „Ostatniej brygady”.

Czekam na to z niecierpliwością. Czy mógłbym poprosić Cię o przedstawienie najważniejszych postaci, a także zasadniczych wątków fabuły?

Głównego bohatera, Andrzeja Dowmunta – jako postać literacką – należy umieścić gdzieś w pobliżu Marka Świdry z powieści Struga, Andrzeja Laterny z „Romansu Teresy Hennert” Nałkowskiej, Andrzeja Gołębka ze „Sławy i chwały” Iwaszkiewicza i wreszcie bohatera „Przedwiośnia” Żeromskiego – Cezarego Baryki. Wszyscy oni, co do jednego, mają doświadczenia wojenne, wszyscy czekali na jutrzeńkę swobody, marzyli o szklanych domach, i – mimo najlepszych chęci – wszyscy przeżyli gorzkie rozczarowanie. I ważna rzecz: niemal wszyscy przeżywali niesamowite romanse, erotyczne przygody i perypetie sercowe. Do tego stopnia, że powieść Struga pewien krytyk nazwał na-

wet „przygodami erotomana”. Cóż, kiedy naszą „Ostatnią brygadę” nazwałabym tak samo! A w każdym razie bardzo podobnie, gdyż w Dowmuncie zakochane są cztery kobiety – w tym dwie z nich z wzajemnością. Poza tym wydaje mi się, że jego postaci nie należy traktować nazbyt serio. Bo to chyba przecież mało prawdopodobne, aby dwudziestoletni ufan, ciężko ranny w wojnie 1920 roku, niemal sparaliżowany, wywieziony na leczenie do Afryki, zrobił tam taką furorę, karierę i wielkie pieniądze... Najpewniej Dołędze chodziło o wykreowanie bohatera, który zobaczył na własne oczy euforię listopada 1918 roku, a potem, po długiej nieobecności, wrócił do kraju, którego już nie zna, a raczej takiego – którego nie mógł poznać i zrozumieć.

Jak więc wyglądały pierwsze kroki pana Dowmunta na ojczystym gruncie?

Po dekadzie na Czarnym Łądzie, przybył do Polski z grubym portfelem i pełnym kontem. Zaczął od stworzenia firmy „Adrol” handlującej zbożem i zajmującej się mechanizacją rolnictwa. Zaraz potem przystąpił do zabiegów o dostawy stali i żelaza dla fabryki traktorów i motorów Diesla w Częstochowie, jak również energicznie dążył do zwiększenia konsumpcji węgla w kraju.

Konsumpcji węgla? Toż to język wzięty z rozprawy ekonomicznej!

To określenie autora – nie moje, broń Boże! Z tym się wiązały rozliczne pertraktacje w Katowicach...

Czegóż dotyczące?

Ano powstania organizacji przemysłowców węglowych i ukonstytuowania Związku Kopalni. Przy tworzeniu „Adrolu” bruzdili niemieccy udziałowcy dużych śląskich przedsiębiorstw. W tle całej sprawy mamy – pozwól, że zacytuję – „zbyt wiele niedymiących kominów” i do tego podupadający Bielsk, czyli najpewniej Bielsko.

To jest dość powszechny obraz lat trzydziestych i środka kryzysu gospodarczego. Konrad Wrzos w swoim reportażu o Śląsku z tego okresu też pisze o nieczynnych kominach...

W naszej powieści dochodzi jeszcze trudność w postaci braku zgody rządu na to przedsięwzięcie. Dołęga nie podaje powodu tego stanowiska, jest enigmatyczny.

Przyczyn szukałbym w ograniczeniach wynikających z konwencji genewskiej dotyczącej Górnego Śląska...

Zgoda, to ty jesteś prawnikiem, ale wracajmy do sprawy. Okazało się, że główny partner Dowmunta, dyrektor Walas miał też mocno powiązane ręce, i to by wskazywało na trafność Twoich przypuszczeń. Wniosek więc taki, że przedwojenni biznesmeni nie mogli wszystkiego. Ale przynajmniej mogli się spotykać, gdzie chcieli. Proszę, kolejny cytat: „Wieczorami jedli razem kolację

w Savoyu i rozmawiali o ogólniejszych sprawach”. Gdzie ten Savoy – ze skruchołą wyznają, że nie wiem.

Służę adresem – to, wówczas i dzisiaj, hotel na samym początku ulicy Mariackiej w Katowicach. A skoro już jesteśmy w domu, jak tam zostało przedstawione nasze miasto?

Katowice, choć pojawiają się tylko na kilku stronach, są swego rodzaju połączeniem Ziemi Kanaan, Zagłębia Ruhry i Dzikiego Zachodu.

Niezwykle zestawienie tak różnych miejsc i epok! Ale czy to jedyne śląskie przebliski?

W żadnym wypadku! Sensację zostawiam na koniec. Otóż Andrzej spotyka w Krakowie przyjaciela z dawnych czasów, gdy studiowali w Dorpacie, Michała Żegotę, obecnie ustosunkowanego, bezwzględnego i obrotnego polityka. Po obfitej kolacji i szczerzej rozmowie poseł Żegota oznajmiał: „No, na mnie czas. Pociąg do Katowic odchodzi za pół godziny. Powiadom ci, Jędrzek, pyszną mam tam robotę. Uważasz, moja partia, ta dawniejsza, robi tam wiec. Dam im bobu. Piętnastu chłopa z tęgimi łagami chyba wystarczy. A, uważasz, jak tylko jest awantura, to policja ma pełne prawo wiec rozpętać?”. Odebrałam to z niejaką zgrozą...

O ile mi wiadomo, demonstracje w przedwojennych Katowicach nie były rzadkością.

Ale żeby u nas rozpętać wiec! – to przecież straszne. Dlaczego nie w Poznaniu, w Wilnie albo w Łodzi? W każdym razie już potem poseł Michał, szczęśliwie, okazał się człowiekiem całkiem poczciwym, choć nieco zagubionym.

Czy to już koniec Twojego spotkania z Dołęgą-Mostowiczem?

Moja (nie)zawodna intuicja podpowiada mi, że nie. Myślę teraz o jego powieści „Bracia Dalcz i S-ka”. A nuż tam jest jakiś wątek katowicko-śląski?

Bardzo serdecznie dziękuję za tak obszerną wypowiedź. Czy na zakończenie naszego spotkania mógłbym poprosić o Twoją krótką autoprezentację?

Proszę, oto ona... Katarzyna Młynarczyk: studiuje, przegląda, a nawet czyta każdy, dosłownie każdy kawałek zadrukowanego papieru. W chwilach wolnych od lektur organizuje konkursy poetyckie – imienia Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej w Szopienicach i Zygmunta hr. Krasińskiego w Myszkowie, także konkurs „W Trójkacie Trzech Cesarzy” w Mysłowicach. Bywa też, że coś napisze – jeśli akurat odczuje taką potrzebę. ■

**Tadeusz Dołęga-Mostowicz, „Ostatnia brygada”, Wydawnictwo Pi, Warszawa 2014, str. 377
O Śląsku: 146, 185-6, 202-4**

O Ulissesach Sienkiewicza i Joyce'a

Jak literatura generuje i weneruje literaturę?

JERZY PASZEK

Będę pisał o *Ogniem i mieczem* Henryka Sienkiewicza (1884) oraz *Ulissesie* Jamesa Joyce'a (1922), znanym w Polsce z tłumaczeń Macieja Słowczyńskiego (1969) i Macieja Świerkockiego (2021). Jak wiadomo, głównym bohaterem pierwszej części Trylogii jest Jeremi Michał Korybut Wiśniowiecki (1612-1651), ale to nie on bywa tu porównywany do homeryckiego Odyseusza (po łacinie zwanego Ulissesem), lecz Chmielnicki: Zaćwilichowski w rozmowie ze Skrzetuskim mówi oń: „To człek chytry jak Ulisses” (I, 18). W pierwszym tomie *Ogniem i mieczem* sam Onufry Zagłoba zestawia się z tym herosem w rozmowie z Heleną Kurcewiczówną, przebraną za pachołka: „A co? Ma Zagłoba głowę na karku? Chytrym jak Ulisses i to muszę wacpannie powiedzieć, iż gdyby nie ta chytryść, dawno by mnie krucy zdziobali” (I, 247). Ba, sam groźny Jarema wynosi naszego Falstaffa na najwyższe podium w panteonie antycznych (literackich!) atletów i szczywnych lisów: „Widzę tedy, żeś nie tylko Ulisses, lecz i Achilles” (I, 384). Onufry umie znaleźć się w tej retorycznej sytuacji, przenosząc porównania w sferę postaci historycznych: „Prosty ja żołnierz, jeno pod Aleksandrem Macedońskim służę” (ib.; nb. także Wołodyjowski mówi o Zagłobie jako Ulissesie, II, 208).

Do tych czterech nawiązań do Odysa należy jeszcze dodać zdanie Bogusława Maszkiewicza, żołnierza i historyka wypraw Jaremy na porohy i „straszego Nienasytca, który rokrocznie jak ongi Scylla i Charybda po kilkadziesiąt lu-

dzi pożerał” (I, 69): „Myślałem – mówił uczony pan Maszkiewicz – że nam w końcu na wzór Ulissesa i do Hadu [Hadesu] zstąpić przyjdzie” (I, 70). Ten „odysowy” kwintet nie wyczerpuje wszystkich homeryckich aluzji w *Ogniem i mieczem*, boć wszak i Podbipięta bywa Herkulesem (II, 107, 303; też dla Wierszuła, którego wyzwolił z rąk olbrzymiego Pułjana; I, 375 i 390), a również i Jarema jest nazywany „Herkulesem słowieńskim” (I, 403) przez swoich żołnierzy. A trzeba jeszcze pamiętać o figurze retorycznej, zwanej porównaniem homeryckim: „I szczerpili się [Longin z Pułjanem] tak, jako dwa niedźwiedzie, gdy o samicę w czasie rui walczą; owinęli się koło siebie jak dwie sosny, które z jednego pnia wyrósłszy, wzajemnie się okręca i prawie jedno drzewo utworzą” (I, 376).

Nie najmniejszą aluzją Sienkiewicza do Homera jest nazwanie kniaziówny Kurcewiczówny imieniem Heleny Trojańskiej! Słynna jest przemowa Odysa do Nauzykai: „Błagam cię, czyś jest bóstwem, czy panną śmiertelną! / Jeśliś jedną z tych bogiń w niebieszech udzielną, / Tedy zdasz mi się córą wielkiego Kronosa, / Z Artemidy kibicią i wzrostem jak ona. / A jeśliś jest śmiertelną mieszkanką padołu, / Błogosławiony ojciec z twą matką pospołu, / Błogosławieni bracia! Jakżeż im gdzieś rośnie / Serce przy tobie, jak się rozplywa radośnie, / Gdy w skocznym korowodzie ujrzą twoją postać!” (tak przełożył fragment pieśni VI: „Przybycie Odysejsa do Fekaków” Lucjan Siemieński; tłumaczenie to woził ze sobą Sienkiewicz po kurortach, w których pisał Trylogię). Wiemy

z lektur szkolnych, że i w *Panu Tadeuszu* (księga III: „Umizgi”) znajduje się w perorze Hrabiego do Zosi naśladowanie tego antycznego poematu: „O ty! – rzekł – jakimkolwiek uczczę cię imieniem, / Bóstwem jesteś czy nimfą, duchem czy widzeniem! / Mów! Własna-li więzi ciebie na padole władza?” (edycja BN, 1967, 153-154). Stąd nie dziwi zachwyt Skrzetuskiego, zawarty w zapytaniu: „Czy Juno we własnej osobie, czy inne jakoweś bóstwo?” (I, 40). Zdanie, nawiązujące wprost do Homera i Mickiewicza, zostaje przerwane przez przyjazd posła Rozwana Ursu, sokołnika i pana Longinusa: „Jeśliś jest śmiertelną istotą, a nie bóstwem...” (ib.). Całą fabułę *Ogniem i mieczem* można sprowadzić do walki o Helenę, jaką tu toczą Parys (Bohun) z Menelaosem (Skrzetuskim) nie bez pomocy Odyseusza (Zagłoby), bo reszta wypadków historycznych, związanych z buntem Chmielnickiego, obrazuje bardzo szerokie i jakże krwawe tło (nie bez akcentów epatowania sadyzmem w opisach mordowania, m.in. przez nabijanie ofiar na pal).

Heleną homerycką w *Ulissesie* Joyce'a okazuje się Penelopa, czyli w zgrzebnej rzeczywistości Dublinia A.D. 1904 jest to Marion Bloom, żona Leopolda, wybranego przez autora do roli Odysa. W epizodzie VII, tytułowanym jeszcze w czasopiśmiennym pierwodruku jako „Aeolus” („Eol”), a rozgrywającym się w redakcji gazet dublińskich, zauważamy jako śródtytuły frazy, mające stanowić pastisz i parodię ówczesnych nagłówek, wymyślanych przez dziurnistów. Jest tu i aluzja do żony Blooma w skrócie imienia Penelopa: „Ithacans

Vow Pen Is Champ” (JJ, 149). Słomczyński oddał to w następujący sposób: „Itakowie Ręczą, Ze Peńcia Jest Super” (MS, 160). W najnowszym przekładzie czytamy zaś: „Mieszkańcy Itaki Zarzekają Się, Ze Pióro i Lopcia To Ich Najlepsza Broń” (MS, 156). Widoczne jest, że Świerkocki za wszelką cenę chce uświadomić czytelnika, iż słowo oryginalne („Pen”) oznacza i Penelopę, i pióro. Ale pomija przy tym kalambur „Pen Is”! Idąc drogą tego łódzkiego tłumacza, trzeba by chyba wykreować coś w rodzaju: „Z Itaki Głos: Penisia Piórem Jest NieopisyWALNA!”. A może nawet, nawiązując do frazy Juliana Tuwima „Odyszeusz: król Itaki i owaki”, spieraćować następujące zgrupowanie gier słówek: „Z Itaki Głos i Taki: Penisia Dla Piór Jest Nie Do O(d)tworzenia!”. Jak widać, homeryckie aluzje Irlandczyka nie zawsze bywają hołdownicze, a często li tylko przesmiewcze lub jowialne, by nie rzec: rubaszne.

Adam Ważyk (nb. poeta przełożył trafnie swoje pierwotne nazwisko: Wagnan!) zawiera w eseju *Odyszeusz, bohater stulecia* celne spostrzeżenie na temat aluzji homeryckich w odysei Blooma: „Gdyby nie tytuł powieści, nikt by się po dzień dzisiejszy nie domyślał losów i cech Odyszeusza w tym krążącym po ulicach [Dublina] akwizytorze”. Jak więc wyglądają strategie narracyjne Sienkiewicza i Joyce’a? Czy są w jakiejś mierze zbieżne? Czy śmiech bohaterów historii z XVII stulecia i bliskiego nam XX wieku jest podobny? Czy powikłania semantyki opisu dookolnej rzeczywistości bywają analogiczne lub prawie identyczne?

Na pierwszej stronie *Ulissesa* pojawia się tajemnicze określenie „gunrest”: „Solemnly he [Mulligan] came forward and mounted the round gunrest” (JJ, 9). Słomczyński brawurowo, lecz bardzo nietrafnie oddał owo zdanie tak: „Dostojnie postąpił ku przodowi i wszedł na okrągłą działobitnię” (MS, 7). Jego następcą jest bliższy prawdy historycznej, chociaż musiał uciec się do terminologii marynistycznej: „Uroczyście ruszył naprzód i wszedł na okrągłą barbetę” (MS, 9). Dla przeciętnego czytelnika jaśniejsze jest polskie zdanie Macieja I, a wersja Macieja II jest prawdziwa, ale wymaga sięgania po informacje podane przez Google. Myślę, że podobnie jest u Sienkiewicza!

Oto na początkowych stronicach *Ogniem i mieczem* (I, 6) dwukrotnie słowo polanka pojawia się w cudzo-słowie, dzięki czemu – jak się domyślamy – autorowi nie idzie tu o ‘małe polany’ czyli ‘łaki otoczone lasami’, ale o coś oryginalnego. Mogą to być albo „pałanki”, czyli obozy kozackie (zob. I, 37: „nie licząc kozaków, co po pałankach stoją”; Rozłogi, gniazdo Kurcewiczów, „przypominało kresową pałankę

kozacką”, I, 52), albo nawet „połanki”, czyli derywat od „półlanka”, obszaru ziemi uprawianej o rozmiarach dochodzących do pół łanu (ok. 10 ha). Ten ostatni wyraz znam z *Popiołów*, gdzie w rozdz. „W górach” mamy zdanie: „Połanki ról wżarły się w samą knieję, [...] z roku na rok wdzierają się wyżej aż popod szczyty zawalone głazami Psar, Rado-stowej...” (ed. BN, 1996, I, 5). Ta kwestia semantyczna komplikuje się jeszcze bardziej, gdy zważyć na słowa „pa-lanka” („wódka z prosa”, I, 112; I, 125; I, 127: „Tataczuk chwycił szaflik z pa-lanką, przechylił go obiema rękoma do ust i pił, pił, jakby chciał się na śmierć zapić”). A więc w zdaniu „Jedne pułki wychodziły na zmianę do stanic i pola-nek, inne wchodziły do stolicy” – o co istotnie chodzi? O obozy kozackie chyba! To po co mamy i te „pałanki”? Od jakiego rdzenia pochodzi bohater powieści pt. *Rodzina Połanieckich*? Pewnie od Połańca, miasta w Sandomierskiem, a sam gród od czego? A w dodatku Linde oznajmia pod hasłem Połanek, że należy zob. Półłanek, a tam nieoczekiwany sens: ‘półdupki, zadek!’ Czyli cudzysłów w pierwszym rozdziale powieści nie był ornamentem, gdyż zwracał uwagę czytelnika na ewentualne tajemnicze zapętlenia semantyczne, związane nawet z tak naturalnymi wyrazami jak polanka, dziewczka (nadużywa się tu tej formy, bo tak mówił o Orszulce jej ojciec, arcypoea Kochanowski; nb., jak wynika z eseju Krzysztofa Obremskiego *Analizy i wiedza zwiń-czona interpretacyjną wiarą. O rozwią-zywaniu „Gadki” Jana Kochanowskiego* – „Teksty Drugie” 2021, nr 4, s. 250–265 – w dalszym ciągu nie ma pewności, czy wiemy, o co poecie chodziło!), a nawet warchoł. Otóż raz słyszymy „warchoł czyniony przez pana Zagłobę” (I, 253), a za chwilę Skrzetuski powiada o Onufrym, że „miał go za warchoła i tchórza” (I, 293), czyli jeden rzeczownik posiada tu formę osobową i nieosobową... Bo i na to pozwala Linde, notując pod hasłem Warchoł i kłótnię, i kłótnika.

Gdy zaś dostrzegam obok siebie takie leksemy, jak gindzał (I, 52, 55, 338; II, 10), kindzał (I, 59) oraz handżar (I, 123, 224) – wszystkie oznaczają orientalne noże i sztylety – to przypominam mi się arcydzieło Zygmunta Krasieńskiego pt. *Agaj-Han*, gdzie też spotykałem oboczności dzirynt/dzyrynt, dzianet/dżanet, handżar/kindzał (pisałem o tym w eseju *O stylu „Agaj-Hana”. Polemika z Marią Janion*; tom zb. o Krasieńskim, 2019). Nie mam wątpliwości, iż Sienkiewicz zachwycał się nie tylko przekładem Siemienińskiego, ale i frenetyczną mikropowieścią Krasieńskiego. Bo czy nie na jego cześć (a czasownik wenerować oznacza właśnie ‘oddawa-nie czci’) utworzył arcydziełko onoma-tyczne: Anusia Borzobohata-Krasień-

ska (I, 35)? Dla równowagi dodam, że Joyce nawet z terminu naukowego, jakim jest metempsychoza, potrafi zasu-gerować (kładąc to w usta Molly) dowcipny kalambur: met him pike hoses (JJ, 607), co tłumaczy Maciej I – mnie tam psy chodzą (MS, 716), a Maciej II – miecie psy koza (MS, 674). U Sienkiewicza podobne dowcipy produkuje bez wahań i zahamowań Zagłoba: gdy zebrani rycerze krzyczą do Skrzetuskiego „Crescite et multiplicamini!” pan Onufry żartuje „Zaskrzetuszczy wojsko z krete-sem! już go znam!” (I, 415), gdzie mamy i grę z nazwiskiem pana Jana, i z łacińskim czasownikiem „crescite” (‘wzra-stać’). Albo: „nie byłby mu [Bohunowi] podbił pięt Podpięta” (II, 80). Albo fantazja onomastyczna o wsiach Longinusa: „Myszykiszki, Psikiszki, Pigwi-szki, Syruciany, Ciapuciany, Kapuściana-y (raczej Kapuściana – ale głowę), Bał-tupie” (II, 150).

Te wymyślone i wymyślnie nazwy wsi (wedle narratora: „wsiów”) przypomi-nają listę okrętów homeryckich z *Iliady*, a w Trylogii będą to wyliczenia wojsk naszych i wrogich, wraz z listą obecności wybitniejszych wodzów; u Joyce’a można podziwiać obszerne enumeracje bohaterów i świętych, a także irlandzkich piękności turystycznych i rodzimych wyrobów, od piwa „ale” i marki Guinness poczynając. Sienkiewicz, opisując krwawe boje, konkuruje z Homerem (choć grecki aojda nie wkraczał w kra-jiny makabry i sadyzmu!); Joyce z rewe-rencjami dla Greka chce najszczę-gliwiej oddać patos codzienności i realia opisywanych czasów i miejsc. ■

Mała bibliografia

Homer: *Odyseja*, przeł. L. Siemieński, oprac. Z. Kubiak, Warszawa 1990. – J. Joyce: *Ulysses*, Harmondsworth 1968 (używam skrótu: JJ). – J. Joyce: *Ulisses*, przeł. M. Słomczyński, Warszawa 1969 (używam skrótu: MS). – J. Joyce: *Ulisses*, przeł. M. Świerkocki, Łódź 2021 (używam skrótu: MS). – A. Mickiewicz: *Pan Tadeusz*, oprac. S. Pigoń, Wrocław 1967, BN. – J. Paszek: *O stylu „Agaj-Hana”. Polemika z Marią Janion*, w t. zb.: *Krasieński. Żywioły kultury, żywioły natury. Studia*, oprac. M. Burzka-Janik i J. Ławski, Biały-stok – Opole 2019. – H. Sienkiewicz: *Ogniem i mieczem*, t. I, II, Warszawa 1992 (używam skrótu I lub II). – A. Ważyk: *Gra i doświadczenie. Eseje*, Warszawa 1974, s. 17. – S. Żeromski: *Popioły*, t. I, oprac. I. Maciejewska, A. Achmatowicz, J. Paszek, Wrocław 1996 (BN).

Autorka wydanej w 2019 roku książki *Znikanie* jest dobrze znana publiczności literackiej dzięki takim tytułom jak *Absolutna amnezja* (1995 rok), *Niebieska menażeria* (1997 rok), *Madame Intuita* (2002 rok), *Alma* (2003 rok), *Magiczne oko. Opowiadania zebrane* (2006 rok), jednak inne nazwisko pojawiające się na karcie tytułowej może zrodzić nieporozumienie, że czytelnik otrzymuje publikację debutantki. By temu zaradzić wydawca na czwartej stronie okładki dodał wyjaśniające sformułowanie: „Wielki powrót pisarki znanej wcześniej jako Izabela Filipiak?”. Decyzja o zmianie personaliów podyktowana była, jak twierdzi autorka, obawami o własne życie, których źródłem była uświadomiona koincydencja; w chwili, kiedy mogło dojść do wypadku drogowego z udziałem pisarki ta przypomniała sobie, że osiągnęła wiek swojego brata, który umarł i mógłby być prowadzonym krakusy zza grobu.

Znikanie jest literacką hybrydą. Można w niej odkryć kilka przenikających się gatunków: zapiski z czasu choroby, esej antropologiczno-literacki, reportaż interwencyjny na temat sytuacji osób homoseksualnych. Niektóre napisane zostały stylem nieodbiegającym od akademickiego dyskursu, jednak w wielu pojawia się gniew jako reakcja na wrogą rzeczywistość. Nie świadczy on o poddaniu się, wycofaniu i zasklepieniu w tym, co trwa. Gniew jest afektem zdolnym zmieniać porządek, wywoływać bunt i rewolucje. Ten potencjał również pojawia się w narracji Morskiej. Przemawia ona z pozycji nauczycielki akademickiej, która konfrontuje się z mową nienawiści skierowaną także do niej. Udowadnia przy tym, że nie jest jednostką niezdołną do partycypowania w obowiązkach, której wykształcenie, pozycję i wkład w naukę można dezawuować ze względu na preferencje seksualne. Nie ma w niej zgody na marginalizowanie części społeczeństwa i odmawianie jej prawa do spokojnego i normalnego (czyli pozbawionego strachu o własne zdrowie i bezpieczeństwo) życia. W *Znikaniu* pojawia się więc podmiot mocny na skutek doznanych krzywd (ich skala waha się od zawstydzenia przez personel medyczny aż po wpajanie poczucia winy za preferencje seksualne), świadomy własnych praw i obowiązków, jednak konfrontowany z systemem, który można nazwać bezdusznym (personel medyczny jest przepracowany, a hejtery zapominają, że homoseksualista może być każda osoba, z którą stykają się na co dzień). Wspomniane poczucie mocy narasta w kolejnych partiach *Znikania*, ponieważ poszczególne części redagowane były w kolejnych latach; ostatnie strony opracowywane były więc stosunkowo niedawno. Morska odnotowała protest opiekunów osób niepełnosprawnych, kampanię nienawiści przeciwko osobom homoseksualnym.

Który temat dominuje w najnowszej książce Morskiej? Który określić można mianem koronnego? Mimo że stosuje ona technikę bricolage'u, w *Znikaniu* najważniej-

Zapiski z frontu medycznego

KSIAŻKI

szy (bo związany z ciałem) jest temat utraty zdrowia na skutek pojawienia się osteofitów w obrębie odcinka szyjnego kręgosłupa. Ta utrata następuje stopniowo i degradowuje podmiot, który musi stać się zależny od innych. To właśnie fragmenty dotyczące większych lub mniejszych kryzysów zdrowotnych (brak czucia w nogach i rękach, mrowienie, spadek sił) ujawniają, że zdrowie to stan, który pozostaje niezauważalny dopóki nie zostanie zachwiany. Wtedy wszystko staje się trudne, skomplikowane (podstawowe czynności urastają do rangi wyzwania na miarę udziału w triathlonie).

W narracji Morskiej główną rolę odgrywają pacjenci odczuwający wiele zróżnicowanych afektów (od determinacji w dążeniu do odkrycia prawdy, nieukrywanej radości z postępu w śledztwie po zniechęcenie, a nawet rezygnację). Niebagatelne znaczenie ma również wątek matki pisarki – Jadwigi, która na oczach lekarzy doznawała stopniowo paraliżu i zmarła otoczona opieką córki. W *Znikaniu* choroba na powrót wiąże dwa pokolenia i staje się swoistą platformą porozumienia między córką i matką. Wątki choroby zająbiają się ze stopniowym umieraniem, którego zapowiedzią jest nie tylko niewykryta choroba zawodowa (w czasach, kiedy Jadwiga próbowała uzyskać orzeczenie o niej, nikt nie zadawał sobie trudu przestudiowania szkoleń warunków pracy, na jakie była narazona), lecz również niehigieniczny tryb życia przyjaciół Morskiej.

Znikanie to opowieść o powracaniu do zdrowia jako stanu równowagi psychiczno-cieleśnej i procesie żmudnego uzyskiwania kolejnych skierowań na badania w celu postawienia właściwej diagnozy. Można więc określić ją mianem „narracji maladyznej”, w której pacjent i jego kondycja zdrowotna są tak samo ważni jak kwestia nawracającego bólu, którego nie można uśmiezczyć. Rozważania o dolegliwościach pozostających poza docieklwym wzrokiem lekarza (ulożonych we wnętrzu, a nie na



ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

powierzchni ciała) zajmują szczególne miejsce w *Znikaniu*. To właśnie subiektywnie odczuwany ból stanowi zarzewie konfliktów Morskiej z lekarkami (i psychologami). Po jednej z konfrontacji dowiaduje się, że sama wywołuje symptomy, dlatego powinna w pierwszej kolejności zadbać o zdrowie psychiczne. Taka diagnoza podważa prawo pacjenta do odczuwania bólu zlokalizowanego w nieprzeniknionych powłokach ciała, który nie jest wywoływany na życzenie i z byle powodu. Realia szpitalne, podejście lekarzy, zachowania pacjentów dzielących z Morską salę poddawane są drobiazgowej analizie. Jednak wnioski, jakie wyciąga autorka, nie napawają optymizmem.

Można by uznać *Znikanie* za manifest wszystkich pacjentów, jednak ze względu na objętość książki (pięćset stron), rola ta okazuje się mniej prawdopodobna, dlatego warto zapamiętać dwie myśli, które nieustannie towarzyszą Morskiej podczas wizyt lekarskich i konfrontowania się z historiami przyjaciół, którzy za późno usłyszeli diagnozę: należy badać się za wszelką cenę (pisarka podjęła nawet decyzję o wyprzedaniu rodzinnych pamiątek) i nie bagatelizować żadnych objawów. Zdrowie to kwestia, która najbardziej powinna interesować pacjenta, ponieważ to on zostaje sam z dolegliwościami, bólem, niepewnością i strachem, dlatego poza diagnostyką ważne jest również pozostawanie w kontakcie z przyjaciółmi i osobami bliskimi. Choroba to stan, który testuje dotychczasowe relacje międzyludzkie i hartuje charakter. Bez dozy nadziei i nacisku na lekarzy, recepcjonistki, personel medyczny powrót do zdrowia może stać się sprawą, którą inni będą chcieli skierować na boczny tor. Kluczem do sukcesu to poczucie sprawczości. Tylko ono gwarantuje, że działania pośrednie okażą się skuteczne. ■

Izabela Morska: *Znikanie*, Zakład Literacki, Kraków 2019, s. 506.

Jak pisać o wojnie?



GRZEGORZ SZTOLER

KSIĄŻKI

Wojna. No właśnie, jaka jest? Jak o niej pisać? Wzniośle czy gawędziarsko?

„Rosjanie robili straszne rzeczy. Wyrzynali, palili dzieciaki i starych ludzi. Wyróżnili wtedy całą wioskę. To wszystko widzieliśmy... Tego nie da się zapomnieć. To jest jakby sen... To chyba najmocniejsze, co się może człowiekowi wryć w pamięć, tak... To są mocne, naprawdę bardzo mocne rzeczy. Nie można tego wykreślić, wymazać z mózgu...”

Wojna, jej okropności. Tak mówił o niej bokser Mamed Khalidov z Czechenii, wspominając – w rozmowie z pisarzem Szczepanem Twardochem – jej ciężar. Który nadal w nim jest. Mimo upływu czasu. Tytuł tej wydanej w 2017 roku rozmowy-wywiadu brzmi znacząco: *Lepiej byś tam umarł*.

Boję się – jako pisarz – „zbyt lekko” pisać o wojnie, nie chcę trywializować jej ciężaru, więc w zasadzie unikam tego tematu. Chyba że przez przyzmat losów zwykłych ludzi, których – wiadomo – wojna najbardziej dotyka. Ale tych już prawie nie ma...

Piotr Korczyński miał szczęście, że trafił jeszcze na bezpośrednich świadków, uczestników wojny. Jej bohaterów. Przy czym pisze o nich nie z patriotycznym zadaniem, uniesieniem, lecz po prostu, po ludzku, od serca. Tym bardziej, że Korczyński pióro ma iście gawędziarskie – Czytelnikowi zdaje się jakby Autor siedział z nim przy stole i sam „fedrował”. Zebrane w książce opowieści, ludzkie historie gromadził przez lata redaktorskich wędrówek dla „Polski Zbrojnej”, z którą jest zawodowo związany. Jak choćby ta o ojcu pszczyńskiego filmowca amatora, twórcy śląskiego westernu – o Augustynie Kłyku, ojcu Józefa. Korczyński popełnił ją przy okazji – tak się robi – będąc przejazdem u pana Józefa

w sprawie zupełnie innej – westernowo-filmowej właśnie.

Historia wojenna, życiowa Augustyna Kłyka, druga w kolejności otwiera tę publikację. Przejście od historii do historii jest niezwykle płynne, posłuchajcie przykładowego choćby: „O Augustynie Kłyku, tak jak o Henryku Prajsie można było mówić, że żołnierz z niego był na schwał, choć na początku wydawało się, że nic z tego nie będzie”. Ładne – prawda – połączenie osobnych, nie związanych z sobą historii życiowych. Efektowne, pomysłowe przejście. I tak jest w tej knidze z wszystkimi ludzkimi historiami. Łączą się one, tworzą w jedną całość. I to jest zasługa Korczyńskiego. Bo o czym one mówią – ano o tym, że bohaterowie tych opowieści mieli niezwykle szczęście. Że żyją. Że przeżyli. Że są i się dzielą z nami swoimi historiami. Lub przez swoją rodzinę – jak jest w wypadku Józefa Kłyka, który opowiada historię swojego ojca Augustyna. W klimacie westernowym, co oddaje tytuł: *Ślązak i Indianie*. Czy to z opowieści wojennej ojca wzięło się zainteresowanie syna Dzikim Zachodem? Niewykluczone. W każdym razie – jak czytamy: „Augustyn Kłyk do śmierci 27 marca 2003 roku opowiadał o swych przygodach w niemieckim i polskim mundurze i że do niewoli wzięli go prawdziwi Indianie”.

Korczyński opisuje te „polskie drogi”, jak pisze we wstępie, które miały nieraz dramatyczne przebiegi. No bo jakie te „polskie drogi” są? Według Korczyńskiego: „Miały więc różne postaci (czytaj: postawy ideowe), ale wszystkie prowadziły do walki, i, ostatecznie, śmierci za ojczyznę”. Czyli jednak tragedie? Niekoniecznie, ale o tym za chwilę. Bo interesująco (i trafnie) brzmi ta diagnoza: „Co gorsza ten schemat wykorzystywany jest również w bieżącej polityce, któ-

ra dzieli weteranów drugiej wojny światowej na lepszych gorszych, zapominając jak wielką rolę odgrywał wtedy przypadek czy łut szczęścia”. No właśnie, to. Szczęście, przypadek, czy – jak to nazywa autor – fuks. „Frontowy fuks – doprecyzowuje Korczyński. – Komu, jak komu, ale szczęścia i fantazji polskim żołnierzom nie brakowało!”. Prawda, wystarczy przejrzeć kilka zgromadzonych przez Autora życiorysów weteranów (zarówno mężczyzn jak i kobiet).

„Jako redaktor «Polski Zbrojnej» przez kilka lat jeździłem po Polsce i robiłem wywiady z weteranami, by następnie publikować je na łamach miesięcznika. W tym wyścigu z czasem udało mi się spotkać z żołnierzami z wszystkich frontów drugiej wojny światowej – od września 1939 roku poprzez Zachód i Wschód po krajowe podziemie. Poznawałem dramatyczne ludzkie losy i przekonywałem się, jak wiele znaczy w nich przypadek, ale za każdym razem wychodziłem z takiego spotkania nafałdowany optymizmem i pewny, że człowiek naprawdę może pokonać wszystkie przeszkody...”

I co tu więcej dodać. Po prostu, książkę Korczyńskiego warto wziąć od ręki. Dokumentacyjna i ludzka przede wszystkim będzie to podróż w czasie. Treściwa i dynamiczna. I nie tak rozwlekła jak akademickie podręczniki. I nie tak nudna jak niedzielne kazanie plebana.

To raczej opowieści odeszłej już w niebyt generacji, opowieści skierowane ku pokoleniom przyszłym. Wnukom i dalszym następcom tych skromnych bohaterów. ■

Piotr Korczyński: *Przeżyłem wojnę... Ostatni żołnierze walczącej Polski*. Znak, Kraków 2021, s. 352

Powieść na emigracji

MARIAN KISIEL

W swoim przeglądzie „polskich teorii powieści” Henryk Markiewicz literaturze emigracyjnej nie poświęcił żadnej uwagi. Pogląd uczonego o „rzadkich uogólnieniach” na tym obszarze metafleksji, jak widzimy po antologii Jolanty Pasterskiej, jest nie do obronienia. To oczywiste, że na obczyźnie (z różnych powodów) nie mogło być takiej temperatury dyskusji na temat celów, zadań czy powinności prozy powojennej; tę lukę wypełniały krytyczne temperamenty w kraju. Pamiętać jednak należy, że również w ośrodkach londyńskim i paryskim formułowano szereg opinii, wobec których nie powinniśmy przechodzić obojętnie. I dopiero ustalenie relacji między wypowiedziami, które pojawiły się w obu biegunach literatury polskiej lat 1939-1989, daje jakąś miarę obiektywizmu, jakże ważnego przy konstruowaniu nowej syntezy historycznoliterackiej.

Jolanta Pasterska podjęła pierwszy w naszym piśmiennictwie trud ułożenia antologii emigracyjnych poglądów meta-prozatorskich. Trud ten jest jednocześnie ryzykiem, i nie tylko dlatego, że pionierów ocenia się zwykle surowiej niż tych, którzy podążają ich śladem. Ryzyko polegało na tym, że w sytuacji całkowitego braku wcześniej poczynionych ustaleń systemowych, autorka musiała zaproponować nie tylko swój układ „dyskusji”, ale także ustalić dla nich porządek formalny. Powiem już tutaj, że udało jej się to uczynić nie tylko z wielkim znawstwem, znakomitym rozeznaniem głównych nurtów literackich polemik i pojedynków, ale i głębokim namysłem teoretyczno- i historycznoliterackim.

Po pierwsze, w rozprawie wstępnej, słusznie wyodrębniony został najpierw ten – wcale nie dla wszystkich oczywisty – cel, przed którym stanęła polska emigracja powojenna, przez Tymona Terleckiego nazwany „aktem wiary w wartości moralne życia”, „gestem prometej-



skiej woli”. Na ten projekt emigracji jako warunku koniecznego (od strony moralnej, politycznej i historiozoficznej) badaczka nałożyła dopiero siatkę dyskusji literackich. Pozwoliło jej to wysunąć tezę, że refleksja na temat prozy (czy arcydzieła powieściowego) toczyła się jak gdyby na dwóch planach. Najpierw, w kontekście kwestii zaangażowania literatury i wynikających stąd rozmaitych uwikłań ideowych i moralnych; później zaś, w kontekście rozważań nad sytuacją prozy w ogóle, a tym bardziej nad powieścią, która zdolna byłaby unieść wszystkie ważne i palące problemy swojej współczesności. I jakkolwiek ten rodzaj dyskusji znamy z recepcji krajowej, to na emigracji nie zawsze przypominała ona „austriackie gadanie”, lecz podnosiła wspomniane zagadnienia do rangi fundamentalnych. Był to tak-

że spór tradycjonalistów i rzeczników artystycznego nowatorstwa. Zgadzam się z Jolantą Pasterską, kiedy pisze, że na drugiej emigracji niepodległościowej „[s]pory o kształt arcydzieła [...] były wynikiem dziedzictwa dwudziestolecia międzywojennego i dyskusji wokół propozycji «nowoczesnej» prozy wysuwanej przez środowiska związane z awangardą literacką”. Nie eliminuje to z pola widzenia jednakże stanowisk tradycjonalistów, dla których proza Bolesława Prusa, Elizy Orzeszkowej i Stefana Żeromskiego były wciąż najważniejszymi osiągnięciami sztuki narracyjnej.

Niezwykle ciekawa jest część druga rozprawy wstępnej, zatytułowana *Spór o powieściowe arcydzieło*. Badaczka zaczyna przegląd opinii od tych, jakie formułowano były już w czasie wojny. Wołanie o „epopeję wygnania”, a więc o utwór, który uniósłby ciężar arcydzieła, znakomicie zostało pokazane przez przywołanie stanowisk Manfreda Kridla, Jana Bielatowicza, Juliusza Mieroszewskiego, a także Wacława A. Zbyszewskiego. Zdanie tego ostatniego, że „[k]oczonicy nie piszą dobrych powieści”, można by zestawzić z formułą Józefa Wittlina, który w swoich *Blaskach i nędzach wygnania* twierdził, że tylko wygnaniec *destierro-destiempo* (poza własną ojczyzną i czasem) może przezwyciężyć niemoc właściwą wszystkim emigrantom. A zatem także stworzyć arcydzieło.

Część druga rozprawy wstępnej jest nie tylko znakomitym przeglądem stanowisk, ale także świetnie poprowadzonym wykładem historycznoliterackim. Dominują tu jak gdyby trzy perspektywy: pokoleniowa, estetyczna i światopoglądowa.

Pokoleniowy wymiar dyskusji wiązał się na ogół z odmiennym podejściem do literatury; ci, którzy oczekiwali, że proza przeorze dotychczasowe widzenie, znajdowali odpór u tych, dla których pozო-

stawanie w obrębie sprawdzonych wzorców było znakiem ciągłości tradycji. Nowatorzy i tradycjonaliści ujawniali swoje stanowiska nie tylko w dyskursywnie sformułowanych wypowiedziach. Ich racje były wyrażane przez liczne utwory drukowane w prasie emigracyjnej, w których dominował wątek historyczno-polityczny i reportażyowy (podziemie, powstanie warszawskie, obozy niemieckie, więzienia i łagry sowieckie, szlak „karpacki” itd.); bądź też przez próby przewyciężenia zastałych formuł i podniesienie idei „formy nowej”. Do grupy tradycjonalistów należała niepolicalna rzesza przedstawicieli „prozy dokumentarnej” (wedle określeń Zygmunta Markiewicza i Stanisława J. Paprockiego), do drugiej – nieliczni „eksperymentatorzy”: Witold Gombrowicz, Teodor Parnicki, Gustaw Herling-Grudziński, Marian Pankowski, autorzy z „Kontynentów”.

Estetyczny wymiar dyskusji widoczny jest między innymi w debatach formalnych. Jolanta Pasterska świetnie to zasygnalizowała, przytaczając polemikę Herlinga-Grudzińskiego z krytykami krajowymi na temat Györgya Lukácsa i realizmu. Wątek ten będzie z pewnością analizowany przez innych, ponieważ trzeba tu przypomnieć, że to, co autor *Teorii powieści* wiązał z awangardyzmem, częstokroć należy opatrywać kwalifikatorem „styl historyczny”, ale tylko sygnalizująco do zagadnienia. Badaczka słusznie pisze, że w estetycznym porządku dyskusji chodziło o postulat „oderwania się od tradycji literackiej na rzecz własnej, wypracowanej wcześniej poetyki”. Ta kwestia zajmowała właściwie wszystkich, którzy wówczas o prozie pisali.

I wreszcie wymiar światopoglądowy dyskusji emigrantów, wiążący ją nie tyle (choć także) z polemikami krajowymi, co głównie z roztrząsaniem europejskimi. Chodzi o obecność sartryzmu (i w ogóle filozofii egzystencjalnej) jako podstawowej orientacji filozoficznej, dokonującej zasadniczego przeobrażenia w prozie. Emigracja nie była tak nowoczesna, jak chciałaby się widzieć, i nie dokonała tak wiernej próby przeniesienia monologu wypowiedzianego na obszar form mniejszych (wyjątkiem jest tu Pankowski w *Smagłej swobodzie* i *Matuga idzie*). Ale ten głos był także formułowany w imieniu „arcydzieła nieznanego”, by posłużyć się piękną metaforą Andrzeja Kijowskiego. Niezwykle w tym kontekście zabrzmiały słowa Mariana Pankowskiego: „Módlmy się nie o napisanie wielkiego dzieła, [...] ale oto raczej, aby rumieniec wstydu zalał nam twarz i aby słowo »epigon« dzwonić nie przestawało. Bo my mamy wielką potrzebę i wyboru środków formalnych w przeciwieństwie do naszych nieszczęśliwych kolegów w Kraju”.

Niezwykle ważne w rozprawie wstępnej, pionierskie i domagające się osobnej

rozprawy, jest zwrócenie uwagi przez badaczka na wąż wprawdzie, ale niezwykle istotną dyskusję w gronie poetów z Kontynentów (Jana Darowskiego i Adama Czerniawskiego). Ci zwolennicy opcji awangardowej skoncentrowali się nie tylko na językowym kształcie utworu jako nośniku indywidualnej i społecznej ekspresji, ale także na jego związku z tradycją prozy zachodniej. Jak pisał Darowski: „Nie jesteśmy obecni na żadnym podwórku i żadnego nie doświadczyliśmy psa. Raczej, wybraliśmy sytuację językową, czyli pustostowie, jeśli chodzi o powieść”. Wtórował mu Czerniawski: „Twierdzić dziś w epoce, która wydała (...) *Obcego, Upadek, Zamek, Proces, Ferdynurka, Trans-Atlantyk i Rok 1984*, że pisarz musi «przynależać» jest zasadniczym nieporozumieniem”. Naturalnie, te uwagi muszą zostać pokazane w historycznoliterackim otoczeniu i będzie to ważne dopełnienie dotychczasowej naszej wiedzy o świadomości literackiej poetów z Kontynentów.

W trzeciej części rozprawy wstępnej, *Kres powieści czy jej nowe odsłony?*, Jolanta Pasterska pyta w sensie ogólnym o kryzys powieści, a w sensie szczegółowym o świadomość jego istoty w refleksji emigrantów. Badaczka przywołuje tutaj Witolda Gombrowicza, Czesława Miłosza, Józefa Wittlina – niewątpliwie najbardziej świątecznych przedstawicieli polskiej emigracji powojennej, którzy nie czuli lęku przed zwracaniem myśli z pisarzami Zachodu. Że musiało to napotkać na jakiś odpór innych emigrantów – to oczywiście, i Jolanta Pasterska dobrze dokumentuje tę niezgodę w swoich przywołaniach. A przy okazji: ileż smaczków wydobywa; np. ten ze Stempowskiego, który „literaturę pępkową” nazywa „sztuką omfaloskopiczną”. Dzisiaj „pępkową” nazwalibyśmy inny typ prozy.

Część trzecia rozprawy wstępnej jest chyba najbogatsza w znaczenia, stanowi też świetne odbicie dla przyszłych badań nad prozą emigracyjną. Spotykają się tutaj opinie tych, którzy chcą być kodyfikatorami tworzącej się świadomości literackiej emigracji powojennej i tych, którzy widzą, że trzeba tę świadomość już u jej źródeł rewidować. Kodyfikatorzy i rewidenci stale wchodzą z sobą w konflikt. Ale w przypadku literatury emigracyjnej są oni szczególnie widoczni: pierwsi pragną pozostać w starym świecie, ponieważ gwarantuje im bezpieczeństwo; drudzy wchodzą w świat, którego nie znają i często ponoszą klęskę. Przykład powojennej literatury emigracyjnej przekonuje bowiem, że nie wystarczy – jak w przypadku poetów z Kontynentów – mieć rację; trzeba jeszcze mieć trochę tego talentu, który nie wytraci swojego potencjału tylko w polemice, ale przeniesie go w sferę literackich światów możliwych.

W tej recenzji skupiłem się na omówieniu rozprawy wstępnej Jolanty Pasterskiej do antologii, będącej wyborem z bogatej bibliografii emigracyjnych debat nad powieścią. Uczyniłem tak dlatego, że przedstawia ona kierunki lektury licznych tekstów literackich powstałych w kręgu drugiej emigracji niepodległościowej. Dla porządku omówienia zaznaczmy jednak, że badaczka zgrupowała najważniejsze wypowiedzi o powieści **w dwóch istotnych częściach**. **Pierwsza** – *Spór o powieściowe arcydzieło* – przynosi między innymi wypowiedzi Tymona Terleckiego, Mariana Pankowskiego, Michała Sambora [Michała Chmielowca], poetów z Kontynentów (Andrzeja Busza, Adam Czerniawski, Jan Darowski); część druga – *Kres powieści czy jej nowe odsłony?* – nadto: Witolda Gombrowicza, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Pawła Hostowca [Jerzego Stempowskiego], Józefa Wittlina, Wita Tarnowskiego, Czesława Miłosza. Zderzenie tych głosów pokazało, że – z jednej strony – „łaknienie polskiego powieściowego arcydzieła [zawsze] nabiera ponadczasowego i ponadpokoleniowego znaczenia. Jest [też] istotnym spoiwem literatury emigracyjnej i krajowej XX wieku”; z drugiej natomiast, że „powieść polska na emigracji nie znalazła odpowiedniej jednej formuły, która oddawałaby główne obszary ówczesnych problemów, konfliktów, ujawniała ich zależności i powiązania. Jednostkowe doświadczenie, nawet najbardziej tragiczne okazało się niewystarczające, by wypowiedzieć «prawdę». Z czasem także światowy kryzys tego gatunku wymuszał poszukiwanie nowych rozwiązań formalnych i prób redefiniowania tego pojęcia na rzecz wszystkich systemów narracyjnych wskazujących na sposób poznawania rzeczywistości”.

Napisałem na początku tej recenzji, że wybór jest ryzykiem badaczki, a próba opisu półwiekowego ścierania się postaw i poglądów krytycznych zadaniem wysoce odważnym. Ja jednak już teraz gratuluję Jolancie Pasterskiej **świetnej antologii**. Bo dopiero teraz będziemy mogli odnieść się do tego, co wcześniej istniało potencjalnie. Jej antologia będzie nieodzownym źródłem dla badań dwudziestowiecznej literatury emigracyjnej. Na pewno stanie się też – o czym jestem przekonany – ważnym źródłem do studiowania autostrad i wiryż polskiej prozy. A jeśli jakiś roztargniony rowerzysta wtargnie niezapowiedziany na tę drogę, zderzy się z **pięknym choć dziwnym krajobrazem**. ■

Jolanta Pasterska, *Spory o powieść w dyskusjach krytycznoliterackich drugiej emigracji niepodległościowej*, Wydawnictwo Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Poznań 2021, s. 429.

Wpadły mi w ręce i przypadły do gustu, nieco zsubiektywizowanego wskutek zajmowania się literaturoznawstwem, dwa oryginalne tomiki poetyckie, których sprawcą – nie było to łatwe do ustalenia – okazał się Jerzy Fedirko. Pierwszy to *nić* – z całą pewnością tytuł został wydrukowany czcionką spacjowaną. Tak, wiem, w zakładce 'Czcionka, tropem 'Zaawansowane, wreszcie 'Odstępy' widzę nazwę 'Rozstrzelane', ale po stale rosnącej w ubiegłym wieku sprawności plutonów egzekucyjnych w niezliczonych wojnach i wojenkach, po Zagładzie nie akceptuję tej niefrasobliwości onomastycznej komputerowych programistów; tytuł zapisuję kursywą, bo to tytuł, ale w oryginale mamy czcionkę prostą. Do tego, że zapis spacjowany poszczególnych wyrazów i fraz jest znacznie mniej agresywny – przynajmniej dla oka czytającego – niż czcionka pogrubiona, przyzywał nas już Cyprian Norwid, który stosował ten zabieg z nader staranną premedytacją, jednak nigdy w tytułach wierszy.

Na niemal czarnej okładce (projekt graficzny, fotografia: Jędrzej Krzyszkowski) widzę szarą nić nawiniętą raczej nieprofesjonalnie, w każdym razie bez użycia maszyny, na spory kartonowy rulonik znajdujący się w jej centrum w pozycji wertykalnej; niezastłonięta nicią rolka jak kinkiet rozświetla górę i dół obrazu. To nić raczej tkacka, nie krawiecka, która może służyć do zszycia dwóch płatów materii tworzącej wytworny frak, lub przyszyć guzik, nim na nim zawiesznie odpowiedzialność właściwego ułożenia się na ciele materii okrycia, względnie – sięgając po efekty z wyższej półki estetyki – wywarcia szokującego efektu ozdobnego. Nie widzę na okładce imienia i nazwiska autora, jakby jeszcze ich nie miał; ostatecznie to debiut – nazwisko „wyrobi sobie” dopiero tym tekstem. Okazuje się zresztą po dokładniejszym oglądzie, że drobnitką czcionką zapisane: tytuł tomiku, imię i nazwisko autora, wreszcie numer ISBN znajdują się w lewym, górnym rogu tylnej okładki.

Tej książeczki nie czyta się „normalnie”: każda strona parzysta jest pusta, każda nieparzysta przedzielona szarą pionową kreską zawiera dwa zapisane pola, jakby piłeczka w tym poetyckim tenisie spadała tylko na kwadraty serwisowe, raz na stronę przewagi (lewy prostokąt), raz na stronę równowagi (prawy prostokąt), z tym że nie ma tu mowy o naprzemienności, pozornie niezależnie od siebie płyną przez tę poetycką łączkę dwa strumyczki znaczeń, jak w opanowywanym jeszcze w czasach przedszkolnych wierszyku Juliana Tuwima *Rzeczka*: „Tu się srebrzy, tam ginie, / A tam znowu wypłynie”, chociaż historyk literatury powinien mieć bardziej uczone skojarzenia, powiedzmy z *Grą w klasy* Julia Cortazara, zwłaszcza że ta eksperymentalna powieść też jest podzielona na trzy części.

Te dwie kanwy na jednej stronie można czytać i wertykalnie, i linearnie, ale nie jest to tak proste i oczywiste jak w *Dziadów części III* Adama Mickiewicza, gdzie mamy

Niść, splot, tkanina

KSIĄŻKI

ostry podział na „Ducha z lewej strony” i „Duchy z prawej” – z wyraźną sygnaturą, które są dobre, a które złe, czyje poglądy, zamiary, postanowienia, wreszcie działania są złe, a czyje dobre. (Gdyby ktoś sugerował, że napomknięciem o *Rzeczce* Tuwima chciałem wyeksponować konteksty związane z poetycką prostotą wyrazu, charakterystyczną dla bohatera lirycznego cyklu Czesława Miłosza *Świat (poema naiwne)*, to dyplomatycznie nie potwierdzę ani nie zaprzeczę).

W części I tryptyku pojawiają się jako tam spodziewane słowa kluczowe z nieprzesadnie rozległego pola semantycznego: „nić”, „wątek”, „osnowa”, „rozmowa”, „dialog”, „monolog”, „krosna”, wreszcie „spleć” (w imperatywie, ale bez wykrzyknika, zatem jako nakaz lub rodzaj zaklęcia) – co zawsze sprawa intelektualną przyjemność czytelnikowi, bo nadchodzą jak samosprawdzająca się przepowiednia. Bohaterami II części tryptyku, jak się wydaje (bo tego nigdy nie można być pewnym na sto procent), są zrazu zaimki pytające „co” i „kto”, niekiedy pojawiające się seriami, niekiedy w towarzystwie pytajników. Piszę o towarzyszeniu, gdyż słówko od diakrytycznego znaku oddzielają minimum cztery spacje: „kto ?” / „co ?”, zatem i sam pytajnik uzyskuje autonomię zdziwienia; tak naciera na nas sens łączny obok sensów indywidualnych poszczególnych słów. W części III, poza nicią i nitką, pojawiają się oczywiście i „węzeł”, i „splot”, i „osnowa”, i „tkanina” wreszcie, pojawia się marzenie lub zaklęcie: „nie / sprujesz / tkaniny” (gdybyż to było takie proste!). Puenty nie zdradzę, wspomnę tylko o konstrukcji ramowej, ale to przecież poetycki elementarz. To tryptyk, ale tylko jeden wiersz.

Drugi, znacznie obszerniejszy tomik to *Przeprawa* – tym razem imię i nazwisko Autora oraz tytuł pojawiają się na okładce, którą zdobi zarys aktu wedle projektu Jakuba i Jędrzeja Krzyszkowskich, edytowany wedle zasady omówionej w poprzedniej części recenzji, czyli z tą dość bezcere-



MAREK PIECHOTA

monialną rozrzutnością ze znaczną przewagą pól niezadrukowanych nad tymi, na których wyrastają niekiedy smaczne, innym razem znowu dające do myślenia sensory, poetyckie konsensusy i koincydencje. Na tomik składają się dwa niewielkie poematy *Dukt* i *Brama* – oba nasycone odniesieniami religijnymi, które z całą pewnością nie spodobały się niektórym kościołom i katechetom w Polsce. Któż by pomyślał, że „dukt” to może być „pielgrzymka”, bo że „brama” jest znakiem „przejścia”, to wiedzą nawet czytelnicy książek Anety Jadowskiej.

Chociaż tomik drugi ukazał się niemal równocześnie tuż po pierwszym, wiadać wyraźnie, że Autor odszedł już daleko i zaszedł wysoko, jakby wędrował z Myślenic na Myślenickie Turnie. Ostatecznie poezja rodzi się z myślenia, przynajmniej spora jej część, często w drodze, po drodze, krok za krokiem, słowo po słowie. Gdybym tu dopisał porównanie Myślenickich Turni do skały „pięknej Kalijopy”, byłaby to aluzja do dedykacji tłumaczenia *Psalterza Dawidowego* Jana Kochanowskiego, a na to jednak stanowczo za wcześnie.

Poezja rodzi się z miłości, wiary i nadziei. Z miłości do piękna słów pojedynczych i tych nanizanych na nić obszerniejszych, rozleglejszych sensów. Z wiary w to, że ma się coś ważnego do powiedzenia o sobie, o świecie i o relacjach międzyludzkich oraz międzyprzedmiotowych. Wreszcie z nadziei na to, że – prędzej lub później – Autor znajdzie „swoich” czytelników, oswoi ich z własną, swoistą wyobraźnią i dociekliwością semantyczną. Na początku tej drogi będzie to jednak grono z pewnością elitarne: liczebnie i intelektualnie, co limitują zresztą zaledwie stuogiemnastokrotnie nakłady obu tomików. ■

Jerzy Fedirko, *Niść*, Wydawca ORSKI, Kraków 2020, s. [40]; Jerzy Fedirko, *Przeprawa*, Wydawca ORSKI, Kraków 2020, s. [116].

Szkic losów wojennych Wiktora Szołtyśka kończy redaktor Danuta Lubina-Cipińska następującym resumé: „Został po nim dziennik – świadectwo czasu. Lapidarne zapiski, w których mało emocji, a o wiele więcej suchych faktów”. Wspomniany dziennik Wiktora Szołtyśka sporządzony w zeszycie o sztywnej okładce, którego strony oznaczono niemiecką pieczęcią, bo miał prawdopodobnie służyć celom inwentarzowym trafił do rąk czytelnia w maju 2019 roku, starannie wydany nakładem rodziny. W roku obecnym ukazują się dopieszczone i poszerzone wydanie II w dwóch wersjach językowych: angielskiej i polskiej. Pierwotny tekst dziennika opublikowany na kartkach w kolorze sepii został zaopatrzone w m.in. gruntowną obudowę historyczną, liczne zdjęcia (dawne i współczesne), mapy, fotokopie archiwaliów, bibliografię, indeks nazwisk i chronologię wydarzeń z życia bohatera dziennika. Tekst główny poprzedza reprint motta wybranego przez Szołtyśka do swoich zapisków, które brzmi: „Ku pamięci!/ Człowiek jak okręt./ Co w dalekim oceanie./ Wie, z którego portu wypłynie./ Lecz nie wie, w którym stanie... W.S.". Stał się zatem dziennik Wiktora osnowa prezentacji górnośląskiego rodu i tradycyjnej śląskiej rodziny.

Już sama edycja dziennika świadczy o głębokiej miłości potomnych wobec autora. Mimo że licznych Górnoślązaków spotkał podobny los, nie wszyscy otrzymali w darze możliwość poznania dzień po dniu wojennej peregrynacji swoich bliskich. Dziennik jest przecież „częścią życia”. Jako gatunek autobiograficzny pozwala w jakiś sposób ocalić siebie i zachować minione lata tułaczki dla bliskich. Dzienniki wojenne wspomnianego już Ligonia zaginęły, ocalał jednak album fotograficzny z jego wygnania. Szołtyśkowi łaskawy los pozwolił na jedno i drugie. Tekst dziennika zaopatrzone w liczne zdjęcia, które dopowiadają tamte odległe wydarzenia, ale i pokazują obecny stan miejsc, które odwiedził. Wspomnianą już lapidarność zapisków, na które składają się suche fakty, bez emocji złożymy na karb żołnierskiej służby, która nie pozwalała rozczulać się za bardzo nad sobą.

Dziennik rozpoczyna się we włoskiej Cisternie niedaleko Genui 22 maja 1944 r., a kończy po powrocie do Polski w Gostyni 5 sierpnia 1947 r. Obejmuje więc swoim zasięgiem okres ponad trzech lat. Poszczególne wpisy opatrzone są nazwą miejsca pobytu i datą dzienną. Szołtysek rozpoczyna swoje notatki tuż po zdobyciu legendarnego Monte Cassino, wówczas jako śląski żołnierz siłą wcielony do Wehrmachtu dostaje swój pierwszy urlop. Szczęśliwy, tak utrwalił swoją reakcję: „Leżałem już miesiąc na froncie, kiedy pewnego dnia padły te nieoczekiwane słowa: „Sie Fahrem heute nach zu Urlaub!”. Cieszyłem się jak małe dzie-

Po obu stronach

KSIAŻKI

ko. Skakałem z radości i byłbym cały świat ze szczęścia do piersi przycisnął. Za pół godziny opuszczałem stanowiska, przy niustającej muzyce dział. Po południu zdążyłem załatwić wszystkie formalności i wieczorem jeszcze wyruszyliśmy w trójkę – kierunek Valmontone. Co to za uczucie. Cały świat wydaje się dużo piękniejszy. Auto mknie po dobrej szosie, a ja czuję jak się zbliżam ku Ojczyźnie. Kilka razy musieliśmy się kryć przed samolotami. Wieczorem w kilku miejscach oświecały drogę płonące samochody, tamując cały ruch uliczny. Szczęście nam sprzyjało. Natrafiłem na samochód, który jechał aż do Verony. Czegoś lepszego nie mogłem sobie życzyć. Rano ze świtem znajdowaliśmy się już na wysokości (Perugii) Viterbo”.

Niespełna dziewiętnastoletni Wiktor redaguje zapiski na bieżąco, posługując się dobrą polszczyzną. Musiał mieć zatem zdolności lingwistyczne, bo obok śląskiego, niemieckiego i polskiego w czasie wojennej tułaczki będzie próbował nauczyć się jeszcze włoskiego i angielskiego. Zapewne już w drodze do domu planował ucieczkę z niemieckiej armii, ale najpierw postanowił nacieszyć się powrotem. Jednoznacznie deklarację znajdziemy pod datą 15 czerwca 1944 r., kiedy zapisze: „Już środa. Urlop się kończy. Jeszcze nie mam odwagi o tym myśleć, ale to się przybliży. Teraz już trzeba o pożegnaniu myśleć... (...)” O pożegnaniu z rodziną i niemieckim wojskiem. Pierwszym pomysłem jest połamanie ręki. Razem z przyjacielem nie dali rady. Druga okazja nadarzy się przed samym celem podróży - San Marino. 26 czerwca spotyka trzech młodych Włochów i tak zapisuje swoją decyzję: „Nawiązałem z nimi rozmowę, na ile to było możliwe z moją znajomością języka włoskiego i postanowiłem wykorzystać nadarżającą się sposobności, by spełnić tu plan, który chciałem w domu przedsięwziąć. (...) Z radością zrzuciłem mundur, w którym już



PIOTR SKOWRONEK

rok przetrwałem. Teraz jestem znowu cywilem. Jeżeli Pan Bóg pozwoli, to tu jakoś ta wojnę przetrwam. Jestem także przekonany, że tu nie za długo Anglicy zawitają. Trafiłem na dobrych ludzi. Są tu już co prawda trzy rodziny razem, poszkodowani bombami (koło 25 osób) ale to nic. Trzeba się będzie do sytuacji przystosować i z energią zabrać do włoskiego języka”.

Żołnierski los wiedzie Szołtyśka przez Włochy do Anglii i stamtąd do ukochanej Gostyni. Po drodze spotyka m.in. gen. Władysława Andersa oraz urodzonego w Strzybniku krajana bp. polowego Józefa Gawlinę, który opiekował się naszymi żołnierzami. Dla wierzącego Wiktora spotkanie z duchownym miało wielkie znaczenie, napisał nawet, że udało mu się z nim zamienić kilka słów.

Los Szołtyśka z Gostyni był udziałem wielu górnośląskich chłopców i mężczyzn. W brew własnej woli (w czasie plebiscytu za Polską w małej śląskiej wsi głosowało aż 585 osób, a za Niemcami tylko 39.) musieli walczyć po stronie wroga, a dezercerując z Wehrmachtu w razie złapania narażali się na pewną śmierć. Na froncie pozostawili często braci, czy przyjaciół, czasem dosłownie walcząc po przeciwnych stronach okopów. Dla nich wszystkich i dla ich rodzin zapiski z tamtych lat są na pewno cenne. Decydując się na wydanie dziennika Jan i Henryk Szołtyśkowie postanowili: „... opublikować pamiętniki swojego ojca z czasów II wojny światowej, jako świadectwo skomplikowanej historii Śląska i Ślązaków na przykładzie przeżyć konkretnej jednostki – swojego ojca. [bo wiem] To nie fikcja wymyślona przez pisarza, to literatura faktu.”

Wiktor Szołtysek, *Po obu stronach frontu. Dziennik śląskiego żołnierza 1943-1947*, oprac. Jan Szołtysek, Mikołów-Toronto, 2021.

Wielka Cezaria w śląskim Jaworzu

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Wisła, Szczyrk, Koniaków, Goczałkowice, Jaworze były częstym tematem wspomnień o czasach międzywojnia moich dziadków po kądzieli. Wspomnień o ich turystycznych peregrynacjach po ziemi cieszyńskiej, po urokliwym Beskidzie. W tych wycieczkach uczestniczyli zaprzyjaźnieni sąsiedzi, często także zasłużony dla śląskiego Kościoła ks. dr Anastazy Muża. To wszystko pobudzało moją wyobraźnię – wówczas dziecka. Dziadek Alojzy uparcie przypominał, że w Jaworzu posiadał swoją willę premier Janusz Jędrzejewicz. Dopiero po latach natrafiłem na informację potwierdzającą jego powieści. To mnie bardzo zainteresowało, zwłaszcza jako etnologa. Dlaczego? Wszak żoną premiera była Cezaria Baudouin de Courtenay Ehrenkreutz Jędrzejewiczowa – żyjąca w latach 1885-1967 fascynująca etnografka, stosująca w swoich badaniach zasady analizy fenomenologicznej. To także twórczyni katedr etnograficznych na przedwojennym Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, a potem na Uniwersytecie Warszawskim, autorka wielu doskonałych prac naukowych, a pod koniec życia – już na emigracji – rektor londyńskiego Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie. A ponieważ życie sprawia niespodzianki, stała się sytuacja niezwykła. Oto w czasie ostatniej przedpandemicznej wizyty przyjaciółki naszego domu pani Marty Ehrenkreutz-Jasińskiej, wnuczki Cezarii, która przywiozła walizkę pamiątek i wśród cennych dokumentów, notatek, listów, także fotografie wspomnianej wcześniej willi w Jaworzu. Z drzeniem rąk je dotykaliśmy. Spoglądali z nich – zatrzymani w kadrze z tamtych przedwojennych lat – premier i jego żona. Pani Marta mówiła, że Jaworze w życiu jej babci było

miejszem szczególnym. Oazą szczęśliwości i zarazem normalności, za którą tęskniła, ustawicznym kontaktem z przyrodą. Trudno mi było nie nagrać wypowiedzi pani Marty. Mówiła: „To był przystanek w jej życiu po tym, co było, i przed tym co się stało po II wojnie światowej”. I dalej: „Pobyt w Jaworzu uspokoił babcię po jej niespokojnym wcześniejszym życiu. Przecież urodziła się w Dorpacie (obecnym Tartu), gdzie jej sławny ojciec językoznawca (Jan Niecisław Baudouin de Courtenay) był wykładowcą na tamtejszej uczelni. A potem były szczęśliwe i też trudne lata szkolne w Krakowie, później burzliwe lata w Petersburgu, studia w tym mieście. Kolejny okres to czas pobytu w Wilnie. Żmudne badania etnograficzne oraz organizacja środowiska etnograficznego. Tu też habilitacja przedstawiona w 1922 roku na podstawie pracy o temacie „Św. Cecylia – przyczynek do genezy apokryfów” obroniona w Warszawie. W owych latach interesowała się i badała intensywnie kulturę ludową z jej przemianami, tak samo postępowała i tu, w śląskim Jaworzu. W jednym z listów pisała zafascynowana kulturą ziemi cieszyńskiej, że chciałyby zobaczyć tutejsze „wszystkie harce taneczne”. I dodajmy, że je zobaczyła choćby w czasie wiślańskiego Święta Gór, które odbyło się w okresie od 12 do 22 sierpnia 1937 roku. Jej listy z owych lat do wybitnego etnografa Adama Fischera wskazują, jak bardzo interesowała się kulturą ludową, a w tym także sztuką. Warto też zaznaczyć, że była członkiem Rady Związku Ziemi Górskich współorganizatora wspomnianej wiślańskiej imprezy. A na co dzień poza pracami syntetycznymi zachęcała do badania gęśliczek, naczyn mleczarskich, fujarek,

czy foremek do odciskania serów. Chodziła po wsiach i zarazem prowadziła otwarty dom. Babcia Cezaria w czasie londyńskich wakacji w 1966 opowiadała Pani Marcie, o troskach małżeństwa Courtenay'ów. Żyli wówczas swoimi pasjami, to jest etnografią i polityką, a także ustawiczną dyskusją o polskim patriotyzmie. Tym prawdziwym i o tym chorym, nacjonalistycznym, nasyconym szowinizmem i fobiami. O tym też rozprawiali ze swoimi licznymi gośćmi. W ich domu bywali Jan Piłsudski, brat Marszałka, były minister skarbu, Wacław Jędrzejewicz, brat gospodarza, słynny reformator oświaty, Ignacy Daszyński, też swego czasu premier, czy już dziś zapomniany Julian Piotr Eberhardt, były minister kolei żelaznych. Nie można też wykluczać obecności w ich domu Stanisława Ligonia, szefa przedwojennego radia w Katowicach czy Gustawa Morcinka. Wspominała o tym Maria Pilchowa, pisarka, niedoceniona dziś badaczka ziemi cieszyńskiej. Ona to mówiła, że Jaworze było przed wojną mekką dla śląskiej inteligencji. Z moich rozmów z panią Martą – też etnografką, jak jej babcia – zdaje się wynikać pewna fascynacja metodami badań wielkiej Cezarii. Często zastanawia się, czy jedynie fenomenologiczna refleksja jest właściwa, w pełni uzasadniona i uczciwa. Bo jej zdaniem fenomenologia nawołuje do odrzucenia wypracowanych już standardów po to, by przyjrzeć się światu takim, jakim się on jawi i jak jest postrzegany przez pierwotnych nosicieli danej kultury. Przy okazji warto zaznaczyć, że pełna biografia wielkiej Cezarii jest tematem przygotowywanej rozprawy pani Marty, rozprawy uzupełnionej osobistymi wspomnieniami i licznymi dokumentami rodzinnymi. ■



Wiadukt kolejowy w Wiśle Łabajowie. Fot. R. Neumann.



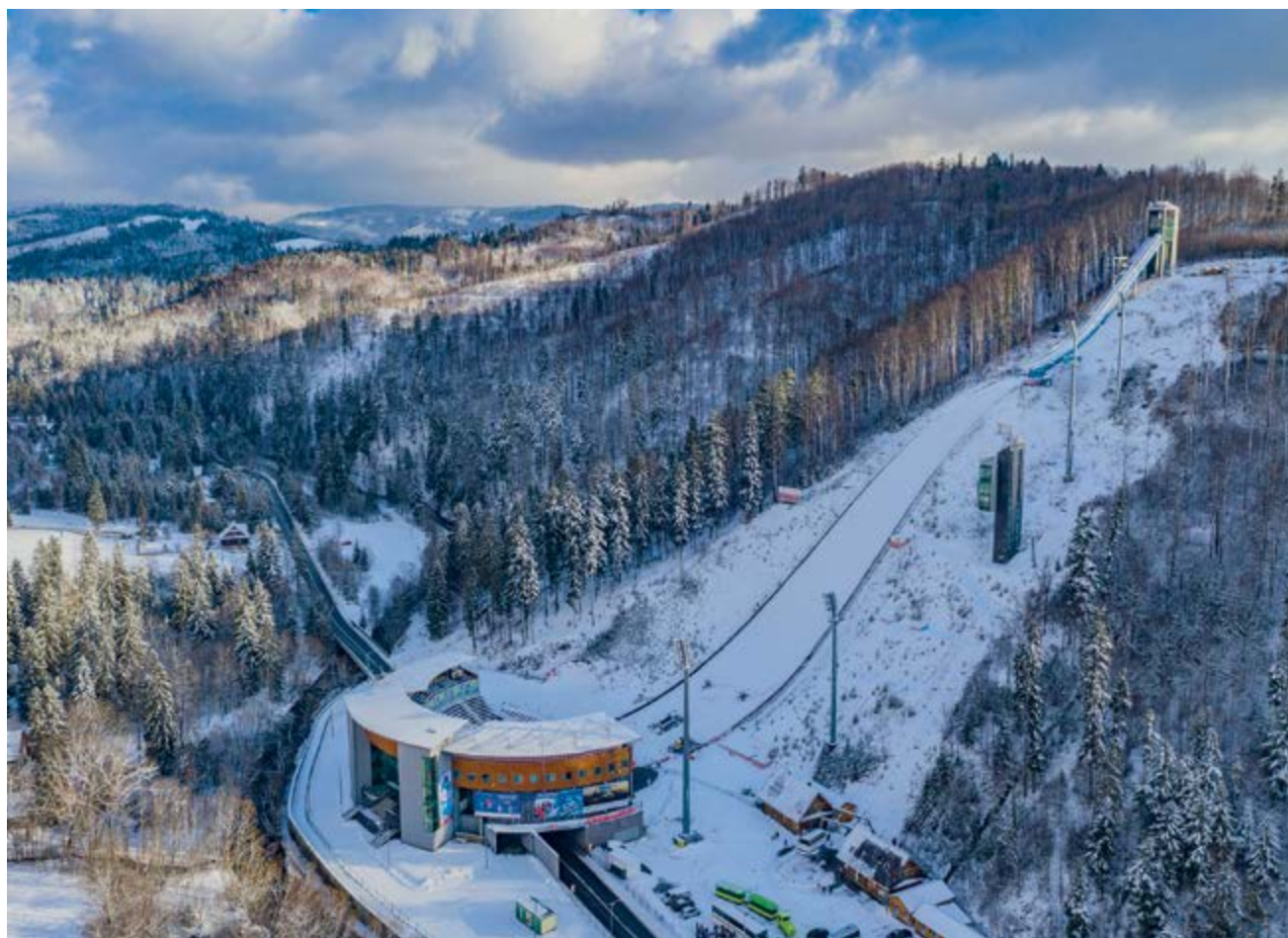
Zimowa panorama Beskidu Żywieckiego. Fot. Centrum Kultury i Sportu Rajcza.



Wyciąg narciarski na stoku Złotego Gronia w Istebnej. Fot. Jacek Kohut.



Centrum Wisły z widokiem na Czantorię. Fot. R. Neumann.



Skocznia narciarska im. Adama Malysza. Fot. R. Neumann.



Kulig w Wiśle. Fot. Adam Brzoza.



Okolice Rajczy zimą. Fot. Centrum Kultury i Sportu Rajcza.



Kulig w kierunku Stecówki w Istebnej. Fot. Marcin Machej.

300 lat demokracji w Europie (1722-2022)

ANDRZEJ JARCZEWSKI

Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” przygotowuje druk książki Andrzeja Jarczewskiego pt. **Wprowadzenie do etyki czasownikowej**. Jest to kolejny krok w rozwoju paradygmatu czasownikowego, prezentowanego ostatnio przez Autora m.in. rozprawą *The Verbal Philosophy of Real Time*, wydaną przez Cambridge Scholars w roku 2020. Wybieramy rozdział dalece niefilozoficzny, zawierający tezy mocno kontrowersyjne. A na końcu – zgodnie z preferowaną przez Autora zasadą stawiania sprawy na kapeluszu – dodamy *Wstęp*, który może coś wyjaśni, albo i... zaciemni. [Red.]

Narodziny demokracji z ducha muzyki

Trawestacja tytułu dzieła Nietzschego sygnalizuje, że będzie teraz więcej mniemanologii niż faktografii. Otóż uważam, że nowożytna demokracja Zachodu, poza kilkoma pozorami, ma niewiele wspólnego z duchem nietrwałej antycznej demokracji greckiej, prosperującej przez krótką dziejową chwilę dzięki niewolnictwu, przemocy, gospodarczemu wyzyskowi i dominacji Aten nad archipelagiem słabych państweczek po przypadkowo wygranych wojnach perskich.

Trójpodział władz – teoretyczny, choć nigdzie w pełni nierealizowany fundament demokracji republikańskiej – opracował Monteskiusz (1689-1755) nie na wzorach greckich, ale współczesnych sobie... muzycznych. W roku 1722 ukazało się genialne dzieło teoretyczne Jeana-Philippe’a Rameau: *Traktat o harmonii*. Już sam tytuł musiał zaintrygować Monteskiusza, który właśnie wydał *Listy perskie* i zastanawiał się nad harmonizacją wszelkich praw z warunkami, w jakich te prawa mają obowiązywać: obyczajami, religią, klimatem itd.

Choć sam Rameau (1683-1764) nie chciał być encyklopedystą, najsławniejsi pisarze epoki nazywali go mistrzem. Skończył zaledwie cztery klasy i poza muzyką świata nie widział. Nas interesuje to, że Rameau – jako pierwszy – skodyfikował system *dur-moll*. Dziś wydaje się, że nie ma nic prostszego i nie zastanawiamy się, ile tysięcy lat muzycy świata pracowali i cierpieli, by dojść – i to tylko w Europie – do takiej prostoty. Badano interwały, ale nie rozumiano funkcji trójdźwięków i ich przewrotów.

Teoria nie nadążała za praktyką. Równocześnie bowiem tworzyli: Vivaldi, Haendel, a przede wszystkim – Jan Sebastian Bach, który nowe wynalazki Rameau miał w jednym palcu i komponował takie arcydzieła, o jakich innym się nie śniło. Akurat w tym samym 1722 roku Bach stworzył encyklopedię praktyki klawiszowej, czyli pierwszą część epokowego dzieła *Das Wohltemperierte Klavier*. A jednak Bach nie cenił teorii. On to wszystko wypraktykował wcześniej, niż teoretycy o tym pomyśleli. Tak mają geniusze.

Monteskiusz nie znał rękopiśmiennych (do 1801) dzieł Bacha i nie przebrnął przez *Traktat o harmonii* Rameau. Ale obracał się wśród ludzi, którzy Rameau cenili (np. Wolter, d’Alembert) lub go nie znosili (Rousseau). Musiał więc w taki czy inny sposób dowiedzieć się, że w harmonii wszystko stoi na... trójdźwięku. I że Rameau opracował nowy, pasujący do systemu *dur-moll* strój muzyczny. I że ten strój wymaga swoistej równości: (prawie) równomiernej temperacji.

Przełomowe idee są rozwijane nie tylko na gruncie, na jakim się zrodziły. Interferują falami o różnej przenikalności i promieniu do innych dziedzin sztuki i do odległych dyscyplin cywilizacji. Również do kultury politycznej.

Monteskiusz pierwszy dostrzegł ponadmuzyczne znaczenie skodyfikowania harmonii i pierwszy docenił inspirujące różnicowanie ról kompozytora, wykonawcy i rodzącej się krytyki muzycznej, wydającej sądy o dziele. A o to walczył właśnie Rameau, szukający poważnego oparcia dla merytorycznej krytyki, bez której nie może być mowy o zdrowym rozwoju jakiegokolwiek sztuki! Rameau – często krytkowany niemerytorycznie – żądał tylko prawa do krytyki fachowej i szukał przekonującego uzasadnienia dla tegoż prawa. A to właśnie podchwycił jego rówieśnik – Monteskiusz.

Teoretycy ustroju powinni interesować się kulturą, bo wielkie inspiracje – niepojętymi drogami – przychodzą do polityki spoza polityki. Wewnątrz ideologicznej bańki idee są zwykle negacją poprzednich idei lubo też ich lichą reduplikacją. W najlepszym wypadku: imitacją, dialektycznie zmutowaną kopią.

Nowe inspiracje wnosi informatyka. Całe pokolenia inżynierów pracowały nad tym, by pisanie na komputerze było proste dla użytkownika. Ale to nie znaczy, że komputer ma być prosty. Zauważywszy to, łatwiej dostrzec inny problem. Jesteśmy bowiem przekonani, że ludzie są jakoś równi, ale na każdym kroku fakty temu przeczą. Jak to jest z tą równością? Próbę odpowiedzi daję w rozdz. 2.21, a tu ją zapowiadam. To nie ludzie są równi. To świat ma być równy dla nierównych ludzi. Miasto ma być proste dla krzywych obywateli, ale samo miasto może być skomplikowane. Prawo ma być proste dla pokrętnych, a nie pokrętne dla prostych.

Filozofia też powinna śmiało korzystać z dalekich inspiracji. Wyrządzamy krzywdę młodym ludziom, kierując ich na fakultety filozoficzne po maturze. To powinny być studia dla magistrów lub doktorów różnych specjalności. Filozofowie, zdolni tchnąć w filozofię nowe idee, muszą się na czymś jeszcze znać, by wyjść poza mentalny kserograf, polegający na międleniu komentarzy do komentarzy. Nawet przykłady są powielane, co gwarantuje stagnację.

Taki wniosek wyciągam na podstawie spóźnionych o pół wieku doktoratów i referatów, wygłaszanych przez niedoświadczającą inspiracji niefilozoficznych filozoficzną młodzież. Chów wsobny degeneruje filozofię. Kto tylko nadąza, a nie tworzy, skazany jest na wieczne nadażanie, czyli nienadażanie. Filozofia pierwszych dekad XXI wieku wciąż odrabia zaległości. W PRL-u kserowano na ogół sowiecki model filozofii marksistowskiej. W roku 1990 ci sami profesorowie przełączyli swoje kserografy na marksizm zachodni i zmuszają studentów do oglądania cieni we frankfurckiej jaskini. A co tam można kupić? *Copy* z kupy dzieł poprzedników! Tam już nie ma nic do odkopania, jeno kopy kóp cudzych kup.

Ale wracam do Rameau. Jego muzyka grywana jest dziś w największych salach koncertowych świata po niemal dwóch wiekach zapomnienia. Słucham nagrań, poszukując rozwiązań, wynikających z *Traktatu o harmonii*. Słyszę świetną muzykę. Jednak przy pełnym szacunku i podziwie dla teoretycznych osiągnięć tego kompozytora nie mogę nie odnotować drobnego braku. Otóż jest tam w najlepszym gatunku wszystko. Z wyjątkiem, hmm... geniuszu. U Rameau cały geniusz poszedł w teorię. U Bacha – w praktykę. A jednak to Rameau „pokonał” Bacha. Wyjaśnienie funkcji trójdźwięków pozwoliło synom Jana Sebastiana na porzucenie polifonii i powrót do – świadomej już siebie – homofonii.

W tym poniekąd „muzycznym” rozdziale wspomnę jeszcze o paru moich starszych publikacjach. Ośmieliła mnie wska-

zówka z *Zasad instrumentacji* Mikołaja Rimskiego-Korsakowa. Autor wyjaśnia, dlaczego owe *Zasady* ilustruje przykładami czerpanymi wyłączenie z dzieł własnych. To proste. Jeśli pominać aspekt praw autorskich i niedostępność partytur – kompozytor tylko we własnej twórczości może trafnie wskazać utwór i takt, w którym celowe, nieprzypadkowe zastosowanie znalazła taka czy inna zasada.

W początkowych pracach nad podręcznikiem Rimski-Korsakow zamierzał korzystać z kompozycji innych twórców. Zauważył jednak, że każdy z nich pracuje w innym systemie estetycznym, realizuje inne cele artystyczne i wybiera inne środki wyrazu. Trudno było z cudzych materiałów stworzyć w miarę spójny zbiór, więc jego wstępne prace nad *Zasadami* posuwały się powoli z wieloletnimi przerwami.

Ale u Rimskiego-Korsakowa zainspirowało mnie coś więcej. Píše on, że już w młodym wieku zamierzał jakoś ułożyć reguły, którymi powinien kierować się kompozytor operowy. Choćby tylko dla siebie, by poprawnie instrumentować swoje dzieła. Później jednak wpadł na pomysł jeszcze ciekawszy: **tak komponować opery, by kiedyś można było na ich podstawie napisać kompletny podręcznik zasad instrumentacji!** I dokonał tego, choć publikacji swego dzieła nie doczekał. Dał tym jednak cenną wytyczną o charakterze metodologicznym: „twórz tak, żeby cały twój dorobek ułożył się w spójny system i pokaż wynik!” Przyjąłem tę wytyczną do realizacji w swoich książkach i kontynuuję to dziełkiem niniejszym.

Oper Rimskiego-Korsakowa już się prawie (poza Rosją) nie wystawia, choć niektóre z nich to arcydzieła, natomiast wyłożone przez kompozytora zasady instrumentacji i harmonii stanowią do dziś (w swojej kategorii) coś w rodzaju elementarza. Metoda Rimskiego-Korsakowa pozwala mi nie cytować dzieł obcych bez szczególnej potrzeby, zwłaszcza że na temat rozpatrywanych tu zagadnień napisano przez wieki tyle, że sama bibliografia przedmiotowa zajęłaby więcej miejsca niż cała ta książka. A znów o metodzie czasownikowej nikt po Arystotelesie nie napisał nic takiego, co by należało odnotować.

Na różnych stronach tej książki: wśród inspiracji, kształtujących metodę, wymieniałem dyfamację gliwicką, teorię automatów (logikę), metodologię, fizykę kwantową, matematykę i lingwistykę, bo w tych dziedzinach pobierałem solidniejsze nauki przed samodzielnymi studiami filozoficznymi. A te studia nie polegały na systematycznym poznawaniu dzieł każdego mędrca, lecz na śledzeniu rozwoju zagadnień najważniejszych z punktu widzenia głównego zadania filozofii, która – jak to odczytuję – jest odwiecznym pochodem umysłów ku dobru. Odrzucam jednak naiwny meliorizm w odniesieniu do jednostki. Człowiek jest, jaki jest. Filozofia go nie poprawi. To nasza cywilizacja staje się coraz lepsza. Dla ludzi takich, jacy są, komponuje funkcje skomplikowanych instytucji, których celem jest powolne upraszczanie i ulepszenie życia „prostych i pokretnych”.

Zagadnieniem **dobra** po raz pierwszy zająłem się w rozprawie o ustroju pt. *Europoliteja* (Wydawnictwo Dante, 2007). Pojęcie ‘dobra’ zdefiniowałem tam bezokolicznikowo: *nie umrzeć i nie cierpieć*. Metoda czasownikowa pozwoliła później wyeliminować konflikt między pojęciami ‘dobro’ i ‘prawda’ poprzez jednoznaczne wskazanie relewantnych w każdej społecznej sytuacji: konkretnych czynności i stanów, a nie abstrakcji. Niektóre zagadnienia, sygnalizowane m.in. w *Europoliteji*, aktualizuję i rozwijam tu.

Z kolei **piękno** wymagało zupełnie innej formy niż rozprawa filozoficzna, bo i natura tego zagadnienia niespecjalnie poddaje się zimnym rozważaniom. Wybrałem formę powieści (*Selma*, Wydawnictwo Pokolenie, 2012), a sam problemat ulokowałem w dwóch zjawiskach, które – jako mnie-

mam – są biegunami piękna na Ziemi: **nie** w kosmosie, geometrii, liczbach, kwiatach i kotach, ale: w muzyce i w syntezie wszystkich wymienionych i nieogarnionych piękń: w dziewczynie. Czasownikowe ujęcie tych kwestii realizuje się w tej powieści poprzez próbę odpowiedzi **nie** na pytanie o naturę muzyki i dziewczyny, ale: co się w naszych umysłach dzieje, gdy dotyka nas (dosłownie) piękno absolutne. I czym się to przejawia, jak wpływa na decyzje indywidualne i relacje społeczne. Zero psychologizowania; 100% praktyki czasownikowej teorii możliwości i ruchów Browna.

Odrzucam klasyczne opisy muzyki i piękna kobiecego ciała (ręczownicy). Przedmiotem *Selmy* są działania (czasowniki) pod wpływem tego, co sami uważamy za piękno nieskończone. By jednak oddalić posądzenie o lubieżność zapodają, że „te rzeczy” działy się w stanie wojennym, gdy wszyscy – narrator i bohaterowie – młodzi byliśmy boleśnie. Ucieleśnienie idei tam badam. Idei, która początkowo sprawia wrażenie ideału, po czym, paraliżując władze umysłowe kolejnych ofiar, staje się seryjną gwałcicielką, obezwładnia uwiedzionych tudzież nawiedzonych i wiedzie ich wraz z sobą – czasownikowo – ku nieuchronnej katastrofie. To zagadnienie badam na przykładzie muzyki rockowej, granej wówczas w gliwickich garażach. Robię to pod wpływem piękna, nie: komunizmu, bo ten mnie nie uwiódł ani nie zawiódł.

Na początku była muzyka! Do nowożytnej europejskiej demokracji doszliśmy poprzez europejską polifonię i harmonię muzyczną. Nie przez Ateny i nie przez polską – skądinąd godną podziwu – demokrację szlachecką, o której opłacani przez Prusy i Rosję encyklopedyści (Wolter, Diderot i – niestety – trochę zdezorientowany Monteskiusz) wypisywali polonofobiczne bzdury. Z Grecji nowożytna demokracja wzięła tylko terminologię, przydatki i pozory.

Platon nie cenił demokracji. Wiedział, że wszelkie przewroty polityczne zaczynają się od drobnych zmian w muzyce. Bo muzyka obyczajów nie łagodzi. Miałem 13 lat, gdy nastąpił wybuch Beatlesów (1963) i wiem, że w tej kwestii Platon się nie mylił. Porzuciłem klawiszową szkołę muzyczną i bez reszty oddałem się gitarze, a ponieważ nie było wtedy wzmacniaczy – zostałem młodocianym elektronikiem i lutowałem je sam. Ale nie byłem w tym sam. Tak robiła cała nastoletnia Europa. I od tego świat znów się zmienił.

Oto kilku profesorów Wydziału Elektrycznego Politechniki Śląskiej zauważyła nagły wzrost zainteresowania elektroniką wśród młodzieży i doprowadza – w roku 1964! – do powołania pierwszego w Europie Wydziału Automatyki, Elektroniki i Informatyki. To były czasy siermiężnego Gomułki, a w Gliwicach powstaje ogromny, wizjonerski budynek Wydziału Automatyki, gdzie przez następne pokolenia kształcą się inżynierowie. Oni zmieniają Śląsk! Rzecz jasna – nie sugeruję, iżbyśmy gliwicką Automatykę zawdzięczali Beatlesom. Raczej: zapanaowała atmosfera, która inspirowała i jednych, i drugich. I trzecich.

Teżę o źródłach ustrojów euroamerykańskich formułuję na podstawie raczej intuicji niż twardych faktów (załączek koncepcji „Narodzin demokracji z ducha muzyki” opublikowałem w „Kulturze Liberalnej” nr 10/2013). Cały proces widzę jako *genesis* z *ducha* harmonii, gdzie każdy głos ma swoją funkcję i prawo do ekspresji, a wszystkie razem, korzystając z rozszerzającego się zakresu wolności, ale i gwarantującej bezpieczeństwo dyscypliny, dążą do wspólnego dobra, „tolerując obok siebie różne obrazy i pojęcia”. I nie tolerując chaosu, niestabilności i dysharmonii.

– *Dopowiedz jednak i to, osobliwy cudzoziemcze: ile lud musiał wycierpieć, nim mógł stać się tak pięknym!*

Tako rzecze Nietzsche, kończąc swoje dzieło.



Wstęp

Stara jabłoń, która długo i wspaniale owocowała, przestaje rodzić. Jeszcze niby silna, zdrowa, nadzwyczajnie rozrośnięta, ale od lat jedyną jej funkcją jest zajmowanie miejsca w sadzie i zabieranie światła innym uprawom... Co robi ogrodnik? Może ją wyciąć, ale może też zauważyć, że z dawnych owoców tej jabłoni na dalekich ugorach wyrosły już nowe sady, że tam pojawiają się coraz piękniejsze odmiany, że stare gałęzie można zaszczerpić nowymi pędami...

Taka jest filozofia. Przez tysiąclecia wydawała z siebie różne nauki. Niektóre z nich mają dziś wartość zeschniętych liści, inne wydają plony stukrotne. Natomiast sama filozofia już niczego – na miarę dawnych systemów – nie tworzy. Zajmuje się sobą, swoją historią, śpiewa własną, stale tę samą pieśń.

Prowadząc dalej sadowniczą metaforę, podejmę próbę ożywienia dostojnego drzewa filozofii poprzez zaszczerpienie gałązkami, wyrosłymi niegdyś z jej własnych owoców w innych ogrodach, na innym gruncie. Tu skorzystam z osiągnięć dwóch nauk szczegółowych: lingwistyki i informatyki. Pierwszą filozofowie znają dobrze; druga jest najdorodniejszą córką logiki klasycznej. Odwołam się też do innych nauk, ale te dwie wyróżniam, bo je solidnie poznałem. Zbudują one nowy, czasownikowy paradygmat filozofii czasu rzeczywistego.

Co nowego proponuję w niniejszej rozprawie? W **Części 1. Aletyka** badam prawdę w roli atrybutu **informacji istotnych**, czyli takich, na podstawie których podejmujemy decyzje. To jest ważna kategoria w epoce baniek informacyjnych, zawierających już w sobie nasze decyzje, rezultatywnie zaszyte we właściwościach zestawu dostępnych danych. Stosuję tu metodę czasownikową, nakazującą wybrane pojęcia abstrakcyjne wyrażać za pomocą 'nazw czynności', relevantnych w danej sytuacji. Rozpatruję czyny i ich rezultaty, nie postulaty.

Z informatyki czerpię – kluczowe dla tej pracy – rozumienie czasu rzeczywistego jako odcinka czasu zegarowego, który ma początek i koniec, ale nie ma środka. Z automatyki biorę pojęcie stabilności i sprzężenia zwrotnego. Z metrologii – teorię błędów pomiarowych i tolerancji; z fizyki kwantowej – zasadę Heisenberga; dalej – ruchy Browna i in.

Przez dwa i pół tysiąca lat po Platonie usiłujemy zrozumieć i zdefiniować trzy – formujące cywilizację europejską – pojęcia, nazywane rzeczownikami: **'prawda', 'dobro' i 'piękno'**. Nie szło nam w tej materii za dobrze. O brak zadowalających wyników możemy oskarżyć nasz własny mózg, który darzy rzeczowniki niesprawiedliwymi przywilejami. Mózg. Nie umysł. Hardware, nie software. Mózg człowieka inaczej przetwarza rzeczowniki, a inaczej czasowniki. Różne części mowy mają swe „magazyny” w dalekich od siebie zakamarkach. Impulsy z wielkiej składnicy milionów rzeczowników przybiegają szybciej niż z drobnego schowka tysięcy czasowników. Dziecko łatwiej uczy się rzeczowników niż czasowników; podobnie dorosli, gdy poznają języki obce.

Neuronauki badają odmienności w funkcjonowaniu prawej i lewej półkuli. Nauka wyjaśniła też, czym mózg kobiety różni się od mózgu mężczyzny. Wiemy nawet, że mówiąc prawdę, aktywizujemy inne obszary mózgu niż wtedy, gdy kłammy. Na razie jednak różnice w przetwarzaniu części mowy nauka traktuje jako uboczną ciekawostkę. Tymczasem kwestia niejednakowego czasu dostępu do procesora całych kategorii wyrazów i związków wyrazowych w językach różnych typów może mieć dla filozofii (i nauki?) znaczenie przełomowe.

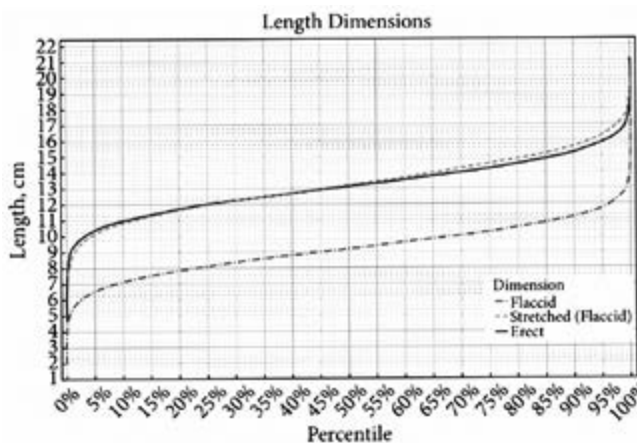
Stawiam hipotezę, że kluczem do pewnych problemów filozoficznych mogą okazać się rzeczowniki, do innych – czasowniki. Nie wiem jednak, która część mowy jest poznawczo bardziej efektywna względem których zjawisk czy zagadnień. Pojęcia nazywane rzeczownikami abstrakcyjnymi badam więc czasownikami (*et vice versa*), bo wtedy mogą ujawnić się nowe perspektywy, przekraczające ograniczenia, które sami sobie nałożyliśmy paradygmatem danej części mowy.

Filozofia ma sens wtedy, gdy poprawnie stawia i próbuje rozwiązać problemy filozoficzne. Nie wtedy, gdy po raz set-

ny zadaje to samo pytanie, bo to by świadczyło o jej zastojach. Każdy problem należy postawić w sposób właściwy dla danej epoki i w sposób godny tej epoki rozwiązywać. Pora więc sprawdzić, co możemy już teraz osiągnąć metodą czasownikową, a przy okazji sformułować postulat, by nauka zintensyfikowała wieloaspektowe badania nad przetwarzaniem części mowy i różnych parametrów języka przez *hardware* człowieka. To może dać nowy impuls nie tylko filozofii.

Kolejne ważne *novum* tej pracy to analiza różnych uszeregowania, poprzez którą buduję **wielowymiarową koncepcję osoby w społeczeństwie**. W **Części 2. Agatyka** korzystam z jakościowej analizy kontinuu, o której teraz pokrótce opowiem. Wyobraźmy więc sobie kompanię honorową. Różnica wzrostu między pierwszym a ostatnim nie przekracza kilku centymetrów.

Gdybyśmy jednak ustawili wszystkich mężczyzn w podobny sposób, okazałoby się, że z prawej strony szeregu mielibyśmy paru gigantów, a z lewej staliby niskorośli. Cały środek wypełniałby lekko nachylona, niemal prosta linia głów. Z powodów, które wyjaśnią się na dalszych stronach, metodę analizy kontinuu społecznych przybliżę teraz na przykładzie uszeregowania nie według wzrostu, ale według długości ludzkich penisów:



Uszeregowanie mężczyzn (pow. 17 lat) wg długości penisa

Wykres pobrałem z internetowego wydania *Science*. Omówiono tam artykuł opublikowany w *British Journal of Urology International*. Jest to syntetyczne opracowanie siedemnastu wcześniejszych pomiarów naukowych na próbie (łącznie) 15.521 mężczyzn z różnych stron świata. Zainteresowanych merytoryką tego zagadnienia odsyłam do wyszukiwarki www, natomiast tu zwrócę uwagę na formę prezentacji danych.

Otóż całą badaną populację ustawiono według narastania pewnej cechy. Na osi pionowej zaznaczono wybrany parametr w centymetrach, a na osi poziomej – percentyle. Ta forma wykresu pozwala łatwo dostrzec trzy główne odcinki: bliską pionu lewą stronę, lekko narastającą część środkową i zbliżającą się do pionu stronę prawą. W ten sposób – nieświadomie – budujemy w sobie pojęcie ekstremów i społecznej normy (tu: wokół mediany $L \approx 13$ cm).

Analiza setek tego typu uszeregowania (wykres na okładce) pozwala uwolnić się od ideologicznego dogmatu o „równości” wszystkich ludzi, bo ten postulat z góry zamyka całe pola badawcze w filozofii. Medycyna i niektóre inne nauki odrzucają tego rodzaju uprzedzenia kategorycznie. Lekarze zapisują każdemu pacjentowi takie dawki leków, jakie uważają za właściwe. Znają różnice między osobami starymi i młodymi, między kobietami i mężczyznami. Trudno wyobrazić sobie chirurga, który każdemu tnie „po równo”. A znów fryzjera – stosującego się do sezonowej mody – łatwo. Filozofia fryzjerska wyraża zmienne mody intelektualne; praktyka medyczna też się zmienia, ale nie w zależności od mody, lecz na podstawie wiedzy. Więcej o tym napiszę w rozdz. 2.21, a teraz zapowiadam tylko, że cała ta praca jest rezultatem analizy opomiarowanych (wirtualnie) nierówności pod różnymi względami.

Dlaczego zabytki kultury powinny pozostać we Lwowie i na Kresach?

Problem dziedzictwa kresowego

ANTONI WILGUSIEWICZ

Uważam za niesłuszne i krótkowzroczne żądanie rewindykacji polskich zbiorów muzealnych znajdujących się w muzeach i innych miejscach ekspozycji na terenie Lwowa i innych miejscowościach dawnych Kresów Wschodnich. Dlaczego?

I. Część pomników, zabytków, zbiorów najbardziej charakterystycznych dla kultury polskiej, jak Panorama Racławicka, została przekazana Polsce już po wojnie. Do dziś część z nich nie doczekała się należytej ekspozycji, jak np. Panorama Plastyczna Dawnego Lwowa autorstwa Janusza Witwickiego, której część rozkradziono, a obecnie czeka ona na godne miejsce eksponowania we Wrocławiu – ponad 75 lat po przewiezieniu jej do Polski. Do tej pory nie ma nawet Muzeum Kresów, bo trwają kłótnie, gdzie ma się ono znajdować; zakładając więc hipotetycznie, że owe zbiory – i to w dużej ilości – zostałyby zwrócone, pojawia się problem gdzie i w jakiej formie byłyby eksponowane. Nie chodzi chyba o to, żeby zamknąć je w magazynach!

II. Pojęcie rewindykacji dotyczy zbiorów wywiezionych, czyli inaczej zagrabionych – tak jak np. do dzisiaj znajdujące się w Szwecji dzieło Kopernika *O obrotach sfer niebieskich*. Czy ktoś występuje o jego rewindykację? Zbiory lwowskie znajdują się – na ogół – w miejscach, dla których były przeznaczone i świadczą one o bogatej, przede wszystkim polskiej historii tych miejsc. Czy będziemy domagać się zwrotu pomnika Mickiewicza we Lwowie, czy będziemy namawiać Polaków lwowskich do przeniesienia się do Polski w obecnych granicach? Byłoby to równie nierozsądne, jak żądanie

rewindykacji owych zbiorów, na miejsce których w lwowskich muzeach pojawiłyby się wyszywanki z Podola i pisanki z Kołomyji.

III. Czego możemy i powinniśmy się domagać?

1. Należytej ochrony i dobrych warunków eksponowania tych dóbr kultury, jakie pozostały na Kresach. Tak na przykład należy głośno i wyraźnie artykułować żądania powrotu do kościoła św. Wawrzyńca w Żółkwi obrazów historycznych, które stamtąd zabrano, związanych z Żółkiewskim i Sobieskim oraz ich zwycięstwami.

2. Prawdziwych opisów zbiorów – zarówno w piśmie, jak i mowie, prezentowanych w miejscach ich ekspozycji – podkreślających ich związek z historią

i kulturą polską; ważne jest ich przedstawianie także w języku polskim, a nie tylko ukraińskim i często angielskim.

3. Pełne udostępnienie dóbr kultury różnego typu – także źródeł historycznych – polskim badaczom, a także zainteresowanym nimi Polakom, przede wszystkim młodzieży, na miejscu na Ukrainie, a także w formie udostępniania na wystawy w Polsce.

Pomijam oczywiście fakt zupełnej nie-realności żądań rewindykacji – zwłaszcza pełnej, na które strona ukraińska z pewnością się nie zgodzi. Naciskać możemy i powinniśmy w tak trudnych problemach jak ekshumacja ofiar ludobójstwa, a nie żądać ogołocenia Lwowa z resztek polskości które się tam jeszcze znajdują! ■



NOTATNIK KULTURALNY



Redaguje:
Anna Gaitoer

Demografia

WARSZAWA. Główny Urząd Statystyczny opublikował dane dotyczące sytuacji demograficznej Polski w 2020 r. Kształtowała się ona pod wpływem pandemii wywołanej wirusem SARS-CoV-2. W końcu 2020 r. liczba ludności Polski wyniosła 38 265 tys., tj. o prawie 118 tys. mniej niż w końcu 2019 r. Niekorzystne wskaźniki umieralności wraz z bardzo niskim poziomem urodzeń w 2020 r. przyczyniły się do rekordowo niskiego poziomu przyrostu naturalnego. Jego ujemna wartość była ponad trzykrotnie wyższa niż w 2019 r., kiedy to odnotowywano ubytek na poziomie 9 osób na 10 tysięcy ludności. Dla porównania w okresie wyżu demograficznego lat 50. na każde 10 tysięcy osób przybywało ok. 200 osób, natomiast w latach 80 – ok. 100.

W 2020 r. zarejestrowano 355 tys. urodzeń żywych, tj. o prawie 20 tys. mniej niż w 2019 r. Jednocześnie wzrosła liczba zgonów – zmarło ponad 477 tys. osób, tj. o ponad 68 tys. więcej w stosunku do poprzedniego roku. Zatem w 2020 r. liczba urodzeń była o ponad 122 tys. niższa od liczby zgonów.

Średnia długość życia w Polsce

WARSZAWA. Ostatni raport opublikowany przez GUS podaje następujące fakty – zestawiając rok 2020 z poprzednim 2019 rokiem, przeciętna długość życia skróciła się o 1,5 roku wśród mężczyzn, o 1,1 roku u kobiet.

Średnia długość życia człowieka jest bardzo zróżnicowana w zależności od zamieszkiwanego województwa. Najkrócej żyją mężczyźni zamieszkujący województwo łódzkie (71,1 roku). Najdłużej ci, którzy korzenie zapuścili w województwie małopolskim (73,8) i podkarpackim (73,7 roku).

Najkrótsze życie w wieku emerytalnym według raportu mają kobiety w województwie łódzkim (79,6 roku). Najdłużej zaś żyją te w podlaskim i podkarpackim – kobiety dożywają tam średnio 81,9 oraz 81,8 roku.

Na tle innych regionów województwo śląskie wypadło wyjątkowo słabo. Na tym obszarze średnia długość życia w przypadku panów jest krótsza od średniej krajowej o 1,2 roku, zaś kobiety dożywają o 1,6 roku mniej niż wynosi średnia krajowa mieszkanki innych regionów Polski.

Działalność badawczo rozwojowa

WARSZAWA. W 2020 r. w działalność badawczo-rozwojową zaangażowanych było **6381** podmiotów, tj. o 8,8% więcej niż w roku poprzednim. Nakłady krajowe brutto na działalność B+R (GERD) wyniosły **32,4 mld zł** i zwiększyły się w skali roku o 7,0%. Najwyższe nakłady na badania naukowe i prace rozwojowe poniósł sektor przedsiębiorstw – wyniosły one 20,4 mld zł i stanowiły 62,8% nakładów krajowych brutto na działalność B+R. Ponad jedna trzecia ogólnej wartości nakładów wewnętrznych na prowadzenie projektów B+R przypadła na sektor szkolnictwa wyższego, którego nakłady wyniosły 11,3 mld zł. Na badania podstawowe przeznaczono środki w wysokości 10,8 mld zł, a na badania stosowane – 5,1 mld zł. W 2020 r. blisko połowa nakładów poniesionych na prowadzenie działalności badawczej i rozwojowej była związana z naukami inżynierskimi i technicznymi. Udziały pozostałych dziedzin B+R w nakładach na działalność badawczą i rozwojową wyniosły: nauki przyrodnicze – 23,3%, nauki medyczne i nauki o zdrowiu – 12,5%, nauki społeczne – 6,6%, nauki rolnicze i weterynaryjne – 4,1%, nauki humanistyczne i sztuka – 3,8%. Największą część nakładów na działalność badawczą i rozwojową przypadła na województwo mazowieckie (36,4%), następnie – małopolskie (14,1%), natomiast najmniejsza – na województwa opolskie i świętokrzyskie (po 0,8%) oraz lubuskie (0,7%). W 2020 r. personel zaangażowany w działalność badawczą i rozwojową liczył 283,4 tys. osób, tj. o 4,6% więcej niż w roku poprzednim. Analiza sektorów wykonawczych wykazała, że największą liczbą osób posiadających co najmniej tytuł naukowy doktora charakteryzował się sektor szkolnictwa wyższego, w którego projekty badawczo-rozwojowe zaangażowanych było 77,5 tys. osób z takim poziomem wykształcenia. Najwyższą liczebność personelu zaangażowanego w działalność badawczą i rozwojową odnotowano w województwach mazowieckim (84,6 tys. osób) oraz małopolskim (38,6 tys. osób).

Śląsko-Małopolska Dolina Wodorowa

KATOWICE. 31 stycznia 2022 r. w Muzeum Śląskim w Katowicach z inicjatywy Agencji Rozwoju Przemysłu SA została powołana przez przedstawicieli samorządów, uczelni wyższych, spółek paliwowych i energetycznych Śląsko-Małopolska Dolina Wodorowa. Członkowie będą wspólnie działać w kierunku upowszechnienia wodoru jako paliwa przyszłości w transporcie zawodowym oraz energetyce. Polska jest trzecim w Unii Europejskiej, a piątym na świecie producentem wodoru. Powstanie Śląsko-Małopolskiej Doliny Wodorowej wpisuje się w Polską Strategię Wodorową opublikowaną w grudniu 2021 oraz jest istotnym krokiem w stronę innowacyjności i dekarbonizacji polskiej gospodarki. Wodór może mieć szerokie zastosowanie w energetyce, ciepłownictwie, przemyśle i transporcie. Członkowie założyciele Śląsko-Małopolskiej Doliny Wodorowej to osoby związane ze środowiskiem biznesowym, naukowym i samorządowym obu regionów. Prace związane z jej tworzeniem koordynuje katowicki Oddział ARP SA. Autobusy wodorowe to także autobusy elektryczne, ale w odróżnieniu od bateryjnych z ładowanymi akumulatorami, posiadają minielektrownie na pokładzie. Tam – za sprawą zachodzącej reakcji chemicznej wodoru – w ogniwie paliwowym produkowany jest prąd zasilający autobus. To korzystne rozwiązanie dla pojazdów obsługujących długie linie komunikacyjne – autobusy wodorowe nie wymagają tak rozbudowanej sieci ładowarek, mają też większe zasięgi niż pojazdy na baterie litowo-jonowe.

Property Forum Śląsk

KATOWICE. Property Forum Śląsk, to wydarzenie towarzyszące 4 Design Days które odbyło się w dniach 27-28 stycz-

nia 2022 r. w Międzynarodowym Centrum Kongresowym w Katowicach.

Uczestnicy konferencji, paneli i spotkań dyskusyjnych rozmawiali i spierali się w wielu bardzo interesujących kwestiach, jak np.: Jakich inwestycji potrzebują śląskie miasta, aby przyciągać największych światowych graczy? Jak wzmacniać przewagę konkurencyjną regionu? Tempo wzrostu rynku biurowego w Katowicach jest imponujące, jednak pandemia koronawirusa była punktem zwrotnym dla całej branży. Informatyka, telekomunikacja, biotechnologia, energetyka, nanotechnologia – gdzie zaczyna się innowacyjność? Czy śląskie uczelnie odpowiadają na potrzeby rynku pracy? Poziom bezrobocie, wynagrodzenia, perspektywy? Liczne konferencje i wydarzenia o światowej skali nakręcały ruch turystyczny i sprzyjały rozwojowi biznesu hotelowego w Katowicach. Branża jednak gwałtownie wyhamowała. Nie tak dawno katowicka konurbacja była postrzegana w sposób bardzo stereotypowy – jako szare, postindustrialne miejsce na mapie Polski. Jak dziś żyje się na Śląsku? Co oferuje region swoim mieszkańcom? Jak skutecznie rewitalizować i przywracać mieszkańcom poprzemysłowe tereny? Jak mieszka się w GZM? Wielkie galerie, kompaktowe centra i parki handlowe czy renesans ulic? Jaka będzie przyszłość handlu na Śląsku? Sektor magazynów trzyma świetny poziom, a Śląsk z doskonale skomunikowanym transportem drogowym, kolejowym i lotniczym przyciąga inwestorów. Co z dostępnością terenów inwestycyjnych? Jakich lokalizacji szukają deweloperzy i najemcy? O jakie kluczowe elementy należy zadbać?

Narodowy Dzień Powstań Śląskich

KATOWICE. Sejmik Województwa Śląskiego Uchwałę z dnia 24 stycznia 2022 zwracił się do Pana Prezydenta z apelem o podjęcie inicjatywy ustawodawczej zmierzającej do ustanowienia w dniu **16 lipca** nowego święta państwowego – **Narodowego Dnia Powstań Śląskich**. Tego dnia, 16 lipca 1922 roku, został w Katowicach uroczystie podpisany Akt Objęcia Górnego Śląska przez Polskę. Celem ustanowienia Narodowego Dnia Powstań Śląskich jest upowszechnienie wiedzy o trzech powstaniach śląskich, których efektem był powrót części Górnego Śląska do Polski i ukształtowanie się zachodniej granicy II Rzeczypospolitej. Latem 1922 roku wojska polskie zaczęły stopniowo przejmować przyznaną Polsce część terenu plebiscytowego. Kulminacja tego procesu odbyła się 16 lipca 1922 roku, kiedy na katowickim rynku zorganizowano wielką uroczystość połączenia części Górnego Śląska z Macierzą. Podpisano wówczas Akt Objęcia Górnego Śląska przez Polskę. Po wielowiekowej rozłące część Górnego Śląska wróciła do Macierzy. Był to końcowy akt formowania odradzającego się państwa polskiego oraz kształtowania jego zachodniej granicy. Druga Rzeczpospolita zyskała więc nie tylko zasobny i nowoczesny okręg przemysłowy o ogromnym potencjale ekonomicznym i gospodarczym, ale co ważniejsze obszar, który okazał się silnym bastionem patriotyzmu. Naszym obowiązkiem jest kultywowanie pamięci i oddanie hołdu bohaterom, którzy przywrócili Śląsk Polsce. Ich bezprzykładne męstwo i poświęcenie wzbudza najwyższy szacunek i wyrazy uznania. Z dumą możemy dziś spojrzeć w przeszłość, wspominając wydarzenia sprzed wieku, jako wzór patriotyzmu dla współczesnych i drogowskaz dla przyszłych pokoleń Polaków.

Uchwała Sejmiku Województwa Śląskiego z dnia 13 grudnia 2021 r. w sprawie przyjęcia oświadczenia dotyczącego 40. rocznicy wprowadzenia stanu wojennego

KATOWICE. Czterdzieści lat temu ówczesne władze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej wprowadziły stan wojenny w odpowiedzi na narastającą falę społecznego niezadowolenia wynikającego z ograniczonych praw obywatelskich, pogarsza-

jącej się sytuacji gospodarczej oraz represji wobec osób zaangażowanych w działalność antykomunistyczną. Skutkiem wprowadzenia stanu wojennego była między innymi likwidacja Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”, internowanie działaczy, co doprowadziło do masowych protestów wyrażających się podejmowaniem akcji strajkowych, zwłaszcza w dużych zakładach przemysłowych. Spontaniczny opór społeczny spotkał się z natychmiastową, brutalną akcją pacyfikacyjną Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej, oddziałów Ludowego Wojska Polskiego wspomaganych przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. (...) Szczególnie tragicznego wymiaru nabrały wydarzenia na terenie Śląska – otwarto ogień do górników w Kopalni „Manifest Lipcowy” w Jastrzębiu-Zdroju, gdzie raniono cztery osoby oraz w Kopalni „Wujek” w Katowicach, gdzie w wyniku bezpośredniego starcia zginęło sześciu górników, dalszych trzech zmarło później w wyniku odniesionych ran. W bólu i w zadumie wspominamy ofiary tych bratobójczych walk: Józefa Czekalskiego, Józefa Gizę, Ryszarda Gzika, Bogusława Kopczaka, Zbigniewa Wilka, Zenona Zajacę, Andrzeja Pełkę, Joachima Gnidę i Jana Stawisińskiego. Hołd oddajemy pozostałym ofiarom tej tragedii, osobom, które doznały uszczerbku na zdrowiu, zostały aresztowane i skazane na kary pozbawienia wolności. Pamiętamy także o górnikach Kopalni „Piast” w Bieruniu i „Ziemowit” w Łędzinach, którzy podjęli najdłuższy w stanie wojennym strajk pod ziemią zakończony w dramatycznych okolicznościach 28 grudnia 1981 roku. Apelujemy o refleksję i godne uczczenie pamięci wszystkich, którzy w czasie ciemnej nocy stanu wojennego nie traciли nadziei, nie zaprzestali działalności opozycyjnej, których świadectwem braku przyzwolenia na zło była niejednokrotnie najwyższa ofiara złożona na ołtarzu Ojczyzny.

Rok 2022 Rokiem Stulecia Powrotu Części Górnego Śląska do Polski

KATOWICE. Sejmik Województwa Śląskiego w dniu 13 grudnia 2021 r. pojął Uchwałę w sprawie ogłoszenia roku 2022 – Rokiem Stulecia Powrotu Części Górnego Śląska do Polski.

Uchwała Sejmiku Województwa Śląskiego z dnia 15 listopada 2021 r. w sprawie ogłoszenia roku 2022 Rokiem Rzemiosła w Województwie Śląskim.

KATOWICE. Ogłasza się rok 2022 Rokiem Rzemiosła w Województwie Śląskim.

Apel Sejmiku Samorządowego do mieszkańców Województwa Śląskiego

KATOWICE. Sejmik Województwa Śląskiego w dniu 24 stycznia 2022 r. wystosował następujący **Apel do mieszkańców województwa śląskiego**.

Wobec nasilania się pandemii COVID-19 w całym kraju, codziennie tysięcy zachorowań i setek zgonów z tego powodu oraz narastającego przeciążenia systemu ochrony zdrowia, my, Radni Województwa Śląskiego, apelujemy do wszystkich mieszkańców województwa śląskiego, którzy jeszcze nie zaszczepili się przeciwko COVID-19, aby bezzwłocznie to uczynili. Szczepienia są naukowo potwierdzonym, najlepszym i bezpiecznym sposobem zapobiegania ciężkiemu przebiegowi COVID-19 oraz hospitalizacjom i zgonom z jego powodu. Wobec narastania odsetka zakażeń szczególnie zakaźnym wariantem Omikron, apelujemy również do wszystkich już zaszczepionych dwoma dawkami o przyjęcie dawki przypominającej szczepionki, kiedy tylko będzie to ze względów medycznych wskazane, co jest niezbędne dla jak najlepszej ochrony przed tym wariantem koronawirusa.

Spodek ma już ponad 50 lat

KATOWICE. W 2021 roku przypadło 50-lecie działalności katowickiego Spodka, które było okazją do świętowania przez cały rok. 8 maja 2021 nadawało online „Studio Spodek”, z którego wyemitowane został szereg rozmów i produkcji przybliżających historię Spodka.

Z okazji 50 jubileuszu Spodka zarządca obiektu – PTWP Event Center – w ciekawy sposób przybliżył fakty z historii obiektu. Sympatycy kultowego obiektu mogli zapoznać się ze: wspomnieniami udziału Fidela Castro, który w Katowicach zmienił swój mundur na górniczy, premierą fiata 126p podczas Wielkiej Wystawy Samochodów, czy ogromnej sali kinowej, która pomieściła 104 tysiące widzów oglądających „W pustyni i w puszczy” i 62 tysiące – „Ojca chrzestnego”.

W pamięci fanów pozostały również koncerty gwiazd światowego formatu takich jak Metallica, Elton John, Joe Cocker czy Tina Turner.

W 2021 roku Spodek i Międzynarodowe Centrum Kongresowe w Katowicach (MCK) odwiedziło 288 tys. gości, którzy wzięli udział w 294 wydarzeniach m.in. w kongresach, konferencjach, spotkaniach biznesowych, wydarzeniach rozrywkowych, zawodach sportowych, galach, bankietach oraz jubileuszach.

Międzynarodowe Centrum Kongresowe w Katowicach i Spodek w 2021 roku były areną wielkich wydarzeń, takich jak Szczyt Cyfrowy ONZ – IGF 2021 i towarzyszący mu największy hackathon w Europie HackYeah oraz XIII Europejski Kongres Gospodarczy.

Ramówkę imprez targowo-wystawienniczych zapełniły m.in.: Targi Rzeczy Ładnych, Targi Książki oraz Festiwal Roślin. Nie zabrakło również emocji sportowych, których dostarczył Red Bull Roof Ride, Mistrzostwa Europy w Piłce Siatkowej Mężczyzn oraz Mistrzostwa Europy w Karate Tradycyjnym. Wśród wydarzeń kulturalnych warto przypomnieć m.in.: największe widowisko stand-upowe w historii: „Please Stand-up 2021”, koncert zespołu Kult, rapera Sobela, Kasi Kowalskiej MTV Unplugged, festiwal muzyki techno – Mayday oraz Jubileusz 30-lecia Najlepszego Polskiego Musicalu – METRO. Latem co weekend kilkaset osób uczestniczyło w plenerowej strefie Centrum Kato oferującej dobrą gastronomię, miejsce spotkań i rozrywkę na ciepło, letnie wieczory.

Dużym zainteresowaniem mieszkańców cieszy się uruchomione jesienią lodowisko w Spodku – w 2021 ze ślizgawek skorzystało ponad 15 tys. uczestników. Spodek jest również areną regularnie wiernych kibiców drużyny hokejowej Katowic. Spodek jest otwarty i dostępny dla mieszkańców regionu pod kątem codziennych, sportowych aktywności. Oprócz ślizgawek na lodowisku działają sala gimnastyczna i basen. Szkoła pływania Posejda przeprowadziła na basenie w Spodku 212 godzin zajęć, lekcje prowadzone przez szkoły prywatne wypełniły 241 godzin, dodatkowo odbywały się zajęcia aqua aerobiku. W roku 2021 przeprowadzonych zostało 930 godzin zajęć sportowo-rekreacyjnych dla szkół, klubów, stowarzyszeń oraz innych grup korzystających z sali gimnastycznej.

W najbliższych miesiącach Międzynarodowe Centrum Kongresowe i Spodek będą arenami również takich wydarzeń jak m.in. Legendarny Mecz z Gwiazdami, 4 Design Days, Kongres Wyzwań Zdrowotnych, XIV Europejski Kongres Gospodarczy, IEM Katowice 2022 i Światowe Forum Miejskie (WUF), Hokejowe Mistrzostwa Świata Dywizji IB. Koncerty zagrają Kwiat Jabłoni, Quebonafide, Tokio Hotel, Tori Amos, Queen Machine, Metal Hammer Festival, Tribute to Led Zeppelin, Helloween, Edyta Bartosiewicz – Agnieszka Chylińska – Patrycja Markowska (Rockowe Kobiety). W dalszej części roku zaplanowano m.in.: Europejskie Mistrzostwa Florystyczne, Międzynarodowe Targi EXPO KATOWICE Targi Górniczo-Przemysłu Energetycznego i Hutniczego, Targi Toolex i koncert Uriah Heep.

Zwycięzcy Katowickiej Rundy Teatralnej na scenie Teatru Śląskiego

KATOWICE. Spektakl *ZEN_IT* w reż. Pauliny Prokopiuk, według tekstu Karoliny Fortuny zrealizowany przez grupę studentów i studentek Wydziału Teatru Tańca w Bytomiu Akademii Sztuk Teatralnych w Krakowie, można było obejrzeć na Scenie w Galerii, otrzymał nagrodę Grand Prix podczas 2. edycji Katowickiej Rundy Teatralnej. Spektakl ten otrzymał Nagrodę Specjalną Teatru Śląskiego im. St. Wyspiańskiego w Katowicach.

Katowicka Runda Teatralna to cykliczny projekt teatralny prowadzony przez Katowice Miasto Ogrodów – Instytucję Kultury im. K. Bochenek. Jego celem jest wsparcie młodej rodzimej dramaturgii poprzez organizację warsztatów pod okiem wybitnych dramatopisarzy i dramatopisarek. Powstałe w ramach tego etapu teksty są następnie realizowane przez teatry nieinstytucjonalne z województwa śląskiego. Do projektu został zaproszony również Teatr Śląski im. St. Wyspiańskiego, który w ramach finałowego pokazu powstałych spektakli fundował Nagrodę Specjalną w postaci prezentacji jednego z przedstawień na swojej scenie.

Ta futurystyczna opowieść o Katowicach po katastrofie ekologicznej jest jednocześnie historią intymną, zwracającą uwagę widzów na siłę, jaką możemy czerpać z relacji rodzinnych – nawet tych najdziwniejszych – w obliczu kryzysu. Pomimo młodego wieku realizatorów i realizatorek, spektakl został przygotowany z dbałością o profesjonalizm. Podczas II Finału Katowickiej Rundy Teatralnej spektakl ten otrzymał także: Nagrodę za najlepszą reżyserię dla Pauliny Prokopiuk, z uzasadnieniem: za pracę z zespołem aktorskim, sugestywność własnej interpretacji, która szła w parze z szacunkiem do tekstu; Nagrodę Specjalną dla aktorów i aktorek, za zespołową pracę aktorską; Nagrodę Specjalną Teatru Zagłębia w Sosnowcu.

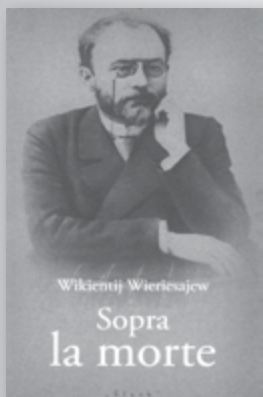
Karnawałowa gala operetkowa

GLIWICE. Wokalne popisy sopranistki Anity Maszczyk, dawnej solistki Gliwickiego Teatru Muzycznego z lat 2001-2016, wzbudziły entuzjastyczną reakcję publiczności zgromadzonej 28 stycznia w teatrze przy Nowym Świecie. Widzowie nagradzali ją gorącymi brawami przy otwartej kurtynie. Karnawałowa gala z jej udziałem była pierwszą – po długoletniej przerwie – imprezą operetkową w mieście.

W programie imprezy znalazły się najpiękniejsze bodaj arie operetkowe, jakie kiedykolwiek skomponowano. Rozbrzmiewały m.in. nieśmiertelne szlagiery: „Graj Cyganie” Kalmana („Hrabina Marica”) „Dziewczęta z Barcelony” Nico Dostala („Clivia”) czy wreszcie „Wielka sowa to żart” Straussa („Baron cygański”). Widzowie gorąco oklaskiwali śpiewaków – Nairę Ayvazyan, Jarosława Bieleckiego i Oskara Jasińskiego.

Towarzyszyła im świetnie brzmiąca orkiestra UNGER AN-SAMBLE pod batutą Mieczysława Ungera. Całość ubarwił zaś z dużym wdziękiem scenicznym (zwłaszcza w „Kankanie” Offenbacha) zespół baletowy pod kierownictwem Kamili Baryczkowskiej, byłej tancerki GTM. W finale koncertu zaprezentowano natomiast w zbiorowej interpretacji wokalnej popularną arię operową „Libiamo ne'lieti calici” („Pijmy na chwałę miłości”) z „Traviaty” Verdiego. Brawom nie było końca. Artyści dwukrotnie bisowali na życzenie rozentuzjasmowanej publiczności. Widowisko zostało przygotowane pod auspicjami impresaryjnego Teatru Muzycznego ORPHEUM, utworzonego w zeszłym roku przez ormiańską śpiewaczkę Nairę Ayvazyan. Dodać warto, że sala teatralna była wypełniona niemal do ostatniego miejsca.

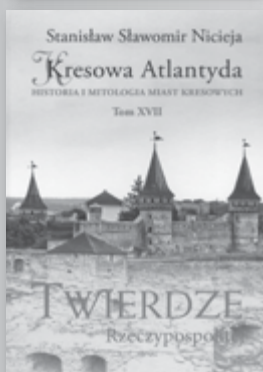
KSIĄŻKI NADESŁANE



Wikientij Wieriesajew

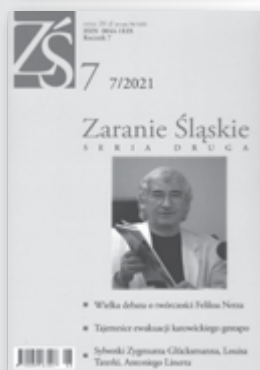
Sopra la morte

Wybrał i przełożył Marian Kisiel. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2022.



Przyjaciele i Znajomi. Profesor Ewie Kosowskiej. Kultura jako źródło wywołane. Listy, szkice i wspomnienia

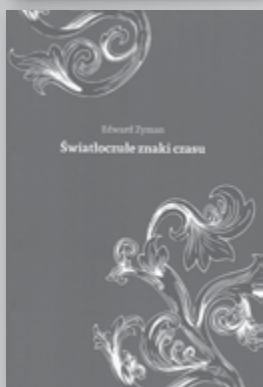
Wydawca: „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2021.



Stanisław Sławomir Nicieja

Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych. Tom XVII. Twierdze Rzeczypospolitej

Wydawca: Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego, Opole 2022.



Zaranie Śląskie. Seria druga. 7/2021

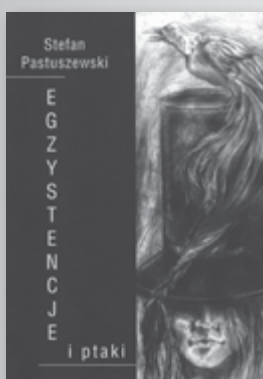
Wydawcy: „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Biblioteka Śląska, Katowice 2021.



Edward Zyman

Światłoczułe znaki czasu. Wiersze okolicznościowe

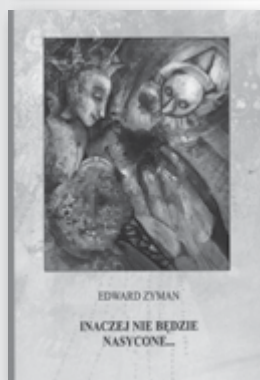
Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, Rzeszów 2021.



Arkadiusz Frania

Sęp na sepię. Eseje nie tylko o książkach

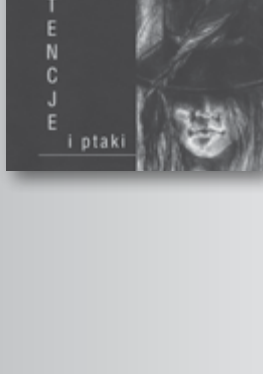
Wydawca: Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2022.



Stefan Pastuszewski

Egzystencje i ptaki

Wydawca: Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2021.



Edward Zyman

Inaczej nie będzie nasycone... Notatnik domowy z lat dawnych i nowych

Wydawca: Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie. Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, Toronto, Rzeszów 2021.



Mikołów 1222-2022. Monografia historyczna

Praca pod redakcją Ryszarda Kaczmarka i Jerzego Sperki.

Wydawca: „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2021.



Istebna - Kościół pw. Matki Bożej Fatimskiej na Stecówce fot. From the Sky.



Zabytkowy Zameczek Habsburgów w Wiśle. fot. Adam Brzoza.

